

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

MŁODZI

Nr 4 (33) Zielona Góra 2010 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

Eseje Wiersze Proza Szkice krytyczne Sztuka

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne
Pro Libris nr 4(33) 2010

W numerze wykorzystano prace fotografików z MCKiE Dom Harcerza w Zielonej Górze
Na pierwszej stronie okładki zdjęcie Natalii Szyłkin, a na ostatniej – Wojciecha Królaka i Kingi Górskiej

© Copyright by
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2010

Redaktor naczelny
Sławomir Kufel

Redaktor graficzny
Magdalena Gryśka

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Członkowie redakcji:
Ewa Andrzejewska, Andrzej Buck, Lidia Głuchowska, Anita Kucharska-Dziedzic

Stali współpracownicy:
Krystyna Kamińska, Michael Kurzwelly, Małgorzata Mikołajczak, Ireneusz K. Szmidt, Andrzej K. Waśkiewicz

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 68 451 72 78

Druk i oprawa
Ligatura

Nakład – 300 egz.

ISSN 1642-5995
Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);
e-mail: Prolibris@wimbp.zgora.pl
<http://www.wimbp.zgora.pl>

Od redakcji

Słowo się rzekło... Chcieliście młodych, no to ich macie... I co tam jeszcze starzy wymyślą... Poprzedni numer „Pro Libris” zapowiadał spojrzenie w głąb naszego, regionalnego potencjału. Chodziło przede wszystkim o ludzi młodych i bardzo młodych – o tych, którzy jeszcze nie wyjechali i o tych, którzy wrócili. Poprosiliśmy o teksty, poprosiliśmy o myśli i o pomysły. I co się okazało? Numer, który macie, Drodzy Czytelnicy, przed sobą, dowodzi jednego – w Lubuskim ma kto pisać i ma o czym pisać. Ale po kolei. Najpierw nieco starsi określili to, co można by nazwać wyjściowym stanem posiadania. Ewa Andrzejewska, Halina Bohuta-Stapel i Robert Rudiak to autorzy doskonale znający młodych twórców, pracujący z nimi na co dzień, nie dziwi więc optymizm bijący z ich tekstów – jużci, nie ma co wieszczyć końca regionu. Czy jednak przedstawione w piśmie literackie próby uzasadniają takie przekonanie?

Poeci, prozaicy, krytycy, artyści – to ludzie głównie w przedziale wiekowym 18-25 lat, uczniowie liceów i studenci. Ich propozycje nie odbiegają od podobnych, które można znaleźć w czasopiśmie z innych regionów Polski. Zresztą, dlaczego miałyby odbiegać? W końcu urodzenie w najbardziej na zachód wysuniętym kawałku kraju nie determinuje negatywnie potencjału intelektualnego i twórczego, nie zakłada też jakiegokolwiek izolacji bądź genetycznych kompleksów. Dobrze pokazuje to Krzysztof Koziółek, wyrastający na jednego ze znaczących prozaików, rozumiejący doskonale, że liczy się to, co w wyobraźni, a nie na karcie meldunkowej. Przecież mamy bliskie przykłady takiego regionalnego podejścia, bo czy na przykład odległość od tzw. metropolii

przeszkadza Katarzynie Grocholi czy Karolowi Maliszewskiemu? Poza tym metropolitalność to złudzenie, a intelektualny tygiel staje się coraz bardziej globalny. Może dlatego muzyka i plastyka, nieuznające żadnych granic, są dla młodych ludzi tak bardzo inspirujące? Przykład Andrieja Kotina jest wymowny – doktorant na naszym uniwersytecie, znakomity muzyk, poeta – człowiek niezwykle aktywny i twórczy. Albo Jakub Rawski, magistrant na filologii polskiej UZ, stypendysta ministra (a jest ich w regionie niewielu), dobrze rokujący poeta i krytyk literacki. Albo Urszula Seifert – animatorka studenckiej kultury, albo Katarzyna Zychła, albo Kinga Mazur, albo Karol Graczyk... – niech inni wybaczą, że ich tu nie wymienię, ale wszyscy stanowią nasz potencjał i naszą nadzieję.

Dobrze też, że obok twórców wyrastają krytycy, badacze literatury. Projekt Małgorzaty Mikołajczak nabiera rumieńców i realizuje się w coraz istotniejszych dokonaniach porządkujących i oceniających – tworzy się historia literatury czy też ogólniej kultury na tych ziemiach, kultury od niemal 70 lat związanej z Polską. Do tego coraz lepiej pamiętamy jeszcze dalszą przeszłość i, mam takie wrażenie, umiemy ją już zasymilować. Zresztą, ten wątek postaramy się podjąć pod koniec roku, kiedy z naszymi niemieckimi partnerami finalizować będziemy wspólny projekt kulturowy.

Tymczasem zapraszam do podróży w głąb 33 numeru „Pro Libris”, bo jak napisała Joanna Kranz: „Pajądającą się do działania były i są podróże, nawet te bardzo krótkie”.

Sławomir Kufel

Spis treści

Ewa Andrzejewska , Zielona Góra przyjazna dla młodych?	6
Krzysztof Koziołek , Literackie szczyty	9
Marek Grewling , Dla dobra literatury	13
Karol Graczyk , Wiersze [Odbicie, Teraźniejszość w czasie przeszłym i po nim]	15
Marcin Gromnicki , Muzyczny krajobraz Zielonej Góry	17
Mirosława Szott , Wiersz [jesienne sny]	20
Andriej Kotin , Wiersz [Romans jesienny]	21
Joanna Kranz , Miejskie dzieci	22
Kinga Mazur , Wiersze [Jaś i Małgosia, Sen Małgorzaty]	27
Przemysław Grześniński , Czerwona róża	29
Magdalena Kalinowska , Wiersz [Kobiety z Białej]	38
Halina Bohuta-Stapel , My, młodzi	39
Justyna Jęzak , Wiersz [bałagan]	43
Honorata Waszkowiak , Wiersz [Marzenie o utraconym czasie]	44
Mirosława Szott , Wiersz [sztuczka]	45
Jacek Włodzimierz Wojnarowski , Wiersz [Katharsis]	46
Łukasz Biłski , Wiersz [Trzy godziny]	48
Emilia Grzelak , Wiersz [***Skubię ciszę palcami...]	49
Katarzyna Zychła , Wiersz [wiosna w raj]	50
Robert Rudiak , Poetyckie debiuty na zamku	51
Dana Cieplicka , Kot jako maszyna nie całkiem prosta	55
Krzysztof Kowalczyk , Wiersze [Przykazania pożądania; Wejdz, rozgość się]	57
Andriej Kotin , ZENtrum: w poszukiwaniu Jedności	59
Alina Renkwitz (Nebelska) , Wiersze [Bo..., Wróciły, ...Dziś..., Codziennosc]	61
Urszula Seifert , Odbicia przeszłości	65
Alicja Bochenek , Wiersze [***Zamieć..., Nielegalnie, Bez fusów]	67
ZBLIŻENIA	70
Magdalena Front , O drodze poetyckiej Janusza Koniusza	71
Janusz Łastowiecki , Kardiostrymulator radiowej wyobraźni	75
Marika Sobczak , Bronisława Wajs – Papusza w perspektywie legendy literackiej. Zarys	79
PREZENTACJE	82
Kinga Krutulska , O pracowni fotograficznej w MCKiE Dom Harcerza	82
Karolina Bartkowiak , Wiersze [Zabłądziłam się w sobie, Błękit królewski]	85
Helena Kardasz , Galeria Pracowni Wolnego Wyboru	87
Igor Myszkiewicz , Galeria Twórców Galera – 14 rok rejsu	89

KRAJOBRAZY LUBUSKIE	92
Magdalena Poradzisz-Cincio , Słońsk – dawna siedziba joannitów (Słońsk – ehemaliger Sitz der Johanniter)	92
VARIA	104
Konkurs „Debiut poetycki Pro Libris” rozstrzygnięty	104
Prezentacja wierszy konkursowych: Jakub Rawski, Paulina Krystkowiak, Dariusz Muskała, Sebastian Piórkowski, Emilia Grzelak, Ewa Roszak, Beata Matyasik, Monika Derczyńska, Urszula Seifert, Krzysztof Kowalczyk	106
Karol Graczyk , Sherlock Holmes i Gregory House – paralele	116
Andrzej Buck , Niektóre formy zastępcze czasopism literackich młodych w latach 40. i 50. XX wieku	122
RECENZJE I OMÓWIENIA	129
NASZA KLASA – UMARŁA KLASA. O pamięci według Tadeusza Słobodzianka Tadeusz Słobodzianek, <i>Nasza klasa</i> (Jakub Rawski)	129
Nie do końca magiczna magia Cristina López Barrio, <i>Ogród wiecznej wiosny</i> (Agnieszka Kufel)	132
„Wędrownką śpiewam świat”. O wierszach Barbary Konarskiej Barbara Konarska, <i>Ocalone śmy, czyli moje wędrowanie</i> (Agnieszka Nowicka)	134
<i>Klucz do bramy</i> Alfreda Siateckiego – prawda historyczna w literackim ujęciu Alfred Siatecki, <i>Klucz do bramy. Rozmowy nieautoryzowane albo nieodbyte o przeszłości środkowego Nadodrza</i> (Magdalena Front)	135
Poezja wielu odcieni Czesław Sobkowiak, <i>Coraz mniej</i> (Aleksandra Krawczyk)	136
„Myślałem o podróży Pana w tamte strony”. Korespondencja Henryka Szyllina Henryk Szyllin, <i>Listy szczerzej pamięci</i> (Marta Sikora)	139
KSIĄŻKI NADESŁANE	141
AUTORZY NUMERU	142

Zielona Góra przyjazna dla młodych?

Pora porozmawiać na naszych łamach o czymś, co chyba trochę nam umykało, czego do końca nie znamy, co czasem trochę lekceważymy, z uznaniem pochylając się nad tym, co bardziej widoczne, zasłużone, profesjonalne, utrwalone... Sprawa do omówienia: młodzi, utalentowani ludzie w Zielonej Górze; miejsce: Pro Libris; czas: najwyższy.

Kiedy zaczęliśmy w redakcji rozmawiać na ten temat, od razu ktoś przytoczył przykład L.U.C. -a, rapera, reżysera, kreatora, nagrodzonego Paszportem Polityki, artysty, o którym wieść gminna niesie, iż długo odbijał się od drzwi urzędów, instytucji zielonogórskich, aż w końcu otworzyły się dla niego drzwi wrocławskie i wiele innych w całym kraju. Czy to typowa dla naszych młodych-zdolnych historia? Ewidencjonując „zasoby lokalne” takich właśnie młodych-zdolnych, spróbujmy wywołać do dyskusji ich samych, ale też osoby, które „odprowadziły na dworzec” niektórych z nich, a może (najchętniej!) i tych, którzy starają się uczynić to miasto przyjaznym i obiecującym, w najlepszym znaczeniu tych słów.

Najpopularniejszą, medialną gwiazdą naszego miasta jest środowisko kabaretowe. Do nieco starszych, sprofesjonalizowanych grup wciąż dołączają nowe, powstające spontanicznie w studenckich klubach, często są to jednak mieszkańcy akademików – więc Zielona Góra cieszy się nimi od niedawna, ale z praktyki tej branży wynika, że szanse na cieszenie się nimi dłużej są całkiem

spore. Cieszyć się zupełnie z bliska można na corocznym, jedynym w swoim rodzaju Festiwalu Kabaretu, na improwizowanych programach pokazywanych na scenie Kawonu, na imprezach klubowych – jest tego trochę, ku radości fanów. To jednak forma działania specyficzna, bo tu nie potrzeba szukać dorosłego, najlepiej zinstytucjonalizowanego mentora, gdyż sami twórcy są już dorośli, a część z nich studiując animację na UZ, zdobywa kompetencje właśnie mentorskie. Podobnie niezależni byli twórcy formacji Sky Piastowskie, młodzi filmowcy, którzy z przyjaciółmi kreowali obrazy tak niekonwencjonalne, że po szeregu nagród, zauważeń... zniknęli ze sceny kulturalnej naszego miasta, zanim zdążyli się porządnie zestarzeć. Teraz z kamerami biegają po Wzgórzach Piastowskich najwyższej uczniowie z Liceum nr 5 im. K. Kieślowskiego albo podopieczni Marzeny Więcek z „filmówki” działającej przy ZOK-u. Samej Marzenie Więcek powinno się tu kilka rozdziałów „Pro Libris” poświęcić: niezwykle utalentowana poetka, filmowiec, zauważana, ale chyba za mało doceniana; sama nie lubi się pchać na salony i na pierwsze strony (rym niezamierzony), a ci, którzy się na niej poznali, jeszcze nie mają takiej siły przebicia, jak dotychczasowy „salon”. Marzena Więcek przeszła cichutko na drugą stronę – sama zaczęła wspierać jeszcze młodsze od siebie talenty. Podobnie stało się z poetą, który do swoich 4 Róż dla Lucienne

zaprasza i początkujących, i tych trochę starszych muzyków, poetów, aktorów. Bruno Aleksander Kieć niechby poczuł się wywołany do odpowiedzi, bo chyba nikt lepiej od niego nie wie, nie doświadczywszy na własnej skórze, jak to jest być tutejszym twórcą i organizatorem, tragarzem, projektantem i petentem urzędu... W knajpie Bruna spotykają się „dzieciaki” szukające niekomercyjnej muzyki, czasem same próbujące ją tworzyć – a nie ma za wielu miejsc, w których amatorska kapela mogłaby się „przytulić” i swobodnie próbować, najlepiej na udostępnionym przez gospodarza nie najgorszym sprzęcie. Uczelniane formacje, takie jak „Pokój 203”, „Obiło się o uszy”, Andriej Kotin z kolejną ekipą – powyrastały powoli ze swojego „studentstwa”, panowie pozajmowali się innymi sprawami; ten pracuje w jakiejś redakcji, ten wyjechał, tamten wspiera swoimi tekstami innych wykonawców... Życie. Inna historia: Mateusz Krautwurst już chyba nie jest frontmanem energetycznej grupy Positive, a przynajmniej nie widać ich w naszej okolicy, od czasu jak solo pokazał się w popularnym programie telewizyjnym i zebrał pochwały od Kayah.

Jest wciąż w Zielonej Górze taki zespół, którego inni mogą nam zazdrościć. Pokazali swoją wszechstronność, biorąc udział w tworzeniu warstwy muzycznej spektaklu teatralnego *Wizyta starszej Pani* – i stworzyli tu coś naprawdę niezapomnianego, dla niektórych widzów stali się nawet głównym atutem tej sztuki. Jednak zespół Mate na co dzień woli bawić się konwencją reggae, i to bawić z polotem. I nie bez powodu kultowe Świetliki zaprosiły do wykonania jednego ze swoich utworów podczas koncertu w Roksanie kolegę z Mate – po prostu tworzą ten zespół już dojrzały muzycy, którzy doprawdy tylko jakimś dziwnym trafem nie mają jeszcze własnej płyty, nagranej ze wsparciem rodzimego miasta, które o nich wie, bo przecież grywają nam dzielnie podczas Winobrania...

Innymi dorosłymi już artystami, o których warto tu wspomnieć, są studenci Instytutu Sztuki i Kultury Plastycznej obecni w mieście za sprawą własnej galerii, ale również gościnności m.in. Biura

Wystaw Artystycznych. Studenci są obecni, bywają widoczni i dla tzw. prostego przechodnia, ale nie zmienia to faktu, że są zwykle „ulotną formą” – może poza tymi, którzy już jako członkowie ZPAP osiedli, zadomowili się tutaj, zatrudnili szczęśliwie. Ich koledzy, też plastycy, ale o wiele młodszy, próbują rozwijać się i upewnić co do wyboru życiowej drogi, ucząc się w gimnazjum lub liceum plastycznym. W ostatnich latach więcej zielonogórczan dowiedziało się o ich istnieniu, wcześniej ich działalność była dość enigmatyczna. Niefortunnie, bo uczniem tej szkoły była choćby znakomita projektantka Gosia Baczyńska, która dziś w życiorysach nawet nie wspomina o tym epizodzie. Czy podobnie stanie się z innymi wybitnymi absolwentami? Te małaolatki mają na swoim koncie czasem bardzo znaczące, także międzynarodowe laury. Jedną z takich obiecujących artystek jest pewna Liwia, która niedługo zmierzy się z egzaminem maturalnym. Zapewne kilka niezłych uczelni już zaciera ręce na myśl o jej wizycie u nich – czy jednak wcześniej ktoś taki jak ona doczeka się wystawy w swoim rodzinnym mieście, choćby małej, ale nagłośnionej ekspozycji, pokazującej na forum, trochę większym niż szkolne, jej dotychczasowe sukcesy? To tylko jeden przykład, ale dość znamienity, w dodatku w sferze, w której bez wsparcia instytucji trudno o publiczność i o sukces. Bez miejsca na ekspozycję, bez sponsora, bez drogich materiałów, bez życzliwości mediów...

Jeśli już mowa o szkolnictwie artystycznym, koniecznie trzeba wspomnieć o utalentowanych dzieciach wyrastających na uzdolnioną młodzież pod okiem nauczycieli ze szkół muzycznych I i II stopnia: gitarzyści, pianiści, mistrzowie skrzypiec i inni, których sukcesy na przeglądach krajowych i zagranicznych zdumiewają i cieszą, wciąż jednak docierają do dość kameralnego grona znawców i kibiców. Naturalnym wydaje się tutaj wyjazd absolwenta PSM do większego ośrodka w poszukiwaniu dobrej uczelni, wybitnego mistrza, bolesna jest jednak statystyka powrotów. Podobnie cierpka refleksja – jeśli przyjrzymy się jazzmanom; Jerzy Szymaniuk potrafił stworzyć w naszym mieście niezwykle ośrodek edukacyjny, do którego chętnie

zjeżdżają młodzi muzycy z całego kraju. A potem równie chętnie wyjeżdżają. Przeciętny lokalny uczestnik życia kulturalnego może się o fenomenie tej „stajni” dowiedzieć przy okazji koncertu Big-Bandu czy nagłośnionej w mediach wizyty zamorskiej jazzowej znakomitości na tutejszej imprezie. Albo z doniesień w mediach o jakichś dziwnych perturbacjach lokalowych czy finansowych...

Jest w naszym mieście kilka miejsc, w których można się nieprofesjonalnie, co nie znaczy, że mniej korzystnie, rozwijać, na przykład wokalnie albo aktorsko. Akurat w tej sferze jest nieźle, o czym świadczą mogą niezliczone przeglądy piosenki, festiwale, potyczki i inne konkursy. Małolaty mogą próbować iść drogą Dody albo na przykład Magdy Umer, mogą sami tworzyć rewolucyjne sztuki pod okiem ukochanej polonistki albo pracować nad warsztatem aktorskim w renomowanej grupie teatralnej. Przychodzi jednak czas matur i kolejna perełka, jak choćby Hanna Matusiak, rusza w świat... Ciągłe poszukujący Marek Krukowski, jej starszy kolega, na własną rękę szuka dla siebie miejsca w świetle reflektorów, innych wyłapuje i kusi scenicznymi perspektywami Ogólnopolski Konkurs Recytatorski. Ciekawe, czy o latach w miarę tłustych mogą też mówić miłośnicy tańca? Zielonogórski taniec towarzyski ma się chyba nieźle, o tańcu współczesnym nasza redakcja wie niewiele, ale bywało się tu i ówdzie. Nazwa Tagim została w pamięci, i studenci animacji UZ, a z innych „odgałęzień”: ekspresja podopiecznych Filipa Czeszyka chyba nikogo nie pozostawia obojętnym...

Nie jest chyba najgorzej, jeśli chodzi o pisanie – literaci studenci mają dość swobodny dostęp do publikacji w „UZetce”, młodzi – wspierani przez swoje szkoły albo domy kultury – też jako się trzymają, życzliwy Czesław Markiewicz promuje młodych w radiu, można się pokazać w konkursach, turniejach, na blogach, a gdyby tego zabrakło, zawsze można się zgłosić do Pro Libris...

I tutaj jednak trudno o spektakularny sukces, Justyna Kandulska dopiero we Wrocławiu poczuła się naprawdę poetycko, inni obiecujący lirycy ciężko pracują na swoje zupełnie niepoetyckie dyplomy w Krakowie, Gdańsku czy jeszcze gdzie indziej.

Wspomniani wcześniej studenci Lubuskiej Szkoły Fotografii, Telewizji i Filmu, której szefuje Marzena Więcek, nie są tu jedynymi miłośnikami tej sztuki. Związek zawodowców, w którym znajdziemy i fotoreporterów naszych lokalnych dzienników, i miłośników fotografii artystycznej, ma mocną młodszą konkurencję. Od wielu lat działa i uwiecznia nasze zmieniające się miasto foto-klub Kingi Krutulskiej, prezentujący w coraz to nowych odsłonach zaufki Zielonej Góry. Te niby dzieciaki, niektóre w wieku gimnazjalnym, niektóre już studiujące, wykonują niezwykłą i ważną robotę, której wagę zapewne docenią dopiero jacyś następni zielonogórzanie – z talentem i z pasją zatrzymują obraz swojego rodzinnego miasta takim, jakie już za moment przestanie być.

Może ktoś powinien wesprzeć kronikarza miasta i uwiecznić gładkie młode twarze najzdolniejszych zielonogórzan, zanim się zachmurzą od poczucia beznadziei lub z innego powodu, albo zanim pomachają do nas na pożegnanie z oddalającego się szybko pojazdu? Może ktoś powinien stworzyć taką galerię, opisać ją starannie i odpowiednio zatytułować. Na przykład „Ściana Wspomnień i Refleksji” albo „Kogo tu już nie ma”, albo po prostu „Żal”. I zaprosić tam tych, którzy jako jedyne zielonogórskiego artystę potrafią wymienić Klema, a za najpiękniejsze wspomnienie muzyczne mają – „Oczy czarneje...”.

Z pewnością nie jest to podsumowanie wyczerpujące, raczej zaledwie (bardzo intuicyjny) zarys sytuacji; mamy nadzieję, że osoby posiadające rzetelniejszą wiedzę na temat młodych-zdolnych zielonogórzan dadzą się niniejszym zaprosić do rozmowy o nich na naszych łamach.

Literackie szczyty

Ostatnimi czasy na spotkaniach autorskich dużo opowiadam o tym, jakim to ciężkim kawałkiem chleba jest powieściopisarstwo. I nie tyle sam akt twórczy: wymyślanie fabuły, bieganie palcami obu rąk po klawiaturze w misji stworzenia zgrabnej całości składającej się z iluś tam setek tysięcy znaków czy nawet podkręcanie akcji lub – wyzwanie to nie lada – wpuszczanie Czytelnika w przysłowiowe małiny tylko po to, aby go potem stamtąd sprytnie zabrać, zawłaszczając przy tym jednocześnie jego podziw i sympatię. Nie, bardziej – jeśli nie przede wszystkim – chodzi o ten moment, w którym książka jest już gotowa i trzeba ją... sprzedać.

Nie raz, nie dwa i nie pięćdziesiąt już razy mówiłem przy wszystkich okazjach – aż w pewnym momencie sam zacząłem w to wierzyć – że książki są takim samym towarem jak każdy inny i tym samym podlegają też surowym prawom wolnego rynku. A to najważniejsze prawo dla mnie jako autora, wydawcy i sprzedawcy swoich własnych powieści jest tak bezlitosne, jak czytelne: żeby się sprzedać (dosłownie, nie w przenośni), trzeba dotrzeć do świadomości odbiorców, czyli w tym konkretnym przypadku: do świadomości Czytelników. Sposobów mamy co najmniej kilka, najlepszy jest jednocześnie przez autorów najmniej pożądanym, bo przekracza cienką linię życia. Krótko mówiąc: na zrobienie oszałamiającej kariery – zarówno pod względem uwielbienia krytyków, jak

i finansowym – mogą liczyć ci, którym się uda... umrzeć. Dlaczego ta droga mnie nie interesuje, tłumaczyć chyba nie muszę. A gdybym musiał, to powiedzmy, że nie mógłbym wtedy liczyć na dalszą frajdę z pisania, a że liczyć na nią chcę, to umierać już nie.

Idąc dalej tym bogatym w emocje tokiem rozumowania, kolejnym świetnym sposobem na dostanie się pod strzechy jest skandal. Nic tak nie zwiększa sprzedaży, jak obecność na pierwszych stronach gazet (brukowców najlepiej), a czy to w negliżu, czy w towarzystwie kochanka, czy też nawet przybysza z innej planety, nieważne, liczy się fakt (mam nadzieję, że tej gry słów nikt za kryptoreklamę nie weźmie). Smutne to z perspektywy kogoś, kto całe życie wierzył, że los nagradza pracowitych, a nie głośnych, smutne jednak czy nie, jest jak najbardziej prawdziwe. I nie ma co się obrażać na świat, tylko trzeba się brać do roboty i iść dalej do przodu. Jak głosi pewne powiedzenie: jeśli cię nie chcą wpuścić drzwiami, to wejdź oknem. A przecież jest jeszcze komin, piwnica, czasami zsypana na śmieci się trafi, widać więc, że jeżeli ktoś chce i się uprze, to znajdzie drogę na szczyty.

Skoro już użyłem tak literackiego porównania, to płynnie mogę przejść do pewnej analogii. Wracając do spotkań autorskich i rozmów z Czytelnikami, bardzo często moje pisanie, wydawanie i sprzedawanie porównuję do wędrowania po

górach. I jest to porównanie tyleż literackie, co obrazowe. W czym rzecz? Ano w tym, że chodząc po górskich szlakach, czasami zdarza się, że człowiek trafi na pogodę wybitnie niesprzyjającą podziwianiu widoków: hale i szczyty zasnują się mgłą lub chmurami, z których na dodatek zacnie się śpiąć deszcz, nie wiadomo skąd zerwie się wiaterek przesywający nawet najlepsze ubranie i przyjdzie moment zastanowienia: co ja tutaj robię i po co? Oczywiście to ostatnie pytanie najczęściej zadaje się w dużo mniej cenzuralnej formie, zupełnie jak w kryminale, który od ostrych słów nie ucieka, co jeszcze bardziej umacnia analogię.

Ale wróćmy do tematu, czy raczej na literacki szlak. Gdy słońeczko przygrzewa, a przed oczami rozciągają się wielokilometrowe widoczki, dusza rośnie, nogi rwą się same do drogi, a ręce do naciskania spustu migawki aparatu, aby te piękne chwile uwiecznić na nieco dłużej niż mgnienie oka. Wtedy nikt pytania o cel włóczenia się po gładkach nad stumetrowymi przepaściami sobie nie zadaje. Kiedy jednak pogoda się psuje, a nogi odmawiają posłuszeństwa, wielu się zastanawia, a niejeden zawraca (tak na marginesie: umieć się wycofać w odpowiednim momencie to cnota w górach jak najbardziej cenna i pożądana). Są jednak tacy, którzy uznają – paradoksalnie – że im gorzej, tym lepiej. To ci, którym samo zdobywanie gór, pokonywanie własnych słabości i udowadnianie sobie, że można, że da się radę, że potrafi się zacisnąć zęby i przejść nad przepaścią, mimo że serce rozdygotane lękiem wysokości opanowuje resztki rozumu, daje radość nieporównywalną z niczym innym na znanym nam świecie. Ten moment, kiedy stanie się na szczycie, kiedy się spojrzy w dół (ewentualnie zajrzy mgłę w zamazane oczy), jest czymś, czego opisać się nie da, trzeba to przeżyć, posmakować, napoić się tym choćby jeden raz, aby zrozumieć.

Jak to się ma do pisania, wydawania i sprzedawania książek? Zdziwiłbyś się, Drogi Czytelniku, jak bardzo się to łączy. Dzisiaj, jeśli jest się szerzej nieznanym autorem – a na początku każdy z takiego właśnie miejsca zaczyna – trzeba mieć w sobie... Dużo samozaparcia? Siły? Chęci? Powera

– jak powiedziałyby młodzież? Nie. Czego trzeba w sobie dużo mieć? Naiwności. Tak, naiwności! Najbardziej chyba celnym wyjaśnieniem będzie przytoczenie kolejnej anegdotki: „Nie wiedziałem, że tego nie da się zrobić, bo mi tego nikt nie powiedział. Dlatego to zrobiłem”. Teraz, kiedy spojrzę za siebie i przyjrzę się ostatnim pięciu latom pracy nad powieściami, pierwsze, co przychodzi mi do głowy, że tej naiwności miałem pod dostatkiem i gdybym wtedy był bogatszy o wiedzę, jaką mam dziś, to nie wiem, czy podjąłbym słowną rękawicę. Bo z moim pisaniem to było trochę jak z wyjściem na szlak w pełnym słońcu, kiedy czyste niebo, bez nawet jednej chmurki, zapowiada przepiękną wycieczkę, podczas gdy trzy godziny i dziesięć kilometrów później dochodzi do załamania pogody i sufit świata zaczyna szlochać deszczem. Gdy zaczynałem przygodę z powieściopisarstwem, pojęcia nie miałem o tym, jak książkę trudno jest wydać, a potem sprzedać. Owszem, mogłem sobie dać spokój po pierwszej, mogłem po drugiej, mogłem i po trzeciej... Dlaczego nie dałem? Z dwóch powodów: po pierwsze, z moim pisaniem jest jak z chodzeniem po górach: zawracam tylko wtedy, kiedy pójście dalej pociągałoby za sobą nieuzasadnione zwiększenie niebezpieczeństwa, zaś gdy jedyną przeszkodą w parciu naprzód stają się własne słabości, to nie ma zmiłuj się, trzeba zacisnąć zęby, wziąć pewną część ciała w troki (jak powiedziałyby bohater kryminału) i stawiać nogę za nogą. Dosłownie! Po przekroczeniu pewnej granicy zmęczenia zdobywanie górskich szczytów jest mozolne niczym sprint ślimaka. To jest chwila, kiedy czas mierzy się nie sekundami, nie minutami, ba, nawet nie godzinami, tylko kolejnymi krokami, z których każdy wydiera z człowieka energię, jakiej ten nigdy by w sobie nie znalazł, gdyby nie szczyt mający przed oczami.

Ci, którzy chodzą po górach, wiedzą, że potrafią one nauczyć cierpliwości. To nie wyprawa do sklepu, kina czy na basen, gdzie w pół godziny można się dostać z jednego miejsca w drugie. W górach nie ma skrótów, a dystanse są takie, że wymagają od piechurów nabycia umiejętności

dzielenia sił tak, aby w połowie drogi nie oprzeć się rękoma o kolana i nie zawołać: sanitariusz! Zupełnie podobnie jest z prowadzeniem własnej kariery pisarskiej: jeśli nie skorzystało się z wariantu śmiercionośnego, jeżeli opcja skandalisty nie była nam w smak, pozostaje tylko mozolne pięcie się w górę po zawodowej drabinie. Jest to tyleż męczące, co wymagające olbrzymiej odporności na coś, co można by nazwać syndromem „już i teraz”. Jak w pisaniu, tak i w górach chciałoby się już i teraz znaleźć na szczycie, czy to literackim, czy topograficznym, ale takie rzeczy to tylko w: pewnej sieci komórkowej, wyobraźni, scenariuszu filmu *Made in Hollywood*. W realnym życiu, żeby wejść na szczyt, trzeba się na niego wdrapać o własnych siłach.

Czy zdobywanie literackich szczytów jest trudne? Tak, chyba nawet dużo bardziej niż tych górskich. O ile bowiem podczas wędrówki zamgloną granią, co jakiś czas gdzieś tam się słońeczko przebijie i oczy nakarmią się widokami dającymi siłę na przeżywanie kolejnych miesięcy, o tyle droga pisarza, wydawcy i sprzedawcy bywa tych drobnych momentów przyjemności pozbawiona. Jeśli tak się dzieje, można się poddać i wtedy trudno kogoś za to winić. Chyba że co jakiś czas trafi się mały sukces, którym da się ten literacki żołądek nakarmić. W takim przypadku jakoś się prze do przodu, jakoś wciąż chce się pisać w tej swojej naiwności, że jak nie dziś, to jutro, pojutrze, za tydzień stanie się cud.

Z moich rozmów z księgarzami i bibliotekarzami wyłania się pewien obraz polskiej branży księgarskiej. Zabrzmi to może jak banał (swoją drogą: konia z rzędem temu, kto udowodni, że życie nie składa się z banałów, co przecież wcale temu życiu w niczym nie ujmuje), ale taka jest prawda: najlepiej sprzedają się te książki, które sprzedają się najlepiej. Pozornie to sprzeczne, faktycznie – cudowne w swej prostocie. Kiedyś pewien krytyk literacki w przypiływie szczerości powiedział mi, że w naszym kraju, żeby zaistnieć na rynku, trzeba wydawać w jednym z trzech, czterech największych wydawnictw. Dlaczego? Ano dlatego, że drugie tyle pieniędzy co na druk wydają one na

promocję autorów. A jak już wspomniałem, książka jest towarem, skoro tak, to podlega też prawu reklamy: jeśli jesteś w mediach, na okładkach czasopism, na billboardach, wyglądasz nawet z lodówki (niczym pewien Krzysztof z pewnej stacji telewizyjnej z pewnym słońcem w logo), to się sprzedasz. Nie ma cię na afiszach, nie ma sprzedaży, a interes kręci się co najwyżej jak zepsuty wiatrak. Jeżeli więc wydaje się w małym wydawnictwie (czyli takim, które oddzielnych funduszy na promocję i marketing nie ma), trzeba albo umrzeć, albo pomyśleć o skandalu, ewentualnie zagryźć zęby i przeć do przodu uparcie jak osioł ze *Shreka*. I nie ma się co obrażać na cały świat, to w niczym nie pomoże, jedynie zaszkodzi, bo zgorzkniałych ludzi unika się jak ognia.

Nie byłbym do końca rzetelny w swoich przemyśleniach, gdybym nie poruszył jeszcze jednej kwestii: naszej prowincjonalności. I nie mówię tu o poczuciu życia na literackiej prowincji [bo jak słusznie zauważył prof. Sławomir Kufel: prowincja to stan ducha, nie ciała – „Pro Libris” nr 2/3 (31/32) – 2010, s. 3], ale o odległości dzielącej nas od Warszawy, Krakowa czy choćby Wrocławia lub Poznania. Prozaiczna rzecz, ale jakże duży ma wpływ choćby na częstotliwość kontaktów z koleżankami i kolegami po piórze czy też na organizację targów książki, festiwali i innego rodzaju imprez związanych z prozą.

Przyznam się jeszcze do czegoś: wydaje mi się, że jest jedna dodatkowa szansa na przebudzenie naszego lubuskiego pisania, nie licząc umierania, skandalizowania i mozolnego człapania pod górę. Trzeba by stworzyć produkt literacki, o którym byłoby głośno na wschód od Odry, a który zmniejszyłby odległość i przyciągnął do nas możliwych świata literackiego. A gdyby tak – że rzucę tu pewną myśl – zorganizować konkurs na powieść (opowiadanie? nowelę?) zawierającą motyw winorośli lub winogrona (np. Laur Winnego Grona)? Oczywiście, aby miało to szanse powodzenia, nagroda finansowa musiałaby być niebagatelnej wysokości, a na taką stać byłoby chyba tylko budżet miasta. Wiem, że w dobie kryzysu miejsy skarbnicy cierpią na powszechne

skąpstwo, jednak w tym przypadku wydawanie pieniędzy widziałbym raczej w kategoriach inwestycji, co potwierdzają chociażby przykłady

Gdyni (Nagroda Literacka Gdynia) i Wrocławia (Nagroda Wielkiego Kalibru i Międzynarodowy Festiwal Kryminału).



Dla dobra literatury

Zastanawiam się, czego Szanowny Krytyk oczekuje od młodego człowieka, który ma na przykład siedemnaście lat i napisał pierwszy w życiu poemat. Osobiście mam to szczęście, że czytałem takie właśnie nastoletnie poematy. Widziałem litery kreślone w zeszytach-pamiętniku, które po kryjomu przynosi się pani od polskiego, korzystając z pośrednictwa najlepszej koleżanki.

Ktoś, kto ma minimalne doświadczenie związane z literaturą, bez trudu dojrzy w esejach – tak prozatorskich, jak i poetyckich – młodego debiutującego człowieka liczne wady wynikające z luk warsztatowych, a także związanych z najzwyczajniejszymi brakami merytorycznymi. Nadal jednak zastanawiam się, czego oczekuje Szanowny Krytyk od młodego człowieka, który ma na przykład siedemnaście lat. Jak młody niedoświadczony twórca zostanie potraktowany przez Krytyka? Czy w ogóle jego utwór zostanie przeczytany? Ależ oczywiście zostanie przeczytany – w to nie wątpię.

Tu i tam czytuję komentarze Krytyka odnoszące się do twórczości debiutantów (słowo „twórczość” to oczywiście nadużycie dla określenia prób osoby rozpoczynającej dopiero swoje pisarskie doświadczenia).

Miałem onegdaj wątpliwą przyjemność uczestniczenia w spotkaniu doświadczonych „wyjadaczy” literackich z piszącymi gimnazjalistami. „Wyjadacze” palili papierosy i popijali piwo

wprost z butelek, a debiutująca dziewczyna siedziała, słuchając komentarzy owych „guru” (cudzysłów zamierzony). Komentarze były beczelnie brutalne i niezważające na brak doświadczenia i wiek niedoszłych adeptów poezji. Dziewczyna pisząca dowiedziała się, że podjęcie próby pisania przez młodego człowieka wystawia go na bezlitosny osąd i szyderczą recenzję tych, co już „znaczą”. W tym miejscu wspominam osobiste spotkanie z początku lat 90. Wielki Jan X rozrzucał moje wiersze po pokoju z komentarzem: „W poezji trzeba za...ć, proszę pana”. Dzisiaj nie mam złudzeń, nie jestem Słowackim, ale wtedy było mi po prostu przykro. Ręczę, że taka forma krytyki nie jest stymulująca dla młodego poety.

Do spotkania gimnazjalistów ze wspomnianymi wyżej literatami nie wracam. Nie ta skala wrażliwości. Do komentarzy krytyka – owszem. Krytycy literaccy – także bliscy naszemu środowisku – poczytują sobie za honor strzelić gola bezbronnemu debiutantowi (debiutantce). Nawet niekoniecznie strzelić gola. Wszak bywa tak, że młodziutki twórca jest wcale, wcale. Nie za bardzo jest się jak przyczepić do młodej osoby, która ma szesnaście lat i rokuje – gołym okiem widać, że rokuje. Jednak można powiedzieć, że się wątpi w „dalszy ciąg” tej osoby, bo młodość minie, a proza codzienności przysłoni wrażliwość literacką. Krytyk zastanawia się, czy przypadkiem zgrabna wersyfikacja nie jest li tylko wykwittem młodzieńczej

egzaltacji. Czytałem niestety podobne w treści omówienia. Na szczęście, jak podkreśla się tu i tam, młoda polska literatura mimo różnych przeszkód i szeregu zawistnych złośliwości ma się bardzo dobrze. Aż trudno uwierzyć – prawda?

Czego więc oczekujemy? Od młodej literatury – czytaj: młodych literatów – utrzymania kursu i odwagi. *Nulla die sine linea*; piszcie, piszcie, piszcie. Od krytyków zaś... cóż, proszę Państwa, niektórzy twierdzą, że mamy obecnie do czynienia

z pewnym kryzysem polskiej krytyki literackiej; to nie jest równoznaczne z kryzysem młodej polskiej literatury. Są przecież tacy krytycy, którzy twierdzą wprost, że tak nie jest. Pozwolę sobie na więcej. Proszę każdego, kto bierze właśnie do ręki rękopis debiutanta, proszę się wczytać, wmyślić w te słowa, proszę nie skreślać i nie ośmieszać tych, którzy podejmują się próby opowiedzenia świata krokiem pięknych słów. Wszak takich szukamy. Dla dobra literatury.



Odbicie

*Gościem jest każdy,
kto zaraz wyjedzie.*

Marta Podgórnik

Miasta zmieniają się powoli,
więc zazwyczaj wyglądają jak zwykle:
te same ulice i lampy (czasem któraś gaśnie),
drzwi skrzypią jak zawsze i obco jak nigdy.

W gruncie rzeczy nigdy nie chodzi o miasto,
raczej o drzwi i to, dokąd prowadzą, więc co?
Nie zatrzymuj się. Pędź, dopóki nie znajdziesz tych,
przez które będziesz wchodził z uśmiechem na ustach,

choćbyś miał przez nie przechodzić przez górnołotne *zawsze*,
bez potrzeby czucia na sobie śliskiej wilgotności
innych bytów, z innych drzwi, miast, luster. Dojrzałych
luster, jak dojrzałych ludzi, pokrytych pajęczyną

pęknięć i lekkich draśnień w różnych częściach ciała,
w pamięci o miejscach, ludziach i różnych historiach,
które dały i wzięły. Pamięć o dobrym i złym
to podstawa odbić i tego co będzie, choćby brzmiało

płytko. Teraz jeszcze zbyt często szukam cię jak zasnę.
Najlepiej odbijasz się w płytkim, lekkim śnie.

Teraźniejszość w czasie przeszłym i po nim

Publiuszowi jest przykro, gdy widzi zjawiska
pozbawione celu i sensu w każdej chwili trwania.
Kiedy patrzy na przedmioty, na rzeki i na ludzi,
czuje smutek tych pierwszych i bezsens stworzenia.

Tylko rzeki się bronią z tego towarzystwa,
a i to naciąganie. Kiedy Publiusz zdaje sobie sprawę
z tego stanu rzeczy, pali swoje sylwy i pisze je od nowa.
Pali stare listy, wymazuje pamięć o ludziach,

których dziś już nie zna. Niekiedy całe miasta płoną
w jego wyobraźni, bo chociaż teraźniejszość ma horyzont
szerszy niż miała wcześniej i będzie miała później,
nie ma prawa bytu bez pustego – wiecznie.

Muzyczny krajobraz Zielonej Góry

Twórcza aktywność rodzimych wykonawców w ostatnich miesiącach 2010 roku

Na brak wydarzeń kulturalnych w Zielonej Górze narzekać z pewnością nie można. Odbývają się wystawy, występują kabarety, Lubuski Teatr ma w swojej ofercie różnorodny repertuar, kluby i instytucje organizują koncerty popularnych w kraju artystów. A i niedawno zawiatało do nas kilku zagranicznych wykonawców. A jak ma się muzyka rodzimych twórców? Czy zielonogórscy muzycy poprzez swoją działalność w widoczny sposób ożywiają tutejszą kulturę? Spróbuję odpowiedzieć na te pytania, przypatrując się bliżej życiu muzycznemu w winnym grodzie.

Jako jedną z najbardziej trwałych i solidnych instytucji kulturalnych można wskazać Filharmonię Zielonogórską. Myślę, że bez wątpienia da się ją zaliczyć do wizytówek miasta. Przez wiele osób kojarzona jest w pierwszej kolejności z muzyką. Takie też skojarzenie bardzo często padało podczas sondy ulicznej przeprowadzanej przeze mnie na potrzeby audycji radiowej. Placówka ta od lat zajmuje się ożywioną działalnością koncertową, w każdym miesiącu oferując różnorodny repertuar. Orkiestra pod dykcją Czesława Grabowskiego często wykonuje największe dzieła muzyki światowej, zapraszając solistów czy też dyrygentów cieszących się dużym uznaniem w Polsce bądź

za granicą. Pod koniec roku 2010 w Filharmonii Zielonogórskiej rozbrzmiewały m.in. takie utwory jak *Popołudnie fauna* Claude'a Debussy'ego, *Weinachtsoratorium* Jana Sebastiana Bacha, *Stworzenie świata* Josepha Haydna. Warto także wspomnieć o koncercie andrzejkowym, w trakcie którego orkiestra wykonała utwory muzyki filmowej autorstwa Ennio Morricone i Nino Roty. Jako solista wystąpił jeden z najlepszych polskich saksofonistów jazzowych Henryk Miśkiewicz. Cieszy więc aktywność muzyczna Filharmonii Zielonogórskiej. Jeśli natomiast miałbym wrzucić jakiś kamyczek do ogródka, to poruszyłbym kwestię marketingu, większego szumu medialnego wokół działań tej placówki. Same plakaty to – moim zdaniem – niezbędne minimum. Może warto byłoby dotrzeć do osób mniej zorientowanych w tzw. muzyce poważnej, zachęcić studentów zniżkami...?

Pozostając jeszcze przy tym nurcie, chcę wspomnieć o Chórze Żeńskim Polirytmia, od dwudziestu czterech lat prowadzonym przez Janinę Nowak. Chór ma swoją siedzibę przy Domu Harcerza. W grudniu odbył się coroczny mikołajkowy koncert Polirytmii. Oprócz różnorodnego repertuaru, zawierającego m.in. utwory negro

spirituals, współczesne czy kolędy ukraińskie, wystąpiło liczne grono zaproszonych gości. Wśród nich znakomity, utytułowany gitarzysta klasyczny Robert Horna.

Istnieją w Zielonej Górze jeszcze inne chóry, wśród nich godne uwagi są z pewnością: Chór Towarzystwa Śpiewaczego Cantemus Domino, prowadzony przez Macieja Ogarka oraz kameralny zespół wokalny Cantores Viridimontani wykonujący muzykę renesansu i baroku. Jego dyrygentem jest Jerzy Markiewicz.

Jazz w Zielonej Górze opiera się w dużej mierze na istnieniu Big Bandu Uniwersytetu Zielonogórskiego, któremu od lat niestrudzenie przewodzi Jerzy Szymaniuk. Z Big Bandem UZ ściśle powiązany jest uniwersytecki kierunek jazz i muzyka estradowa. Co roku w naszym mieście pojawiają się młodzi muzycy pogłębiający swoją wiedzę w zakresie tego gatunku. Tworząc różne projekty, występują zarówno na lokalnej scenie, jak i w kraju. Aktualnie grupę studentów owego kierunku tworzą mieszkańcy Dolnego Śląska, Wielkopolski, również odległej Małopolski i oczywiście województwa lubuskiego. Po ukończeniu studiów część z nich opuszcza Zieloną Górę, przeprowadzając się do większych miast, gdzie mają możliwość dalszego rozwoju. Wśród muzyków, którzy są absolwentami JiME, warto wymienić kilka nazwisk: Marcin Pendowski, Mateusz Krautwurst czy Mikołaj Budniak. Obecnie aktywnie działają oni w środowiskach muzycznych Warszawy i Krakowa.

Jeżeli chodzi o twórcze działania studentów jazzu... w ostatnim czasie, w grudniu miały miejsce pierwsze koncerty The Aardvark Trio odbywające się najczęściej w kawiarniach. Młodzi muzycy z pierwszego roku tego kierunku zaprezentowali standardy jazzowe, jak też własne kompozycje. Skład zespołu (Piotr Lipowicz – gitara, Paweł Wszółek – kontrabas, Piotr Budniak – perkusja) jest isticie ogólnopolski. Punktem wspólnym są obecne, muzyczne powiązania z winnym grodem. Jazzmani regularnie też organizują w klubach jam sessions, czyli otwarte, swobodne i wspólne muzykowanie na scenie. Ciekawą

inicjatywą jest również powstanie dwunastoosobowego zespołu grającego muzykę na żywo na potrzeby imprez tanecznych pod nazwą Stu-dance party.

Istnienie kierunku JiME powoduje, iż w naszym mieście udzielają się pedagogicznie wybitni polscy muzycy. Saksofonista Piotr Baron, gitarzysta Artur Lesicki, trębacz Artur Majewski czy nauczający tu przez dłuższy czas bracia Niedzielowie to czołówka jazzowych instrumentalistów. Ich aktywność nagraniowa, jak i koncertowa ma miejsce nie tylko w kraju, ale i poza jego granicami. Warto jeszcze wspomnieć o Indze Lewandowskiej i Jakubie Stankiewiczu – równie znakomitych muzykach oraz pedagogach, którzy na stałe osiedlili się w Zielonej Górze.

Zespoły z nurtu muzyki popularnej są w Zielonej Górze dość liczne. Problemem natomiast bywa ich mała stabilność oraz aktywność koncertowa. Miejsc do występów nie brakuje, gorzej, gdy pojawiają się rozbieżności między artystami a klubami muzycznymi. Jak to często bywa, również i tutaj rzecz rozbija się o pieniądze oraz związane z tym różne oczekiwania każdej ze stron. Nie jest to sytuacja mająca miejsce tylko w naszym mieście. Zespoły, chcąc jednak występować, muszą godzić się zazwyczaj na granie za darmo lub zwrot kosztów podróży. Odkładając na bok te analizy, chciałbym wskazać kilku wykonawców wartych uwagi. Przy ich doborze kierowałem się również aktywnością tychże zespołów w ostatnim czasie.

Jednym z nich jest grupa Palisounder, powołana do życia i prowadzona przez wokalistkę, skrzypaczkę oraz kompozytorkę Katarzynę Pawłowicz. Palisounder wykonuje autorskie utwory utrzymane w akustycznej konwencji, inspirując się folklorem polskim, a także irlandzkim. Całość brzmi współcześnie, nasuwając skojarzenia z tzw. world music. Zespół wykorzystuje różnorodne, egzotyczne instrumenty: dudy, whistle, udu, łącząc ich brzmienie z tradycyjnymi skrzypcami, gitarą czy pianinem. Palisounder warto wyróżnić właśnie ze względu na własny, ciekawy artystycznie styl, a także aktywną działalność (koncerty, nagrania).

Inny zespół, przykuwający uwagę zarówno muzyką, jak i oryginalną nazwą, to Pewne Podniety Akustyczne. W większości składający się z absolwentów wspomnianego wcześniej kierunku jazz i muzyka estradowa uzupełniani jest przez instrumentalistów niezwiązanych z jazzem. Jest to o tyle istotne, że daje bardzo nietypową, ale i miłą w odbiorze, okraszoną dobrym humorem mieszankę. Dźwięki tej formacji zawierają w sobie zarówno elementy rockowe, jak i jazzowe. Muzycy starają się regularnie występować, głównie w województwie lubuskim, ale też powoli udaje im się „koncertowo” przekraczać jego granice.

Grupa Jakoś To Będzie w ostatnich miesiącach 2010 roku pracowała bardzo intensywnie. Efektem tego był cykl koncertów (również w dużych miastach w Polsce) oraz wydana płyta pt. *Historia*. Zespół wykonujący muzykę z gatunku punk-rock ma w swoich szeregach basistę Ireneusza Wereńskiego. Jest on od wielu lat członkiem zastępowego dla polskiej muzyki rockowej Kultu z liderem Kazikiem Staszewskim. Wereński od dłuższego czasu jest mieszkańcem Zielonej Góry, na czym z pewnością zyskuje lokalna scena muzyczna.

Warto też wspomnieć o QU4TTRO – grupie udzielającej się nie tylko koncertowo, ale też wydawniczo. Wydana w 2010 roku debiutancka płyta *Słowa nieistotne są* recenzowana była na wielu ogólnopolskich portalach internetowych i w opiniotwórczym miesięczniku „Teraz Rock”. Dodatkowo grupa intensywnie promuje się poprzez uczestnictwo w konkursach czy kręcenie wideoklipów. Styl QU4TTRO to ciężka odmiana rocka, w której jednak, na zasadzie kontrastu, ważną rolę odgrywają spokojniejsze dźwięki.

Na sam koniec przeglądu rockowej czy też tzw. rozrywkowej sceny chciałbym wymienić kilku wykonawców mniej ostatnio widocznych, ale równie wartościowych i od czasu do czasu dających o sobie znać: Andriej Kotin – gitarzysta, wokalista, autor tekstów i piosenek utrzymanych w folkowym klimacie; 2PU – istniejący już wiele lat rockowy zespół, posiadający w swoim dorobku dwie płyty; Mate – wielostylowa muzyka, opierające się na reggae, jazzie i folku. Jeszcze niedawno artyści wspólnie stworzyli muzykę do spektaklu *Wizyta starszej pani* w Lubuskim Teatrze, wykonując ją na żywo podczas przedstawienia.

Te przykłady najbardziej aktywnych przejawów działalności muzycznej w naszym mieście pokazują, że oferta kulturalna rodzimych muzyków ma się całkiem dobrze. Często występuje Orkiestra Filharmonii Zielonogórskiej, istnieją chóry, bardzo liczne jest grono zespołów popowych i rockowych. Nie pisałem o wszystkich, starając się wyszczególnić te, które w ostatnim czasie wychodziły ze swoim repertuarem do publiczności. I mimo nie najgorszej sytuacji chciałbym, aby nasi wykonawcy pojawiali się na scenach jeszcze częściej. Ich działalność może nie tylko ubarwiać, ale w znaczący sposób kreować kulturalny krajobraz Zielonej Góry. Poziom techniczny zielonogórskich muzyków prezentuje się naprawdę dobrze, a artyści tworzący autorski repertuar mają wiele ciekawego do przekazania. Mam więc nadzieję, że kolejny rok dostarczy nowych, interesujących wrażeń muzycznych. Ze szczególną uwagą spoglądać będę w stronę studentów jazzu i muzyki estradowej. Oby duży potencjał uczących się tam muzyków został jeszcze pełniej wykorzystany.

jesienne sny

odkąd każą jej
zakładać różowe okulary
miewa złe sny o poetach

boi się
że przyjdą i zobaczą
jak płacze w godzinach
przeznaczonych na pisanie
albo patrzy na kałużę
melancholią ozdobioną
albo myśli zbyt daleko
widząc mokry złoty liść
lub co gorsza skrobie palcem
mdły aforyzm gdzieś na ławce

miewa więc złe sny o poetach
terapeutach jakby
którzy
udając natchnienia
piszą na konkursy

Studenckie Koło Literaturoznawców, działające przy Zakładzie Teorii i Antropologii Literatury Uniwersytetu Zielonogórskiego po raz trzeci zorganizowało „Konkurs na wiersz jesienny”. III edycja konkursu, podobnie jak dwie poprzednie, zakończona była wieczorem poezji jesiennej o nazwie *Jesienny dancing z poezją*, który odbył się 30 listopada w zielonogórskiej herbaciarni W Poszukiwaniu Straconego Czasu. Prezentujemy wiersz, który otrzymał nagrodę główną w konkursie – *jesienne sny* Mirosławy Szott oraz utwór wyróżniony – *Romans jesienny* Andrieja Kotina.

Romans jesienny

W złotej sali jesiennej,
leniwie, niedbale
tańczą walca z powietrzem, tęskniącym za burzą,
Kochankowie.
Lecz ona nie kocha go wcale,
a i on też nie myśli już o niej zbyt dużo.
Zresztą myśl,
jak powiedział nieznanemu poecie
(i nie tylko poecie, bo również prozaike),
to sobowtór pragnienia, pstrokata paleta
nieuchwytnie falistych i mglistych mozaik.

Każdy liść jest jak serce:
i nawet nie chodzi
o podobną strukturę i inne banały,
dotyczące odbicia miłości w przyrodzie –
Nie,
po prostu te liście naprawdę zaznały
smutnej prawdy tych dni,
gdy wiosenne rozkosze,
jego drżące „Czy mogę...”,
jej niepewne „Tak, proszę...”, –
opuściły Kochanków,
by w końcu, znużeni,
mogli upaść i zgnieć
w pajęczynie korzeni.

Miejskie dzieci

Anna Kraško i Adrian Nejman – duet kreatywny, autentycznie zainteresowany i zorientowany w szeroko pojętej sztuce współczesnej. Słowami najlepiej ich opisującymi są określenia związane z dynamiką, ruchem, twórczością i aktywnością.

Są pewnego rodzaju fenomenem; funkcjonują w sferze kultury naszego miasta, współtworzą ją konsekwentnie od przynajmniej 7 lat, wynajdują coraz to nowsze nisze, które wypełniają swoimi pomysłami. Fenomenem, ponieważ nikt ich nie zapraszał ani nie robił dla nich miejsca, oni sami te miejsca sobie wynajdują, tworzą, nadają im klimat i przyciągają ludzi.

Niekwestionowanym atutem tej dwójki, przesądzającym na pewno o ich rozpoznawalności, jest konsekwencja w działaniu. Kiedy już zaczną nad czymś pracować, ciężko ich zatrzymać, imperatyw do bycia w ruchu, w działaniu, w sztuce, jest u nich bardzo silny. Wymyślają i realizują jeden projekt po drugim, wbrew piętrzącym się przeciwnościom – prozie życia, która wiele osób z pewnością by zniechęciła.

Martyna Krutulska-Krechowicz

Najpierw, podczas studiów, przez kilka lat działali w Kole Naukowym, prowadząc studencką Galerię PWW przy ulicy Wrocławskiej 7. „Galerii PWW poświęciliśmy praktycznie cały czas swoich studiów, niejednokrotnie rezygnując z własnych

celów na rzecz organizacji wystaw. To PWW wyznaczyła naszą dalszą drogę w świecie artystycznym”. Tam zaczęła się ich przygoda z działalnością kulturalną. Przynajmniej raz w miesiącu miały miejsce wystawy artystów z Polski oraz środowiska lokalnego, a także kilka ich własnych. Do nich należy trzydniowy happening *Out of system – 72h bez snu*, podczas którego z grupą przyjaciół zamknęli się na trzy dni i nocę w galerii z postanowieniem niespania na rzecz tworzenia. Jeszcze wcześniej miała miejsce ich autorska wystawa-happening, zapowiadana na korytarzu Instytutu Sztuk Pięknych UZ przez Różowy Odkurzacze po Wybuchu, na Starym Oknie. W dniu wystawy wpuścili przybyłych do galerii, w której panowała totalna ciemność, na wejściu rozdając zapalniczki z kolorowym laserem i lizaki. W środku nie było tradycyjnej wystawy. Widzowie zastali białe ściany, które sami malowali światłem kolorów. To również w PWW Adrian rozpoczął malowanie obrazów *materiał farby i światłem*, często wykonywując szyby zamiast tradycyjnego płótna.

Annę i Adriana poznałam na pierwszym roku malarstwa, na studiach były to postaci tak nietypowe dla swojego otoczenia, że ciężko było ich nie poznać. An wnikliwa, badawcza, czujna, obserwująca wszystko dookoła, a zarazem dokładna w każdym szczególe. Dziewczyna o czystym umyśle. Adrian aprobujący

życie ponad wszystko – wulkan energii, wrażliwy zapaleniec, o świeżym spojrzeniu [...].

Marika Sobczak

Drugą po PWW, tym razem w pełni własną inicjatywą kulturalną była Fabryczna 13 Centrala Twórcza. Tam po raz pierwszy poczuli, że ich marzenia przybierają realne kształty. „Ulica Fabryczna od dawna była naszą inspiracją, a przechodząc koło Fabrycznej 13 czuliśmy, że to TO miejsce”. I tak w 2008 r. w starej tkalni otrzymali pracownię, którą szybko przekształcili w alternatywne miejsce kultury i sztuki, niezależną przestrzeń wystawienniczą, zrzeszającą artystów, animatorów i ludzi o podobnych zainteresowaniach. Powstała nieformalna grupa artystyczna F13. Jej skład nie był stały, wynikał z aktualnych potrzeb i chęci ludzi, którzy zaangażowali się w tworzenie miejsca. Działy tam: Galeria Działa, Czytelnia CZ13 i zaczątek Galerii Audio-Wizualnej Magazyn. To w Magazynie miał miejsce performance-eksperyment multimedialny *Arytmetyka*, będący pomyslnie zakończoną próbą generalną dla idei galerii i jednocześnie ostatnią szansą na wykorzystanie unikatowej przestrzeni starej fabryki włókienniczej w podobnym celu. Podczas dwóch odstępów zaprezentowane zostały dźwięki niszowych kierunków muzyki elektronicznej, pokazy video, wizualizacje live i performance w wykonaniu artystów video i action art. Ogółem w FCT13 zorganizowano kilkanaście wydarzeń – wystaw, pokazów video, festiwali i akcji artystycznych pod szyldem F13. Większość bez wsparcia finansowego, przy minimalnym, ale maksymalnie możliwym wkładzie własnym. Tak też rozpoczęło się wydawanie informatora kulturalnego *Tak.Tlen*. Pierwszy numer drukowany całą noc w piwnicy, następny miał formę elektroniczną. „To co wydarzyło się na Fabrycznej i wokół niej było efektem wewnętrznej potrzeby tworzenia sceny kulturalnej w mieście, miejsca, w którym odnajdziemy się także my sami. Nie byliśmy nastawieni na zysk. Nie można tak jednak działać przez cały czas...”. FCT13 funkcjonowała, dopóki nie rozpoczął się remont i realizacja miejskiego planu zagospodarowania

fabryczki. Coś odeszło, skończył się pewien etap, jednak potrzeba działania pozostała. Obecnie twórcy pracują nad kolejnym projektem.

Przez pewien czas – przed miejską rewitalizacją – Fabryczna 13 to był dobry adres. Dobry, bo przyciągał rozmaite artystyczne dusze.

[...] mam dylemat, jakie konkretnie z szerokiej listy działań i dokonań mógłbym u nich szczególnie wyróżnić. Ich działania są bowiem tak niezliczone, a pomysły tak wielowątkowe i wielobarwne, że chyba sami nie byłiby do końca w stanie ich wymienić.

Damian Hajduk

Pasją dającą siłę do działania były i są podróże, nawet te bardzo krótkie. Gdy tylko nadarzała się okazja, wybierali się w nie z minimalną kwotą w portfelu. Ogromny wpływ wywarł na nich Śląsk. „Do Katowic zaczęliśmy podróżować na pierwszym roku studiów. Zapomniany przez wszystkich region, w którym czas zatrzymał się wraz z rozpoczęciem transformacji ustrojowej. W założeniu twórców – Kosmiczne Miasto”. Tak narodził się jeden z pierwszych pomysłów – idea akcji *Utworzyć Wolne Miasto Katowice*. „Akcja miała charakter propagandowy, rozklejaliśmy wlepki z hasłem na tle zarysu miasta” – wspominają. Z każdej wyprawy powstawał spontaniczny materiał zdjęciowy i filmowy – „nigdy nie wiedzieliśmy, gdzie tym razem trafimy, więc trudno było zaplanować wycieczkę. Najważniejsze, że mieliśmy przez to poczucie wolności. Zawsze bardzo krytycznie podchodzimy do otaczającej nas rzeczywistości”. Podróże ukształtowały w nich pewne przekonania o słuszności lub nie pewnych faktów i zjawisk mających miejsce w historii, zadecydowały o akceptacji bądź odrzuceniu zaistniałego stanu rzeczy.

An+Ad = Industrial art couple no. 1 in Greenberg city...

Mariusz Max Jasionowski

Jako twórcy nie ograniczają się do jednego medium, eksperymentują z formami przekazu. Chętnie

poruszają tematy związane z kondycją współczesnego świata i człowieka, konsumpcją będącą dziś w wielu przypadkach zamiennikiem potrzeby samorealizacji, wojną, uwarunkowaniami historycznymi. Szczególnie Adrianowi bliskie są metafory bez zbędnych słów i znaczeń. Jego sztuka jest mocno zorientowana, zaangażowana, nieraz szokująca przez oczywistość problemu. Zawsze świeża i jasna w odbiorze, mówi językiem uniwersalnym i porusza problemy dotyczące ogółu ludzkości. Posługuje się charakterystycznymi symbolami, jak np. wózek na zakupy wypełniony kamieniami czy służący za przedłużenie człowieka element „ułatwiający” codzienne funkcjonowanie. W zamian za to człowiek w happeningu *Kungfu school* zostaje pozbawiony zmysłów: wzroku, słuchu i czucia, jest kierowany przez przedmiot, jak całe społeczeństwo masowe. Domeną Adriana jest również performance. Brał udział w wielu festiwalach performance’u, m.in. w Toruniu i Poznaniu. Tłucze szyby samochodowe, na których wcześniej czerwoną farbą napisał słowo MAN, na swojej obronie stoi z pętlą na szyi naprzeciw telewizora ze zmieniającymi się programami, by na końcu zejść, z impetem uderzyć w obudowę, co sprawia, że na ekranie pojawia się desktop systemu Windows...

Anna posługuje się głównie nowymi mediami. Tworzy obrazy fotograficzne oraz video, dla

których inspiracją jest otaczająca rzeczywistość, głównie obszary przemysłowe i postindustrialne. Jej prace mają jednocześnie formę dokumentalną, pokazują bowiem rzeczy dziejące się w czasie, niepoddane transformacji, ważny jest już sam aspekt ich wydarzenia się. Aspekt ten ujmowany jest głównie pod kątem przemijania kultury ludzkiej, a z drugiej strony niesamowitości ludzkich tworów, ogromu możliwości współczesnego człowieka w kreowaniu świata. W pracach artystki styka się więc budująca i (samo)destrukcyjna siła ludzkich możliwości.

Nieobcy tym twórcom jest aspekt ekologii i przetwarzania materiałów – półproduktów sztuki, takich jak: drzwi od lodówek marki Polar przerobione przez Adriana na kilka różnych sposobów, przez co gotowe są do ponownego użycia. Bądź gigantyczny, kilkudziesięciometrowy wąż z plastikowych butelek po napojach, który w ramach akcji Punkt13 przetransportowany został na tzw. Gruzję i tam zawieszony pomiędzy kilkoma nieczynnymi słupami oświetleniowymi. Anna usuwała część płyt deptakowych, by w luce posadzić trawę, a następnie akcją rozszerzyć na ubytki w chodnikach w Zielonej Górze. W videoinstalacjach wykorzystuje obudowy telewizorów stojące w świetle tv 'brak sygnału' czy zniszczone części samochodowe, które maluje neonową farbą.



Adrian Nejman, *Kungfu school*, Festiwal Sztuki ZonArt 2008



Adrian Nejman, *Zzarał* – wysrał, instalacja, Mięsohistoriografia, Galeria Działa, 2009



Adrian Nejman, *Invader*, kolaż 2009

Adrian wynajduje zależności pomiędzy zaistniałymi sytuacjami a uwarunkowaniami geograficznymi czy kulturowo-językowymi. Tak powstała mapa Europy przedstawiająca kota – instalacja ścienna wraz z naczynkiem na jedzenie po jednej i kocią kuwetą po drugiej stronie. Praca wymownie ukazuje miejsce Polski w europejskim systemie polityczno-społecznym.

Ta para należy do osób istotnie obecnych w przestrzeni miejskiej, uważnie obserwujących nietrwałość rzeczy martwych, a także tych żywych. [...] renowacja, transformacja i adaptacja terenu lokalnego to domena ich aktywności [...].

Marika Sobczak



Anna Kraško, *Z pamiętnika elektryka*, instalacja video 2009, Mięsohistoriografia, Galeria Działa



Adrian Nejman, *Przebiegunowanie – instrument do odnajdywania środka*, happening 2009



Anna Kraško, *Szara Pani*, obiekt 2007

Tkanka miejska jest dla nich materiałem twórczym. W dużej mierze bazują na przemysłowej historii miasta, inspirują się przeistaczającym się otoczeniem, jednocześnie poruszając problem konsumpcjonistycznego podejścia do życia. Anna w swoim dyplomie wykorzystała sztyd byłego Domu Handlowego Polon, ocalonego w trakcie rozbiórki części obiektu, dzisiejszej Tkalni przy ul. Fabrycznej. *Szara Pani*, czyli ośmiometrowa reklama z blachy, której reaktywacji towarzyszyły zdjęcia i film z etapów przemiany starej tkalni Jankcego, stanęła na ok. dwa lata na podwórzu Fabrycznej 13 przy Galerii Stara Fabryka, rok przed rozpoczęciem działalności F13.

Adrian jest inicjatorem wielu akcji artystycznych i happeningów w przestrzeni miejskiej. Zwracają one często uwagę na zapomniane, a istotne elementy krajobrazu miejskiego. Takim działaniem było czyszczenia grobowca Beuchelta w Parku Tysiąclecia czy akcja na moście w Cigacicach, gdzie grupa pomalowała poręcz zdewastowanego mostu białą farbą. Te artystyczne praktyki często wkraczają w przyjęte normy. Przykładem może być tu Pogrzeb Polskiej Wełny, tuż po tym jak przeistoczono ją w galerię handlową. Akcja miała miejsce na fontannie-grobowcu przed GH.

Happening wyrażał sprzeciw wobec unifikacji otoczenia i potrzeb ludzkich przez wprowadzanie narzuconych trendów i niwelowanie tym samym charakterystycznych, unikalnych miejsc podtrzymujących lokalną tożsamość na rzecz spełniania sztucznie wytwarzanych oczekiwań.

[...] Zadziwia wszechstronność tej dwójki, równie dobrze radzą sobie jako artyści, kuratorzy czy organizatorzy wystaw. Obcując z nimi, łatwo wyczuć, że żyją tym, co robią, że robią to, co czują. Realizują swoje wewnętrzne potrzeby, zrzeszając wokół siebie wiele osób o podobnych zainteresowaniach, a jednocześnie nie narzucając się innym ze swoimi pomysłami.

Wyraźnie wpisują się we współczesną kulturę, współtworzą ją. Mimo braku jednej stałej siedziby, udało im się stworzyć coś, co jest uzupełnieniem i dialogiem w odniesieniu do galerii BWA. Chociażby po frekwencji na organizowanych przez nich wydarzeniach widać, że nie tylko oni potrzebują takiego miejsca. Wyznawców, twórców i użytkowników sztuki współczesnej jest dużo więcej, w końcu wyraża ona współczesne pokolenie.

Martyna Krutulska-Krechowicz



Pogrzeb Polskiej Wełny, happening F13 2008

Jaś i Małgosia

Tych dwoje tak naprawdę
nie było zgodnym rodzeństwem
– chłopiec często
ciągnął siostrę za warkocze
które mama zaplatała
na przekór Małgosi
i jej cienkim włosom

czarownica – owszem
miała domek z pierników
ale nie były one
pierwszej świeżości

Jaś połowę bajki
spędził w wychodku
ale potem się do tego
nie przyznawał
– podobnie zresztą
jak do operacji plastycznej uszu

Małgosia zaś po bajce
wyremontowała domek
czarownicy
i adoptowała jej kota

Sen Małgorzaty

Małgorzata zasnęła
ze stopą
wystawioną spod kołdry
zasnęło pięć jej palców
i pięta
Małgorzata śpi
wciska w poduszkę twarz
w okularach
Małgorzata nie wie
że poruszyła dłonią
że pomrukuje przez sen
i że chrapie

Małgorzata zasnęła
nieświadoma
swoich czterdziestu lat

Czerwona róża

Nade mną migotały gwiazdy, a we mnie drzemała bezsenność. Jeżeli tylko miałbym odrobinę siły, zdobywałbym się na cynizm, ale cynizm był już dawno poza mną. Była godzina 4.20 rano, a ja od kilku godzin chodziłem po Mieście. Zdecydowałem się na pisownię tego miejsca wielką literą, choć przeceniałem jego rolę. Celem takiego zabiegu było, zdaje się, nadanie mu pewnej rangi.

Na chodnikach, śmietnikach i dachach kiosków leżał śnieg. Nie tylko zresztą tam. Wszędzie było dużo śniegu, z wyjątkiem oczywiście ulic – co jakiś czas przejeżdżał po nich samochód. Były to najczęściej taksówki lub wozy policyjne. Kto inny jeździłby w grudniu o czwartej nad ranem? Powieki miałem wyjątkowo ciężkie, ale wiedziałem, że nawet jeżeli wrócę do wynajmowanej kawalerki, nie usnę. Trwało to już ponad sześć tygodni, ale tego nigdy nie można być do końca pewnym. Poza tym miałem coś do zrobienia. Jeżeli już zdecydowałem się wyjść z zamieszkiwanego sześcianu, musiałem mieć powód. Inny aniżeli ten, że kawalerka zwiesza się nade mną sufitem i wystawia głowę żyrandola w celu pożarcia mnie.

Latarnie rzucały bladą poświatę, która osiadała na białej pościeli. I tylko za mną wlokły się ślady ciężkich butów, ślady, które nie pasowały do bajki o Kopciuszku, zasypywane przez prószący śnieg, wymazywane przez niebo. Szedłem już wiele godzin, choć mogły przecież być to także dni, bo tam, gdzie nie ma snu, nie istnieje również jawa.

Na jednej z wygaszonych wystaw sklepowych zauważyłem manekiny, które za kilka godzin miały rozpocząć pracę, prezentując zimową kolekcję odzieży, lecz teraz jeszcze stały nieporadnie, dźwigając kolorowe pętle szalików i kajdany rękawiczek. Przystanąłem na chwilę i przyjrzałem im się uważniej – nie było tam już nic prócz niebieskiej ściany, a ja zrozumiałem, że jest to *Rozstrzelanie cieni* Wróblewskiego i że po każdym dziennym spektaklu, po wielogodzinnym wybiegu, manekiny czeka śmierć. Pomyślałem więc, że pewnie chciałyby być bohaterami jakiejś książki lub przynajmniej jednej kartki w pamiętniku, nawet jeśli pisany byłby tylko w czyimś umyśle.

Czekał mnie jeszcze kawałek drogi, ale wiedziałem przecież, że w końcu dotrę do tego żółtego namiotu, podobnego lub chociaż zupełnie innego od tych, jakie mieli perscy kalifowie podczas odległych podróży.

Postanowiłem nadłożyć drogi, by pójść przez park. Drzewa skąpane były w srebrze i wiedziałem już, że to nie ja idę, ale one, że to są przecież entowie zbierający się na naradę. Stałem więc, a one maszerowały lasem jak w którejś ze sztuk Szekspira, kompas księżycy wskazywał drogę. Kiedy już wszystkie odeszły, pozostawiły po sobie ławki podobne do łóżek, ale było pięć, może dziesięć stopni poniżej zera, w każdym razie zbyt zimno, aby mógł leżeć na nich jakiś człowiek. Tylko odarta z banderoli butelka z ukruszoną szyjką zamarzała na jednej z nich.

Nieśmiałe wstęgi pomarańczy zaczęły już powoli rozcinać niebo, niosąc ze sobą świeżość niechybnie nadciągającego dnia. Na razie wciąż nie były widoczne, czułem jednak, jak wypełniają zza horyzontu mary sennej i przeobrażają się w jasne gąsienice smug. Niedługo zaczną ryć, a wtedy ziemia zadrży i będzie to znak, że mogą już jechać tramwaje, a kostki bruku przeciągną się leniwym dreszczem. Dla mnie jednak czas nie miał znaczenia, od dawna już nie zwracałem na niego uwagi, choć tak naprawdę wiedziałem, że to on zapomniał o mnie i poszedł dalej, gdy ja pozostałem w pętli.

I kiedy tak niosłem swoje niespełna siedemdziesiąt kg, parę zapuchniętych oczu i kilka zdrowych czy chorych organów, ale także przecież i inne rzeczy, zrobiło mi się lekko i jak na łyżwach poruszałem się po kałużach lodowisk, bo z każdą minutą byłem coraz bliżej miejsca, gdzie spoczywała czerwona róża. Widziałem ją także teraz, zimną, stojącą na mrozie pośród wielu innych kwiatów, czekającą wciąż na mnie. Przesuwałem się więc od jednej kałuży do drugiej, od drugiej do trzeciej jak po nici i tak dalej, i dalej, a przecież bliżej i bliżej celu.

Podczas tej wędrowki towarzyszyły mi fragmenty pejzaży, skrawki obrazów, wycinki spostrzeżeń i odłamki myśli. Miasto nie miało żadnej architektury, żadnego kształtu ogólnego. Byłem zmęczony i wiedziałem, że segmenty ulic muszą złożyć się w taką mozaikę, która doprowadzi mnie do końca drogi, jakakolwiek by ona była, przez jakiegokolwiek manowce wiodła. Mijałem kamienice i bloki, a one mijały mnie, choć pozostawiały po sobie mglisty ślad popękanych tynków z zaciekami tych wszystkich dramatów, jakie rozgrywały się pod ich skórą. Balkony – pokoje bez ścian – ukazywały żebra balustrad i organy wystawionych na żer rdzy sprzętów. Foliowa torebka poderwana do lotu wiatrem nabrała powietrza w płuca, by po kilku niezdarnych kołowrotekach osiąść i odetchnąć na chwilę w przyczajeniu przed światem, a ja wciąż szedłem dalej, dźwigając na plecach półświt i kołowrotek myśli. Pomyślałem wtedy, że jeżeli się zatrzymam, on zatrzyma się także pozbawiony jakiegokolwiek energii, więc wyobraziłem sobie różę, ale jej obraz wypierany był przez wiersz, dawno już czytany, niemal zapomniany, w którym mogło to być również imię umarłej dziewczyny. Dualizm ten nie chciał mnie już opuścić i miałem go ze sobą, gdy wreszcie dotarłem do złotego jak kanarek namiotu.

Tę całodobową uliczną kwiaciarnię prowadziła na zmianę z mężem czterdziestodwuletnia kobieta o spracowanych rękach i zmęczonej twarzy. Miała na imię Ewa, a jej syn od długiego już czasu leżał w szpitalu. Potrącony na pasach przez zbyt szybko jadący w przyszłość samochód, teraz pozostawał w stanie śpiączki. Rodzice, niczym gwardia honorowa, na zmianę stali przy jego ułożonej starannie na poduszce głowie i spoglądali z lękiem na jego nogi, czy przyczajona tam śmierć nie zacznie przesuwać się w kierunku jasnej, dziecięcej jeszcze czupryni. Łukasz oddychał równomiernie, a jego serce uderzało jednostajnie życiem. Rodzice wsłuchiwali się w tę najpiękniejszą z muzyk, nawet wtedy gdy jedno z nich właśnie znajdowało się w kanarkowym namiocie.

Stała w zbyt ciężkiej kurtce puchowej i w wełnianej czapce.

– Poproszę jedną czerwoną różę – powiedziałem do niej.

– Z tych wysokich? – spytała, spoglądając na czarny plastikowy wazon, w którym gnieździły się smukłe, przyprószone brokatem kwiaty.

– Nie, z tych obok. Mogę sam wybrać?

– Oczywiście.

Dojrzałem ją od razu. Była taka, jakiej obraz tutaj przyniosłem, a może jeszcze piękniejsza. Owinęta płatkami, wtulona sama w siebie, spoglądała na mnie nieśmiało. Wyciągnąłem ją spośród innych, wyróżniłem dotykiem, delikatnie ujmując pod kwiatem.

Zapłaciłem za jej uwolnienie i spojrzałem na moją kwiaciarkę.

– Proszę się nie martwić, pani Ewo, Łukasz na pewno z tego wyjdzie.

– Jaki Łukasz? – spytała.

– Pani syn.

– Ale ja przecież nie mam syna. I mam na imię Dorota. Pan mnie musiał z kimś pomylić.

Nie odpowiedziałem. Mogła mieć przecież na imię Ewa, mogła mieć przecież syna – pomyślałem. Odwróciłem się i wyszedłem z różą, lecz nie wiedziałem, czy namiot nie złoży się za mną, czy nie rozpadnie się jak domek z kart, pozbawiony najważniejszej z nich.

Przeszedłem kilkadziesiąt metrów i zatrzymałem się na jakimś placu. Na jego środku powinno być źródło, lecz stała tylko nieruchoma fontanna. Kamienne drzewo, z którego liści miała ściekać woda, podczas mrozu traciło zasadność swojej egzystencji. Przystanąłem przy nim i popatrzyłem na swój kwiat, który twardniał z każdą upływającą sekundą.

Krajobraz rozmył się zupełnie. Tylko ziemia wciąż pozostawała stabilna jak pokład statku na środku oceanu. Nie było uliczek i placu, nie było Miasta i fontanny, nie miałem przecież już dokąd iść. Pozostawała róża, ale nie wiedziałem, co z nią zrobić, gdy w mojej dłoni przekształcała się w marmur. Mógłbym ją zanieść na cmentarz, by jej kolor rozświetlił ciemną bezimienną mogiłę, tylko że wszystkie cmentarze były pozamykane, a między grobami wciąż chodzili mężczyźni o mocnych szczękach, ubrani w czarne uniformy jednej z firm ochraniarskich.

Poczułem wreszcie głód, nie jadłem cztery, może pięć dni, ale może tylko tak mi się wydawało, może tylko przypominałem sobie książkę Hamsuna i odczucia bohatera niebędącego żadnym bohaterem, niebędącego nawet postacią pierwszoplanową, niebędącego nikim rzeczywistym, więc może nieważnym. I tylko te stany, odczucia były prawdziwe, bo przesywały mnie teraz i byłem nimi. To było nawet coś więcej, bo to one mnie kształtowały, ukształtowały, wykształciły myśli, wyprofilowały reakcje, były bodźcem pierwotnym.

Stanowiłem konglomerat, kompilację pewnych niepewności, zestawienie nie-snu i nie-jawy, a zastanawiając się nad tym, pomyślałem również o swojej nieskończonej próżności, bo jak nazwać inaczej to zainteresowanie tym kolażem, rozwodzenie się nad, w gruncie rzeczy, sobą samym. Stanowić więc musiałem to Miasto i tylko róży nie stanowiłem, ale nie miałem teraz co z nią zrobić, a ona nie robiła się dzika w moich rękach, nie starzała się, nie młodziła, lecz zwyczajnie umierała. Choć nawet w tym umieraniu musiało być coś wyjątkowego, konała w sposób jedynej i неповtarzalny. Twardniała mrozem i wiedziałem, że niedługo stanie się nim samym, utraci kolory, zieloną łodygę i czerwony kwiat. Nie mogłem jej jednak oddać, wiem, że wolała umierać przy mnie niż żyć tam. Jednak chciała żyć, ale ja nie wiedziałem, jak ją ocalić, komu ją wręczyć. Była przecież zima, wczesny ranek, a ja byłem sam na placu składającym się jedynie z popękanych płyt chodnikowych.

– Pan znowu tutaj? – usłyszałem za sobą dźwięczny, znajomy, kobiecy głos.

– Na to wygląda – odparłem, nie odwracając się.

– I co pan robi? – usłyszałem, jak głos zbliża się do mnie.

– Piszę powieść – powiedziałem, wciąż patrząc na popękany chodnik.

– Powieść? Przecież nie ma pan napisanego ani jednego zdania.

– Tak, ale wszystko znajduje się tutaj – powiedziałem i przetarłem chropowatą powierzchnię czoła.

– Nieprawda. Pan ma w sobie jedynie burzę nastrojów, żywioł.

– To i tak chyba jest już coś... – powiedziałem bardzo cicho i odwróciłem się.

Miała na sobie białe rozpięte futro i rubinowy szal. Jasna cera idealnie komponowała się z panującą dookoła bielą. Nawet jeżeli wokół była pustka, miała ona kolor grudnia, kolor srebrzystej bieli. Kręcone miedziane włosy czyniły ją podobną do królowej Elżbiety I, a filigranowa budowa sprawiała wrażenie porcelanowej figurki. Była trzydziestoletnią piękną i miała na imię Wiktoria.

Popatrzyłem na nią, a ona uśmiechnęła się delikatnie.

– Może rzeczywiście to jest już coś – powiedziała bez najmniejszego przekonania.

Zmęczenie znowu dało o sobie znać. Oczy kłuła mi ta biel rozświetlana jakimś niesprecyzowanym światłem.

– Wygląda pan na zmęczonego – powiedziała, przyglądając mi się.

Nie odpowiedziałem, a ona ciągnęła dalej.

– Może zaprosi mnie pan na kawę?

– Niestety – odparłem – nie mogę pani zaprosić nigdzie, jestem bez grosza, nie poczęstuję pani nawet drożdżówką.

– To zabawne, nie tylko nie chce pan przejść ze mną na ty, ale do tego nie ma pan ochoty mnie nigdzie zaprosić. Jestem przecież w pana wyobraźni, panu wolno wszystko.

– Więc dlaczego to pani decyduje, kiedy ma się zjawić?

– Tylko pozornie tak jest, miał pan na to ogromny wpływ.

– Czytała pani Remarque'a?

– Tak.

– A Rilkego?

Roześmiała się.

– Oczywiście, że tak. Czytałam te same książki, co pan. Przecież pan sobie tego życzył.

– I odróżnia pana Grunewalda od Bosh'a? Więc proszę zabrać ode mnie tę różę – powiedziałem, podając jej mój kwiat.

– Tego niestety zrobić nie mogę, pan dobrze o tym wie. Więc jak będzie?

– Z czym?

– Z zaproszeniem na kawę.

– Przepraszam – odpowiedziałem. – Gdzie ma pani ochotę pójść?

– Niech pan zdecyduje.

Usiedliśmy w przytulnej kawiarni Rzym przy kwadratowym stolyczku, na którym rozłożony był obrus w drobną kratkę. Lampka na drewnianym stojaku sączyła światło, tworząc nastrojowy półmrok. W rogu sali Cyganie grali na skrzypcach, zaś inny, w liberii z wyhaftowaną literą R, bacznie nam się przyglądał. Zdążyłem już zamówić dwie kawy, para unosiła się z filizanek niczym dżin wypuszczony z butelki.

– Poczęstuje mnie pan papierosem? – zapytała Wiktoria.

Wyciągnąłem papierośnicę i otworzyłem ją przed nią. Smukłymi palcami przeciągnęła po papierosach i zręcznie wysunęła jeden z nich, ja poczęstowałem się również. Odpalając je, poczułem gryzący zapach siarki.

– Potrafi pani ugotować zupę?

– Zupę? – powtórzyła z lekkim zdziwieniem.

– Pomidorową albo barszcz?

– A wyobraża mi pan siebie w kuchni? – spytała, kołysząc głową.

– Raczej nie.

– Ja też nie. Ale pan powinien skupić się na czymś innym.

– Co ma pani na myśli?

– Pan powinien się skupić na mnie.

– Przecież to robię. Koncentruję się na pani.

– To dobrze, to bardzo dobrze – powiedziała, wysoko wypuszczając strużkę dymu, który rozpływał się w świetle.

– W końcu jest pani moją żoną, prawda? I wszystkie kobiety świata powinny być o panią zazdrosne, ponieważ nie ma nic tak intymnego jak wyobraźnia. Czy istnieje coś bardziej prawdziwego, coś piękniejszego niż ona?

– Niech pan mi to powie.

– A jednak pani nie przyjmie jej nigdy ode mnie – powiedziałem i ze smutkiem przeniostałem wzrok na coraz bardziej martwiejącą czerwoną różę.

– Dlaczego pan nie pójdzie do tej dziewczyny z kasyna?

– Tej przy wejściu, która sprawdza mój dowód osobisty?

– Tak, tej która zawsze się do pana uśmiecha i życzy panu szczęścia. Tej, która ma duże zielone oczy i wyraźnie zarysowane usta.

– Może ma pani rację? Może tak właśnie zrobię?

– Proszę więc iść, panie pisarzu.

– Do zobaczenia pani – powiedziałem, dotykając suchymi wargami jej dłoni.

– Rachunek jest uregulowany – powiedział mężczyzna w liberii. – Można powiedzieć: na koszt firmy – dodał i wyprostował się jeszcze bardziej.

Znowu byłem na placu, krajobraz powrócił, ale każdy powrót łączy się ze zmianą. Dlatego nie wierzyłem w powroty, byłem po prostu w miejscu podobnym do tego, w którym byłem wcześniej. Wyblakłe niebo miało kolor spranego jeansu, kamienne drzewo rozłożyło korzenie bruku, który biegł chodnikami w ulice. Wybrałem jedną z nich i skierowałem się w stronę kasyna.

Na skrzyżowaniu siedziała starowinka w czerwonej kurtce z narzuconym na siwe włosy kapturem. Przed nią w koszykach leżały poukładane warzywa, obok kręcił się wyliniaty, wysuszony wilczur. Zagubiona w lesie nigdy nie dotarła do domku z czerwoną dachówką, ale z czasem nauczyła się z tym żyć. Teraz nie pasowała już nigdzie, jednak jej także nie mogłem ofiarować róży. Kobiecie takiej jak ona nie można było już nic ofiarować.

Wejście do kasyna wiodło przez futrynę przypominającą ramę lustra. Otworzyłem ciężkie szklane drzwi i stawiając stopy na miękkim dywanie, wszedłem w głąb. Na ścianach płonęły smukłe lampki, lecz miejsce to wydawało mi się obce. Na końcu korytarza znajdowały się jeszcze jedne szklane drzwi, a przed nimi ustawiony stolik, za którym siedział ogolony mężczyzna w ciemnym garniturze.

Kasyno zawsze miało czas i nigdy nie było nieczynne, stanowiło osobliwą enklawę, gdyż omijały je święta, nie znało zniecierpliwienia i zawsze zapraszało do siebie. Tutaj na ludzkich twarzach nie było znaczącego zmęczenia, temperatura była wysoka i tylko rosła.

Zbliżyłem się do stolika i zapytałem:

– Przepraszam pana, kiedy będzie tutaj ta dziewczyna o zielonych oczach?

– Ma pan na myśli pracownicę naszego kasyna?

– Tak, zajmuje to miejsce, na którym pan właśnie siedzi.

– Pan chyba żartuje. Tutaj jestem tylko ja i mój zmiennik, tylko że on jest mężczyzną i ma piwne oczy.

– Przepraszam za kłopot – rzekłem i odwróciłem się na pięcie.

– Pan chce nas opuścić – raczej stwierdził niż zapytał mężczyzna.

– Dzisiaj nie będę grać – odpowiedziałem.

– Kierownik sali pana oczekuje.

– Mnie? Jest pan zupełnie pewien?

– Szanowny panie, w naszym kasynie nie może być mowy o pomyłce. Proszę powiesić płaszcz na wieszaku i wejść do środka.

– Dobrze – odpowiedziałem i zacząłem w portfelu szukać dowodu osobistego.

– To nie będzie konieczne – zaproponował mężczyzna i uśmiechnął się zagadkowo.

Kasyno zawsze wypełniali optymiści. Każdy był przekonany, że wygra, nawet jeżeli dzisiaj przegrał wszystko, jutro, najdalej pojutrze, wróci, postawi i stanie się zwycięzcą. U grających w ruletkę numery wryte już były w myślach, zaklęte w magicznej metryce, dacie imienin lub kupna domu. Każda z tych

liczb miała za sobą przebogata historię doświadczeń, była im przypisana, nadana przez opatrność, więc musiała przynieść zwycięstwo. Koło fortuny miało zatrzymać się na liczbie gwarantującej ziemskie zbawienie.

Jednoręcy bandyci z uniesioną w geście pozdrowienia dłonią witali się z każdym wchodzącym. Niektórzy klienci przyjmowali to nieme zaproszenie, by karmić ich monetami, przemawiać do nich, modlić się, przeklinać i zaklinać, by podzielili się ukrywanym skarbem. Ale jak przystało na herszta piratów, każdy bandyta dzielił się wyjątkowo niechętnie i dopiero po wielu dniach i nocach zmuszany był do oddania części łupu. Jego trójka oczu żarzyła się jednak zuchwale, wiedząc, że zwycięzca powróci kierowany chciwością i odda wszystko to, co bezprawnie zrabował.

Zdesperowani, sfrustrowani, pewni siebie, niepewni siebie, spoceni, z miną poważną, zawsze zdenerwowani, z różnie złożonymi rękami mężczyźni, którzy za chwilę stać się mogli starcami lub mogli odmłodnieć zupełnie, stali przy stole, grając w oczko. I ci, którzy czytali Puszkina, i ci, którzy nie wiedzieli o nim zupełnie nic, czekali, by czarna dama pikowa puściła do nich oko, by los uśmiechnął się do nich. Stałem tak, obserwując salę, gdy bezszelestnie pojawił się przy mnie wysoki szczupły mężczyzna po czterdziestce, z czarnym wąsem i przylizaną na bok fryzurą. Ubrany był w czarny garnitur, czerwoną koszulę, a pod szyją zawiązaną miał zieloną muchę. Gdy na nią spojrzałem, wiedziałem, że jest to kierownik sali.

– Pan chciał ze mną rozmawiać? – zapytałem.

– Tak, tak – odpowiedział pospiesznie. Witam szanownego pana w naszych niskich progach, osobiście czuję się zaszczycony.

– Mnie też jest miło pana poznać, ale właściwie czego pan sobie życzy?

– Chciałbym, aby pan zagrał w naszym kasynie.

– Przykro mi, ale nie mam nic, co mógłbym postawić.

– Ależ łaskawy panie, nigdy nie ma takiego przypadku, że nie ma się niczego.

– Przykro mi, ale muszę pana rozczarować. Nie mam pieniędzy nawet na jeden żeton.

– Ale ja nie mówiłem o pieniądzach. Pan jest pisarzem, prawda?

– Nigdy niczego nie napisałem.

– Ale jest pan przecież pisarzem?

– Czasem tak myślę.

– Pan należy do tego rodzaju autorów, którzy również czytają, czyż nie?

– To nie jest teraz modne, ale tak, rzeczywiście, czytam.

– Szanowny panie, my nie gonimy za modą. Chce pan postawić jakieś tytuły?

– Pan sugeruje, że mogę postawić przeczytaną książkę?

– Niezupełnie, ale może ją pan wymienić na żetony. Zresztą nie tylko książki, równie dobrze mogą to być nazwiska autorów. Zainteresowani jesteśmy także koncertami smyczkowymi i wspomnieniami, choć te nie są wyceniane zbyt wysoko.

– Ile dostanę za *Ocalony język*?

– Mmmm, trzydzieści żetonów.

– A za *Idiotę*?

– Piętnaście.

– Dlaczego? Kto ustala te stawki?

– Ekscelencja, właściciel kasyna.

– Mogę z nim porozmawiać?

– Być może będzie miał pan okazję. W jego imieniu mam dla pana pewną propozycję.

– Chwileczkę, a jakie książki mają najwyższą cenę?

– *Faust i Mistrz i Małgorzata*.

– A harlekiny?

– Pan chce obrazić ekscelencję? Pan jest bezczelny, proszę pana. Tutaj tacy czytelnicy...

– Przepraszam najmocniej – przerwałem mu i ukloniłem się.

– Jak już powiedziałem, mam dla pana propozycję. Mogę wymienić wszystkie dzieła, jakie pan w sobie nosi. Wiersze znane na pamięć, cytaty. Wszystkie.

– Ale... jeżeli stracę to, nie pozostanie mi już zupełnie nic.

– Pan nie mówi jak hazardzista. Rozczarowuje mnie pan.

– Aaa – zacząłem przeciągle – co mogę wygrać?

Gospodarz sali spojrzął na moją różę, którą trzymałem w ręku.

– Dostanie pan adres osoby, która ją od pana weźmie. Pan jest bardzo zmęczony i nie spał pan od wielu dni. Teraz pan tego nie czuje, ale gdy pan stąd wyjdzie, znowu przygniecie pana ten wciąż rosnący garb.

– Jedno kręcenie kołem, ruletka, czarne – czerwone.

– Znakomicie, doskonały wybór. Jaki kolor pan obstawia?

Czerwony – pomyślałem i przed oczami pojawiły mi się: święty Mikołaj, arbus, lawa, jabłko, krew, flaga ZSRR, ogień, Mars i pomidor. Czarny – koń, smoła, heban, noc, puma, szachy, płyta gramofonowa, winogrono. Czerwony – pomyślałem raz jeszcze – czerwona jest róża, róża...

– Stawiam na czarny – powiedziałem, wiedząc, że muszę postawić na jej przeciwieństwo, czerwony był zbyt przewidywalny, zbyt oczywisty. Czarna róża stanowiła opozycję, nadawała się do tego, by na nią postawić, nosiła w sobie noc i siłę drapieżnej pумы.

Mój żeton spoczął na czarnym rombie, a krupier wprawił maszynę w ruch. Kulka pomknęła po drewnianej ściance, mijając pola, które teraz wyglądały jak jednobarwna wstęga. Czas odmierzał puls w moich skroniach, palce zacisnęły się na krawędzi stołu. Talerz poruszał się coraz szybciej, hipnotyzując dźwiękiem, jaki pociągała za sobą tocząca się kulka. Wreszcie wyrzucona z biegu zaczęła uderzać o przegródki. Wyglądała na pijaną i pobitą, ale ja wiedziałem, że taniec, jaki odprawiała, był głębokim mistycznym ceremoniałem. W końcu wybiła się do góry, z trzaskiem uderzyła i zakotyła się na wybranym polu. Spojrzałem na nie z lękiem. Kulka spoczęła na czarnej 13.

Cel podróży został osiągnięty. Wszedłem do jasno oświetlonej kuchni. Na stoliku stał szklany wazon, w którym spoczywała moja róża. Była niedziela, przy kuchence stała jasna dziewczyna o niebieskich oczach i perłowym uśmiechu. Pod garnkiem buzował ogień, a z niego wydobywał się kojący zapach rosołu. Było południe, z pobliskiego kościoła docierał ledwie słyszalny dźwięk dzwonów. Patrzyła na mnie bez słowa, a ja poczułem na plecach wiele tygodni niewyspania, głodu, zimna, zmęczenia i wyczerpania.

Kiedy kładłem się na łóżku, widziałem jej łagodną twarz. Czułem, że za chwilę zasnę, a kiedy się obudzę, po tygodniu lub po wielu latach, będę wciąż widział ten łuk cierpliwego rozpięty na jasnej twarzy i tylko włosy nabierać zaczną koloru szronu.

Moja wyprawa była zakończona, a ja byłem u kresu podróży.

– Pan raczył o czymś zapomnieć – usłyszałem.

– O czym? – spytałem wyrwany z wyobraźni, uświadamiając sobie, że mam zamknięte oczy.

– O pana powieści – odpowiedział głos.

– Nigdy jej nie napiszę, nie napisałem nigdy ani jednego zdania, nie mam nawet pomysłu. Muszę odpocząć. Poproszę o adres tej kobiety. Gdzie jest kierownik sali? I kim pan w ogóle jest? – spytałem, otwierając oczy.

Przedemną siedział blondyn o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych i mocnym orlim nosie. Patrzył na mnie niezwykłym, magnetycznym wzrokiem.

– Muszę się przedstawiać? – zapytał i pokręcił koło ruletki. Kulka popłynęła po gładkiej tafli i zdryfowała na zielone pole z zerem.

– Pan jest ekscelencją, właścicielem kasyna – stwierdziłem z pewnym zakłopotaniem.

Skinął delikatnie ptasią głową i podparł ją na prawej dłoni. Przypominał mi jakąś postać ze starej, czarno-białej fotografii.

– Pan nie ma racji – powiedział po chwili. – Istotnie, może pan spać przez jakiś czas, a ona będzie opatrywać pańskie rany, będzie się panem opiekować. Ale przecież pan się obudzi, pan na nią spojrzy i będzie szczęśliwy, bo – nazwijmy to – kamienie z pańskiego serca zostaną usunięte i będzie panu lekko, jednak...

– Jednak?

– Na dnie pańskiego serca wciąż będzie ziarno. Pan na początku może je zignorować, ale z czasem ono zostanie wprawione w ruch – powiedział i mocno zakręcił kołem. Zachęcona tym ruchem kulka poczęła gnać ponownie po wnętrzu misy, by raz jeszcze zatrzymać się z szelestem na zerze.

– Pańskie organy zaczną się wokół niego oplatać, a ono z dnia na dzień będzie rosło. W końcu zatka pańskie gardło, a wtedy wyjdzie pan po papierosy i nigdy już nie wróci. Tylko że wtedy niczego już pan nie napisze.

– Dlaczego... dlaczego pan tak myśli, ekscelencjo?

– Ponieważ pan nie pisze powieści. Pan sam jest książką, nawet swoje życie rozpatruje pan w ten sposób. Pan inaczej nie potrafi i nic tego nie zmieni.

– Ekscelencjo, ja nie umiem pisać. Chciałem, próbowałem stworzyć książkę o swoim pokoleniu, ale nie mam ani jednego zdania.

– Pan nigdy tak naprawdę do tego pokolenia nie należał, ale i nigdy nie starał się pan go zrozumieć. Pan zawsze stosował pozycję asekuranta i w nic się pan nie angażował. Pan zawsze był poza.

– Tak, ale chciałem mieć pełniejszy obraz, z zewnątrz.

– Pan pozwoli, że coś panu wyjaśnię i proszę również posłuchać mojej rady. Niech pan coś zje i napije się wódki. Jeżeli nie ma pan pieniędzy, proszę je ukraść. Proszę poszukać jakiejś zdesperowanej kobiety. Niech pan odzyska siłę i będzie z nią przez tydzień lub dwa. Proszę jeść tłusto i do syta, a później zrobić jej scenę zazdrości, strzelić komuś w głowę i wsiąść do najbliższego pociągu. Potem niech pan szwenda się tu i tam, powierzy komuś jakąś tajemnicę i da się sprzedać. Niech pan zrobi cokolwiek, co przybliży pana do świata żywych. Proszę zalać się w trupa i zrobić awanturę w lokalu, rozkochać w sobie nastolatkę, wstąpić do gangu lub do seminarium, kupić narkotyki, ukraść samochód. Niech pan zacznie się kogoś bać i bać o kogoś. Proszę zniechęcić jakiegoś człowieka, a potem go pokochać lub odwrotnie. Niech pan ma poczucie winy i pretensje do całego świata. Niech pan zostawi wszystko, co miał pan dotychczas.

– Ale... Ja nie wiem, nie umiem...

– Nie? To jak pan chce pisać? Jeżeli choćby hipotetycznie nie jest pan w stanie być szują i świętym, jeżeli nie jest pan w stanie skazać niewinnego i ręczyć za zbrodniarza, proszę w ogóle nie pisać. A przecież dochodzi do tego jeszcze pańskie pokolenie...

– Co z nim?

– Proszę spojrzeć na mnie i na sposób, w jaki pan mnie sobie wyobraża. Jest pan taki staromodny. Czy nie pojmuje pan, że świat się zmienia i nie ma to znaczenia, czy nam się to podoba, czy też nie? Jeżeli nie wejdzie pan w to społeczeństwo, w to pokolenie, nie zrozumie pan go.

– Więc nie chce pan ode mnie...

– Podpisanie cyrografu? Żartuje pan? Talent nie jest przekleństwem.

– Więc czym jest?

– Jedni potrafią malować, inni grać na flecie, a jeszcze inni kopać piłkę.

- Taka jest pańska odpowiedź?
- To jest odpowiedź pańskiego pokolenia, ale to pan, zdaje się, miał o nim pisać.
- Pan mi nie odpowiedział.
- I tego nie zrobię – odparł.
- Co mi pan proponuje, ekscelencjo? – podjąłem w końcu.
- To, co powiedziałem.
- A co z moją różą?
- Proszę dać mi ją na przechowanie, obiecuję, że nic jej się nie stanie.

Pokiwałem potakująco i wstałem.

- Dziękuję za rozmowę. Na mnie już czas.
- Do zobaczenia – odpowiedział, a w kącikach jego warg zamigotał pobłażliwy uśmiech.

Znalazłem się na zewnątrz. Słońce wylegiwało się wygodnie na niebie, z budynków topniejącym śniegiem spływała noc, by cienkimi stróżkami też zbiec do kratek kanalizacyjnych. Tam chlipała cicho, lecz zagłuszały ją odgłosy obudzonej cywilizacji.

Stałem przez chwilę, wpatrując się w tę złotą tarczę południa i szukałem w myślach motyki, którą mógłbym zaorać jakąś ziemię. Pod stopami miały chodnikowe płytki posypane piaskiem niepocho-dzącym z żadnej pustyni.

Zamknąłem oczy lub uniosłem powieki i wszedłem w rogatki miasta.

Czerwona róża Przemysława Grześnińskiego otwiera cykl opowiadań zatytułowany *Brama*, w którego skład wchodzi osiem utworów. Każdy z nich może być odczytany odrębnie jako samodzielny tekst, jednak dopiero lektura całości ukazuje prawdziwe intencje autora. *Brama* jest bowiem rodzajem obrachunku pokolenia urodzonego w latach osiemdziesiątych z przeszłością i teraźniejszością. Kreowany przez autora bohater to wnuk pokolenia Kolumbów, o których Tadeusz Różewicz mówił jako o „ocalonych”, „prowadzonych na rzeź”, „krzyczących w nocy”. To pokrewieństwo dotyczy nie tylko świadomego wykorzystania motywów i obrazów z pierwszego powojennego tomiku poety *Niepokój* (otwiera go wiersz *Róża*), ale jest przede wszystkim podjęciem próby wypowiedzi w imieniu generacji młodych spustoszonych wewnątrz przez swoje czasy. Okazuje się bowiem, że nie tylko koszmar wojny może stać się przyczyną zachwiania wszelkich wartości, lecz pozornie bezpieczny dla nich czas pokoju. Zdawać by się mogło, że pokolenie, które czas wojennej Apokalipsy zna jedynie z podręczników historii, nie powinno mieć trudności w odróżnianiu prawdy od kłamstwa, miłości od nienawiści – bowiem powtórne oddzielenie światła od ciemności zostało już dokonane, przywrócone. Co zatem się stało, że transmisja spuścizny wartości i dorobku kulturowego została zachwiana? Jaki popełniono błąd, że młode pokolenie nie chce, nie może czy nie potrafi ich przyjąć?

Autor *Bramy* nie daje odpowiedzi na te pytania. Głos jego bohaterów to głos tych młodych, których oskarża się o sprzeniewierzenie się odwiecznym prawom, o nieznamość historii i tradycji, młodych nastawionych konsumpcyjnie do świata, wyzutych z wszelkich zasad, nieodczuwających żadnych więzi z minionym, dla nich już archaicznym i niezrozumiałym czasem. I zarazem to głos tych „ocalonych” z pożogi upadku wartości, którzy jednak nie potrafią odnaleźć swojego miejsca wśród rówieśników wyznających z rozbijającą szczerością: „Mam dwadzieścia cztery lata i... jestem, jaki jestem”.

Kobiety z Białej

Ewa z oczami dziecka,
stróża ulicznego i psa
chodzi w tygodniu do miejsc,
w których ludzie się rozchodzą:

Marianka w przerwach
między myciem a karmieniem
czyta pieśni aoidy o powrotach do domu.
Czasem wstaje. I jest wtedy szkłem,
odbiciem w oknie z chustą na głowie
i urną w ręku kołysaną jak wahadło.

Ewa lubi Rosalkę.
Karmi staruszkę, która zasypia,
zanim łyżka znajdzie się
na wysokości ust,
więc Ewa patrzy martwo,
ale tętnice szyjne drgają leciutko
w rytmie liczonych przez nią oddechów.

Jest jeszcze Żanet,
wirująca w południa krynoliną
jak ukochane Rameau do taktu.
Piguły śmieją się,
(ale trochę tylko)
choć to do niej biegną,
jednodniowe, niedzielne dzieci,
wszystkie tak samo obce i mdłe
w liniach mleczaków dla Żanet.

Przychodzi jeszcze Franek,
ksiądz od dwóch ćwierci,
siwy jak one i blady jak one,
by słuchać
o zwiędłych kwiatach,
spotkaniu w pergoli.
I uśmiecha się, od lat.

Takie są
kobiety z Białej,
na trzy i pół dnia,
przed śmiercią.

My, młodzi

Wbiegając na piętro, bez trudu przeskakuję po dwa stopnie, widząc komiczną sytuację, nie potrafię zapanować nad histerycznym śmiechem, lubię czerwony kolor, mam dziewiętnaście lat. Gwoli ścisłości – owa „dziewiętnastka” wskoczyła mi na grzbiet ponad trzydzieści lat temu, a moje kości niekiedy, zwłaszcza o poranku, miewają odmienne zdanie na temat mojej kategorii wiekowej. No i potrafię odręcznie napisać list, a wysyłając SMS-y i e-maile, dbam o „ą”, „ę”, „ó” itp., zaś moje wspomnienia sięgają lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia... Zatem nie zaprezentuję w tym artykule twórczości własnej.

Pamiętam, że niegdyś nastolatki, a także i nieco młodsze podlotki często obdarowywały się z okazji urodzin pamiętnikami – brulionami kilkadziesiątu lub nawet kilkuset gładkich kartek kredowego papieru ujętych w twardą okładkę, na których koleżanki i koledzy wpisywali mniej lub bardziej serdeczne życzenia „ku pamięci”. Ten mój, подарowany mi przez młodszego o rok kolegę, zachował się do dziś. Zaglądam do niego co kilka lat i wdycham, widząc, że kulfoniaste literki w miarę upływu czasu stają się coraz bledsze. Ale wciąż są, nie znikają tak szybko jak treść nawet najserdeczniejszego SMS-a. Treści e-maili też mają krótki żywot, a sztuka epistolarna po prostu umiera! (Aż strach pomyśleć, w jakiej kondycji byłoby dzisiejsze chrześcijaństwo, gdyby Koryntianie oraz święty Paweł dysponowali pecetami i komórkami...).

A co z pisaniem dzienników? Czy jest ktoś taki, oprócz pana Tomasza Florkowskiego, kto, chcąc utrwalić wrażenia mijającego dnia, nie rzuca myśli swoich na bloga, a prowadzi klasyczny dziennik? Drążąc ten temat, trafiam do uroczej kafejki, za kontuarem Emilka Grzelak, kategoria wiekowa – 20+. Emilka ma wykształcenie średnie, zrezygnowała z etatu w państwowej firmie i postanowiła zadebiutować jako prywatny przedsiębiorca. Wystrój jej lokalu współgra z jego nazwą – dominuje moja ulubiona czerwień. Emilka mówi, że zaczęła prowadzić dziennik w wieku około czterech lat. Z czasem, oprócz relacji z bieżącego dnia, zaczęła w nim zapisywać także swoje wiersze. Przez długie lata traktowała to tylko jako rodzaj psychoterapii, ostatnio rzuciła je na któryś z literackich portali internetowych, a dostawszy pozytywne opinie, odważyła się wystartować w lokalnym konkursie poetyckim i niecierpliwie oczekuje rozstrzygnięcia. Jest przejęta, pełna nadziei i niepewności. Piję owocową herbatę i przrzucam kartki brulionu ze szkicami jej wierszy, Emilka obiecuje, że wybrane prześle mi drogą elektroniczną. Rozmawiamy o potrzebie zapisywania swoich przemyśleń w formie poetyckiej, opowiadamy sobie o sytuacjach, które skłaniają nas do sięgania po pióro, wymieniamy ulubione tematy naszych wierszy. Emilka mówi mi też, że realizuje projekt własnego pomysłu – postanowiła, we współpracy z kolegą władającym kilkoma

językami, przetłumaczyć po jednym wierszu z każdego języka europejskiego i wydać je w formie zbioru. Sięga zarówno po utwory autorów współczesnych, jak i klasyków. Ów kolega lingwista tłumaczy jej każdy z wierszy dosłownie, a Emilka zamierza nadać im ramy poetyckie... Karkołomne? Tak. Czy zakończy się sukcesem – jeśli nie komercyjnym, to „przynajmniej” literackim? Nie wiem. Emilka też nie wie, ale w jej oczach, gdy o tym mówi, jest tyle zapału i nadziei, że jedyny gość kafejki – przystojny Turek, nierozumiejący ani słowa po polsku, wlepia w nią wzrok pełen niekłamane zachwyty. Ja też.

Emilka byłaby bardzo rada gościć miejscowych literatów w swoim lokalu. Marzy jej się, że ta urocza kafejka będzie miejscem kameralnych spotkań ludzi pióra, a ja w głębi duszy życzę jej tego z całego serca. Sącząc herbatę, zastanawiam się, czy Emilka pójdzie kiedyś drogą biznesu, czy stać ją będzie, aby zakosztować gorzkiego kawałka chleba zawodowego literata? Czy wystarczy jej na to talentu, samozaparcia i odrobiny... szczęścia?

Przyszłam do Emilki w nadziei spotkania także Jacka Wojnarowskiego – jej młodszego o kilka lat kolegi, który prawie codziennie jest gościem tego lokalu. Teraz jest na dziekanacie, pracuje, wieczorami dorabia jako DJ. Jest sobota, Jacek ma wyłączoną komórkę, a że robi się późno, raczej nie ma szansy, że pojawi się w kafejce, zatem Emilka pokazuje mi brulion z jego wierszami, które sam Jacek obiecał mi kiedyś przestać drogą e-mailową. Jest to wydruk komputerowy opatrzony datą 2008-2009, bez numeru ISBN. Jacek ma także za sobą odbyłą zasadniczą służbę wojskową, więc okrucy też i tego etapu w swoim życiu utrwalił w wierszach. Pod nazwiskiem autora widnieje dopisek: „mało powszechna poezja prosta – współczesna”.

Przerzucam kartki z wierszami, większość z nich pomyślana jest jako teksty piosenek. Jacek ma nadzieję, że ktoś to kiedyś zaśpiewa (zamysł jakże mi bliski...), nie brzydzi się rymem, choć przeważnie młodzi unikają go jako archaizmu, uciekając ochoczo w wiersz biały. Także i u Jacka

znajduję takowy, czyta mi się go o wiele „smaczniej” w przytulnej kawiarence niż na zimnym ekranie monitora. Jacek zaczął pisać, będąc licealistą, a jeden z jego wierszy zdobył wyróżnienie w szkolnym konkursie literackim. Jacek w krótkiej notce wysłanej kiedyś do mnie napisał żarliwie, że kocha Zieloną Górę, choć tu się nie urodził – pochodzi z Nowego Tomysła. A więc łącząc mnie z tym młodym, smukłym blondasem miłoścą do naszej „Zielonki”! Zanim wylądowałam w Wilkanowie, przez ponad dwadzieścia lat z dumą obnosiłam moją „zielonogórskość” i głośiłam zachwyty nad miastem, które ot tak sobie wybrałiśmy do zamieszkania. (Był to jedyny większy ośrodek w pobliżu Żagania – miasta, z którego wywodzi się rodzina mojego męża. Dla Zielonej Góry bez większego żalu opuściłam Wrocław, nie tęsknię też za Poznaniem, w którym przyszłam na świat, nie żal mi urokliwego Krakowa – miasta mojego dzieciństwa i tylko łezka w oku kręci się czasem, gdy wspominam malutki Zgorzelec, miasto-tygiel, gdzie na wspólnym podwórku bawiły się dzieci osób repatriowanych ze Wschodu, dzieci małżeństw mieszanych – polsko-niemieckich, greckie, romskie, żydowskie... Ależ to był koktajl kultur, mentalności i obyczajów! No, ale to jest temat na inny artykuł).

Ciesz się, młodzi ludzie deklarują chęć pozostania w Zielonej Górze, gdy mówią o przywiązaniu do naszego regionu, nie mając cienia kompleksu prowincjusza! Tak trzymać, Zielona Góra nie musi być prowincjonalna ani nie zamierza umierać.

Zerkam na zegarek, u Emilki jest przytulnie, ale ja mam ochotę wdepnąć jeszcze do jednego z lokali w śródmieściu, gdzie często za kontuarem stoi Łukasz Bilski – student animacji na UZ, a więc także kategoria 20+. Łukasz pisze od ponad sześciu lat, powiedział mi kiedyś, że pisze, ponieważ pisanie jest dla niego sposobem osiągnięcia stanu wolności. Łukasza i mnie dzieli ponad trzydzieści lat, ale łączy zamiłowanie do... bajek. (Pożeram bajki od pół wieku, a na dodatek głęboko wierzę w to, że one sobie żyją cichcem wśród nas, a ci dorośli, którym oszczędzono czytania bajek

w dzieciństwie, nigdy nie osiągną pełni człowieczeństwa). Poznałam Łukasza w Żarach, podczas rozstrzygnięcia konkursu literackiego „O laur Dziewina”, gdzie zdobył wyróżnienie. Łukasz przesyła mi po imprezie inne swoje utwory, a ja czytam je z zaciekawieniem i zachęcam go do wysłania kolejnego tekstu w następnej edycji tego konkursu. I znów sukces – II nagroda w kategorii prozy (pierwszej nie przyznano). Gratuluję Łukaszowi i czuję coś z pogranicza radości i ulgi. Szczerze? Szczerze. To takie ludzkie, że bardziej cieszy nas sukces własny niż kolegi, ale ja każdy swój sukces zawsze przyjmuję z ogromną radością pomieszaną z pokorą, bo zdaję sobie sprawę z tego, że gdyby był inny skład komisji oceniającej prace, to być może nie ja, lecz ktoś inny fetowałby zwycięstwo... Ale jeśli ktoś taki jak kolejna moja młoda znajoma – Kasia Zychła z Sieniawy Żarskiej – co miesiąc zdobywa po kilka laurów w konkursach literackich, to kapelusze z głów! Kasia mieści się w mojej kategorii pojęcia osoby młodej – mogłabym zostać jej matką (choć nieco nieletnią). Kaśka jest dla mnie osobą niezwykłą nie tylko ze względu na to, iż funkcjonuje od lat jako „pożeraczka” nagród literackich, lecz także dlatego, że nasze relacje matczyno-córczane są kompletnie odwrócone – to ona we wszelkich dyskusjach jest mi „mamuśką”! Kasia wydała osiem książek, w tym dwa zbiorki poetyckie, pisze także książki dla dzieci i młodzieży, kolejny tomik poetycki jest przygotowywany do druku. To, co mnie, jako czytelnika, uderza w jej poezji, to ów brak powszechnej wśród młodych twórców „rozdrapy”; Kaśka pisze chętnie także „szczęśliwe” wiersze, które na dodatek nie są ckliwe. Jestem smakoszem jej poezji, polecam gorąco zarówno to, co już wydała, jak i to, co jeszcze napisze. Gdy przesyła mi próbki swoich kolejnych, szykowanych do druku wierszy, konsumuję je zawsze z wielkim apetytem.

Niezwykłą osobą, taką poetką wyjętą z innej, nierealnej rzeczywistości, jest Mirosława Szott, moja koleżanka ze Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Mirka studiuje pedagogikę i polonistykę na UZ, pisze pracę magisterską dotyczącą twórczości przedstawicielki trzech pokoleń

lubuskich poetek. Mirka jest tym typem dziewczyny, o której moja rusycystka powiedziała by z zachwytem: „Ot, poeeticzeskoje suszczestwo...”. Jeszcze nie zdecydowała się wydać swojego arkusza debiutanckiego, choć wszyscy zachęcamy ją do złożenia tomiku w serii „Poddasze Poetów”. (Jeśli kiedyś wydział ruchu drogowego przy UM Zielona Góra wpadnie na genialny pomysł, aby miejscowych poetów wyposażać w skrzydełka, będę postulować, aby właśnie Mirce przydzielono je w pierwszej kolejności).

No i jakże miałabym nie wspomnieć Justyny Jęzak, także mojej stowarzyszeniowej koleżanki! Justyna ma za sobą debiut literacki – arkusze poetycki w serii wzmiankowanego „Poddasza Poetów”, zdobyła także nagrodę w lokalnym Konkursie Jednego Wiersza w listopadzie 2010 r. Justyna studiuje na UZ.

I jeszcze jedna młoda, ciekawa osoba – Honorata Waszkowiak z podzielonogórskiej Świdnicy, z twórczością której dane było mi spotkać się dwa lata temu (dwakroć udzielałam jej głosu na moich świdnickich wieczorkach literackich). Dziś Honorata jest studentką UZ, a wiersze zaczęła pisać jeszcze w szkole podstawowej. Będąc już licealistką, zdobyła pierwsze miejsce w konkursie literackim ogłoszonym przez Katolickie LO w Zielonej Górze, jej wiersze były prezentowane i wyróżniane np. podczas Autunaliów. Czy ukończywszy studia, będzie dalej pielęgnować w sobie czynne zainteresowania poetyckie? A może rozwinie się jej zamiłowanie do twórczości teatralnej? (Powiedziała mi niedawno, że właśnie teatr ostatnio leży najgłębiej w sferze jej zainteresowań).

Skąd we mnie tyle radości, gdy spotykam na swej drodze młodych, zdolnych twórców? Przecież, jak szczerze wyznałam, jednak moje własne sukcesy wciąż smakują mi najbardziej... Hm, mam chyba w pełni ukształtowaną świadomość nieuchronności przemijania. Nie ma co się czarować – ja znajduję się już na schyłkowej stronie zbocza i nie ma od tego odwrotu, nawet jeśli bym od dziś zaczęła przeskakiwać po trzy, a nie tylko po dwa stopnie schodów. Nie spieszo mi na

tę drugą stronę egzystencji, mam bogate plany związane z własną twórczością i doczesnym bytem, ale gdybym nie widziała w swoim najbliższym otoczeniu nikogo, kto kiedyś, zgodnie z prawami natury nas zastąpi, czułabym pustkę. To dobrze, że w dobie komputeryzacji wyrastają nowe pokolenia **poetów, czyli** – zgodnie z taką oto definicją – **ludzi, którzy potrafią dopatrzeć się niezwykłości w zwykłych rzeczach i zwykłych wydarzeniach**, których potrafi zachwyć jakiś szczegół „realu”, jak chociażby ów księżyc, wyświechtany aż do bólu przez poetów wszystkich epok... Warsztatu poetyckiego można się nauczyć, ale owej szczególnej wrażliwości, którą mieć należy, mieniać się poetą, nie sposób zdobyć na żadnym uniwersytecie. Za ćwierć wieku moje obie szefowe ze Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów udadzą się zapewne na zasłużone emerytury literackie, a wówczas, być może, zastąpią je dobiegające pięćdziesiątki – Justyna Jęzak i Mirka Szott, dziś mieszczące się w kategorii 20+...

Z twórczością ludzi młodych stykam się najczęściej na poetyckich forach internetowych, gdzie panuje bałagan porównywalny z tym, jaki onegdaj panował w pokoju mojej córki. Nieporadność warsztatowa, częste ucieczki w przekaz wtórny nie budzą we mnie irytacji, lecz rodzaj rozczulenia; zawsze mam nadzieję, że młody twórca kiedyś wyrośnie z tego, tak jak dziecko wyrasta z pampersów. (Ale samej sobie nie wybaczam użycia wyświechtanej metafory i chłostam siebie okrutnie za próbę posłużenia się takową; wiem, że na dorastanie zostało mi już niewiele czasu, ech...).

Zachęcam do lektury wybranych fragmentów twórczości moich młodych przyjaciół, których sylwetki postarałam się naszkicować absolutnie subiektywnie, na dodatek nie wchodząc w rolę krytyka literackiego, lecz zwykłego czytelnika, który ceni sobie „świeżyńki”.

6 grudnia 2010



bałagan

i nawet to morze głaszczące falami brzeg
nie pomaga mi uciec od myśli
od których już kiedyś się uwolniłam
teraz wracają by znów zasiać zamęt
w moim starannie ułożonym świecie
i jakoś nie starcza mi sił by je z niego powymiać

skulona z czerwoną twarzą
siedzę sama
bita myślami po twarzy

Marzenie o utraconym czasie

Podróżować myślami
Wzdłuż horyzontu marzeń.
Fruwać ponad dachami gwiazd
I łapać je w niewidzialne sieci zapomnienia.

Nie oglądać się za siebie,
Nie mierzyć życia zegarem czasu.
Z radości niemającej końca
Czerpać siły moc i żywiołów krzyk!

Wypełnić utracony czas
Sięgając do krainy szczęścia.
Dać się porwać przez
Cudowny wiatr przeznaczenia.

sztuczka

weszłam na wysokie drzewo
wyżej niż latają małe jak zwykle muchy
i zapytałam
czy centymetrowy człowiek
mniej cierpi
zobaczyłam że płacze
mniejszymi łzami

zeszłam z drzewa

Katharsis

wychodzi z ciemności i wyciąga paczkę papierosów
zgrabnym ruchem wyłuskuje jednego, wsadza do ust i odpala
zaciąga się i mówi

Wiesz... Boga nie ma... gdyby był...

*uśmiecha się obłądnie i kręci przecząco głową
uśmiech go opuszcza*

ale nie ma... więc nie ma o czym mówić...
wiesz... nie chce mi się żyć...

spuszcza lekko głowę, po poliku spływa mu łza

nie nadaję się do życia...
nie tutaj, nie na tym świecie...
nie wśród tych wszystkich chciwych...
zawistnych... żalonych ludzi...

*zaciąga się papierosem, wypuszcza chmurę dymu
rozkłada ręce i mówi dalej*

gdyby ludzie byli... gdyby chociaż spróbowali...
być inni... chociażby dla samych siebie wzajemnie...

*ponownie bierze tytoniowego hausta, wypuszcza dym nosem
chowa twarz w dłoniach, po cichu szlocha*

to takie podłe... niedorzeczne...
czasami aż mam ochotę się napić...
ale tak żeby urznąć się w sztok...

*zdejmuje ręce z twarzy, jeszcze raz zaciąga się papierosem
zaciska pięść, a na jego twarzy pojawia się grymas nienawiści*

wiesz... większość tych ludzi pozabijałbym osobiście
własnymi rękoma...

*zaciąga się ostatni raz i wyrzuca niedopałek
ponownie rozkłada ręce*

czasami czuję się za to wszystko odpowiedzialny...
tak jakbym to ja był przyczyną całego tego zła...

urywa nagle wypowiedź, spuszcza głowę

nie mogę tak mówić! przepraszam!

*podnosi wzrok, kładzie rękę na rękę i składa na piersi
szepetem ciągnie dalej*

przepraszam... każdy popełnia błędy...
a ja nie powinienem...

spuszcza głowę

przepraszam... przecież ja... nie mogę tak mówić...
nie mogę się do niczego przyczynić...
i jestem tego w pełni świadom...
nie mogę nawet niczego żądać...
chcieć ani pragnąć...
nie mogę nawet niczego dać...
poza jednym... prosto stąd...

pokazuje na serce

niczego poza miłością...
...przecież jestem tylko Aniołem

Trzy godziny

Stary niedźwiedź mocno śpi, stary niedźwiedź mocno śpi,
my się go boimy, na palcach chodzimy, jak się zbudzi,
to nas zje...

Pierwsza godzina, niedźwiedź śpi.

Druga godzina, niedźwiedź chrapie.

Trzecia godzina, niedźwiedź łapie!

Pierwsza godzina niemal zawsze przebiega według tego samego schematu.

Choć pogrążony w głębokim śnie, jest wielki i groźny, zawsze czujny.

Jego głębokie wdechy i wydechy zakłócają dudniącą w uszach dzieci ciszę, trzeba uważać, aby go nie zbudzić...

Kiedy nie musisz, lepiej nie podchodź zbyt blisko, gdzie nawet przerażony zegarek tyka ciszej.

Tak oto mija pierwsza, najkrótsza godzina bestii, najdłuższa godzina dzieci, przemierzających na palcach przestrzeń dookoła niej, kucających cicho w kątach i tych chowających się przed nią w cieniu, do bólu głowy wyteżających słuch.

Druga godzina, bestia leniwie obraca swe toporne ciało, chrapiąc głośno, trawiąc sny o kolacji. Teraz przerażone dzieci zbite w gromadzie, skulone w cieniu czekają, aż bestia się zbudzi,

to już kwestia krótkiej chwili, która ciągnie się bez końca.

Trzecia godzina, bestia unosi ciężkie powieki. Oczy jak obsydian widzą każdy zakamarek, mrok niczego przed nimi nie ukryje.

Dzieci wyrzucają z siebie duszony wcześniej szloch, piszczą jak szczenięta zbyt wcześnie odebrane matce. Bestia unosi się, wygodnie siada na wersalce, sięga po małą, ciężką szklankę czystej wódki. Opróżnia ją jednym haustem i cierpliwie czeka, aż obudzi w nim diabła.

Kasze oskrzelowo, głośno, niczym smok wyrzucający z siebie chmurę żywego ognia, po czym powtarza czynność z małą, ciężką szklanką.

Teraz oczy bestii połyskują w półmroku. Strach dzieci wydaje się być namacalny, powietrze od niego gęste, i z tego właśnie powodu, nie innego głębszego sensu, na twarzy bestii pojawia się szeroki uśmiech. Zwłaszcza wtedy, kiedy dźwiga swoje ciało z wersalki i sięga po skórzany, szeroki pas...

* * *

Skubię ciszę palcami...
Światło jesieni tak koi

Przecież nie muszę zaraz
od razu umieć latać by
cieszyć się wolnością.

Czy muszę być Hiszpanką
by mieć temperament?
By umieć tańczyć
muszę być baletnicą?

Zamykam oczy
– wcale nie umarłam...

Odradzam swoją duszę

wiosna w raju

okna spłakały się majowo na obietnicę spokoju
i szczęścia. piec odmalowany świeżym drewnem
mruży ciepło. wiatrem i lawendą puchną pierzyny.

łąka wabi obsypana słodkim złotem.
po kolana brodzi pierwsza woda.

biegnie stęskniony przez rozkwitający sad,
ona po raz pierwszy narysuje bosymi
stopami w miękkiej trawie radość kochania.

gdy jaskółki uwiją gniazda nad
południowym oknem, pomyślą nad imieniem.

Poetyckie debiuty na zamku

Jak ważna jest rola instytucji mecenatu, wie zapewne każdy debiutant. Nie inaczej było w przypadku młodych lubuskich debiutantów, którzy wchodzili na poetycki helikon na przełomie lat 50. i 60. XX wieku. Pomocne w tym przedsięwzięciu było powołanie w 1957 r. Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze, które dla młodych twórców pełniło funkcję promocyjną i wydawniczą aż do 1991 r. Z chwilą utworzenia województwa gorzowskiego, także w nowej stolicy województwa w 1975 r. powołano do życia Gorzowskie Towarzystwo Kultury (powstało na gruncie GTS-K), które pod koniec lat 70. ubiegłego wieku zaczęło wydawać pierwsze debiutanckie tomiki. Po transformacji ustrojowej z początkiem lat 90. przestają działać oba towarzystwa, a ich działania przejmują nowe, często prywatne instytucje, np. Pracownia Wydawnicza AND Andrzeja Bucka, która rozpoczęła wydawanie zielonogórskiej serii poezji i eseistyki już w 1992 r., Lubuska Oficyna Wydawnicza Ryszarda Błażyńskiego, wydawnictwo „Organon” Zygmunta Rybczyńskiego, Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury oraz Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Zielonej Górze, przy której uruchomiono w 1996 r. oficynę Pro Libris. W Gorzowie zaś funkcjonował Klub Myśli Twórczej „Lamus”, Wojewódzki Ośrodek Metodyczny, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał” Krystyny Kamińskiej i Ireneusza K. Szmidta, w Żarach z kolei Dom Wydawniczy

„Soravia”, a na znacznie mniejszą skalę wydawano również książki debiutantów w Drezdenku, Strzelcach Krajeńskich, Świebodzinie i Gubinie.

Praktycznie większość nowych instytucji zakończyła swój żywot u progu XXI wieku. Obecnie działa ich niewiele, przeważnie przy ośrodkach kultury, ale mało która z tych ubożających instytucji w dobie powszechnej komercji decyduje się na promowanie twórczości debiutantów.

W roku 2003 ówczesny dyrektor Kożuchowskiego Ośrodka Kultury i Sportu „Zamek”, Ryszard Błażyński podjął inicjatywę promowania twórczości debiutantów w serii zeszytów poetyckich. Po zamieszczeniu w lokalnej prasie informacji do ośrodka zaczęły napływać setki tekstów nie tylko od młodych poetów, przeważnie z południowej części województwa lubuskiego. Rok później zaczęły ukazywać się pierwsze zbiorki poezji młodych z Nowej Soli, Kożuchowa, Zielonej Góry i Szprotawy. Byli to twórcy urodzeni głównie w drugiej połowie lat 80. lub na początku lat 90. XX wieku, często jeszcze licealiści, a nawet gimnazjaliści, jednak mający nierzadko już drobne sukcesy w postaci publikacji prasowej swoich wierszy w lokalnej czy młodzieżowej prasie, zdobycia nagrody bądź wyróżnienia w konkursach organizowanych dla młodych, np. w Lubuskim Konkursie Poetyckim „Miłość niejedno ma imię”, w Turniejach Jednego Wiersza „Autunalia” organizowanych

od kilku lat przez Zielonogórski Ośrodek Kultury czy w poetyckich konkursach „O szczyptę soli” i „O strzałę Erosa” w Nowej Soli, jak też w konkursach ogólnopolskich dla młodzieży szkolnej.

W 2004 roku jako pierwszy w ośrodku kożuchowskim wyszedł tomik wierszy Krzysztofa Łukasza Sweredy urodzonego w 1988 r. w Nowej Soli, a mieszkającego w Kożuchowie, zatytułowany *Marzenie*. Swereda to poeta niepokodzony ze światem, dociekliwy i wrażliwy, jak przystało na rasowego układacza strof, lubujący się jednak w agresywnych zwrotach, brutalizmach czy nawet wulgaryzmach. Podejmuje w swojej liryce niełatwe tematy, piętnując przejawy społecznego zła, krzywdy i niesprawiedliwości.

W 2004 roku ukazały się jeszcze dwa tomiki debiutanckie: Katarzyny Szwarz (ur. 1988) z Kożuchowa pt. *Wibracje duszy* i Marty Anny Rużyłowicz (rocznik 1988) z Nowej Soli zatytułowany *To, co w duszy*. Szwarz to poetka, która obserwuje świat duszą, chłonie każde zdarzenie codzienności wszystkimi zmysłami i opisuje je po dokładnym przefiltrowaniu przez własne emocje i odczucia. W jej wierszach znaleźć można dużo pierwiastków mistycznych, religijnych i transcendentnych. Jej poetyka to niejako swoista wędrówka dusz po świecie własnych obserwacji, marzeń, tęsknot, pragnień i dążeń do ideału i szczęścia.

Twórczość Rużyłowicz natomiast to głównie poezja zaangażowana społecznie, polemizująca z aktualnymi wydarzeniami politycznymi, podejmująca tematy obyczajowe związane z emancypacją, aborcją, narkomanią i alkoholizmem, a nawet terrorem i ludobójstwem, wkraczająca w obszar zagadnień moralno-etycznych, które autorka przedstawia zazwyczaj w krzywym zwierciadle, bowiem wiele w jej wierszach sarkazmu, kpiny i gorzkiej ironii. Ukazuje zatem karykaturalny obraz naszych czasów, odwołując się często do motywów biblijnych i alegorii.

W 2005 roku pojawiają się kolejne debiutanckie tomy, najpierw Sylwii Sztuczki (rocznik 1986) z Zielonej Góry zatytułowany *Wodospady myśli* oraz już znacznie starszych twórców: Arlety Jankowskiej z Nowej Soli, nauczycielki języka pol-

skiego i byłej korespondentki Radia Zachód, która wydała zbiorek *Barwy życia* oraz Kazimierza Wysockiego – zielonogórskiego artysty malarza i satyryka, debiutującego tomikiem *Moje wierszenie*. Lirykę młodej debiutantki Sylwii Sztuczki można określić jako wysublimowaną, delikatną, jednym słowem genderową. W swoich wierszach dotyka spraw najważniejszych dla jej pokolenia – osamotnienia jednostki i jej niezrozumienia, niemożności pogodzenia się z hipokryzją i zakłamaniem dorosłych, buntu wobec zastanej rzeczywistości, a także poszukiwania autentycznych wartości oraz akceptacji wśród rówieśników. Sztuczka korzysta przy tym z bogactwa rekwizytów poetyckich, tworzy słowa-klucze, odwołuje się do filozofii, religii i etyki. Jej świat jawi się jako somatyczny i duchowy upadek człowieka, koszmar beznadziei i nonsensu ludzkiej egzystencji.

W 2006 roku ukazały się niestety już ostatnie „zamkowe” tomiki poezji. Debiutowali wówczas Robert Rubacha (ur. 1990) ze Szprotawy, który ogłosił zbiorek *Oczy* oraz Agata Komorowska (rocznik 1988) z Zielonej Góry, która wydała tomik *Międzysercowa*. W tym samym roku swój drugi tom wierszy w oficynie kożuchowskiego „Zamku” opublikował również Krzysztof Ł. Swereda, a zbiorek nosił tytuł *Głos milczenia*. Wiersze debiutującego w wieku niespełna 16 lat Rubachy przesyczone są przede wszystkim... miłością. Nie ma tu buntu, oskarżeń, pokoleniowej polemiki, jest natomiast dużo delikatności, czułości, romantyzmu. Strofy przesiąknięte są prywatnością, intymnością, introwertycznym postrzeganiem świata, zapadaniem się w odczucia i wiry namiętności. Autor jawi się jako zdolny obserwator życia, dlatego też nieprzypadkowo zatytułował swój zbiorek *Oczy*. Podmiot liryczny jego wierszy drobniawczo analizuje własne wnętrza, zagląda w strumień świadomości i patrzy przez pryzmat uczuć. Stosuje też liryczne chwytły: apostrofy, echolalie, powtórzenia, anafory i epifory, które mają wzmocnić tajemniczość jego poezjowania i nadać mu cechy magiczności.

Agata Komorowska z kolei to najdojrzała poetka z grona debiutantów zamkowej serii. Autorka uwielbia bawić się słowem, tworząc

neologizmy, układając literowe zbitki i ciągi typu „międzysercowa” czy „chwilopylna”. Traktuje pisanie wierszy jak błysk flesza, barwną feerię, grę światła i cieni, jej zapiski poetyckie są incydentalne, są migawkami życia, dzieją się tylko *hic et nunc*, a język jest jak czuły sejsmograf rejestrujący stany afektywne i jej duchową kontemplację. Autorka jest oryginalna w swoim przekazie poetyckim, posiada już wypracowany warsztat pisarski, który w głównej mierze stanowią miniatury pełne ekstrawaganckich reminiscencji i osobistych wynurzeń. Z poezji właśnie stworzyła własne antidotum na niedoskonałość natury i ułomność *homo sapiens*, uczyniła anestetyczne panaceum na nieuchwytność chwili, poetyckie remedium zakotwiczone w imponderabiliach. Wiersze jej mają być bursztynami zatrzymującymi czas, kadrami zapisującymi ulotność zdarzeń czy slajdami utrwalającymi drobiny życia i porywy serca. Komorowska potwierdziła swój nieprzeciętny talent wydaniem w 2008 r. w Krakowie tomikiem *Obiektywem pod słońce* oraz nagrodami w kilku konkursach poezji, m.in. w Warszawie, Oleśnicy, Tarnobrzegu i Zielonej Górze.

Ostatni z autorów wydanych w kozuchowskiej serii, Krzysztof Ł. Swereda, który dwa lata po debiucie zdecydował się opublikować swój drugi zbiorek, to również poeta już z sukcesami w kilku konkursach poetyckich, potwierdzającymi jego nietuzinkowy talent. Zbiór *Głos z milczenia* autor wydał, mając dopiero 17 lat. Stawia w nim sporo pytań natury ontologicznej, próbując jednak zawsze szukać na nie własnej, choćby naiwnej odpowiedzi. Stąd dużo w jego wierszach autoironii, refleksji i konstatacji. Swereda ukazuje absurd ludzkiego bytowania, pyta o jego sens w formie krótkich reminiscencji, aforyzmów, sentencji, tworzy nawet własne „złote myśli”. Autor traktuje lirykę jako pewnego rodzaju autoterapię, ucieczkę przed brutalnością świata, swoistą tarczę przed smutkiem i zdradą, jest ona dlań intymnym *katharsis*, przynoszącym ukojenie w egzystencjalnym cierpieniu.

Warto wspomnieć przy okazji o jeszcze jednej poetce, której tomik z niewiadomych przyczyn nie

wyszedł, chociaż był już w przygotowaniu. Mowa tu o Joannie Pustelnik z Małomic, piszącej miłosne wiersze i nastrojowe erotyki, cechujące się wielością odwołań, porównań i celnych skojarzeń; autorce, która również odniosła kilka sukcesów w konkursach poetyckich dla młodych twórców (m.in. w 2004 r. zdobyła główną nagrodę w konkursie w Nowej Soli), a o jej wierszach ciepło wypowiadał się także ks. Jan Twardowski. Być może jej zbirek doczeka kiedyś wydania. I mimo że dziś w kozuchowskim „Zamku” nie kontynuuje się wydawania serii poetyckich debiutów, od 2009 roku organizowany jest jednak cykliczny, ogólnopolski konkurs poetycki na „Najpiękniejszy wiersz miłosny”, wydając pokonkursowy tomik z nagrodzonymi tekstami.

Pod koniec lat 90. ubiegłego wieku pisałem na łamach „Komunikatów Nadodrzańskich” o debiutach roczników z lat 70. i myślę, że z chwilą zakończenia pierwszej dekady XXI wieku warto byłoby też pokusić się o głębszą refleksję na temat poezji debiutantów urodzonych w latach 80. i 90. (choć zapewne jeszcze kilka spóźnionych debiutów reprezentantów tych pokoleń dopiero nastąpi). Ciekawa byłaby również przekrojowa analiza porównawcza debiutantów wszystkich najmłodszych roczników, a więc twórców, którzy debiutowali w latach 90. XX wieku i w pierwszej dekadzie obecnego stulecia. Jednak cokolwiek nie powiedziec o debiutach tych dwóch okresów – schyłku minionej i początku nowej epoki – trzeba zauważyć, że większość z poetyckich nowicjuszy, często dobrze rokujących, to przeważnie efemerydy kończące swoją przygodę z Eufrene w momencie startu, czyli właśnie na debiucie. Nieliczni tylko decydują się na drugą publikację (m.in. Jarosław Dulęba, Marzena Więcek, Aleksandra Urban, Beata Patrycja Klary, Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk, Maciej Zdziarski, Marcin Szrama czy już wspomniani Krzysztof Swereda i Agata Komorowska), która najczęściej ukazuje się zaraz po debiucie i wieńczy (na razie) ich marsz na szczyt parnasu, a tylko wytrwali czy niezłomni decydują się na kontynuację niełatwej drogi przez artystyczne *inferno*, wydając trzecią (m.in. Karol

Graczyk, Krzysztof Fedorowicz) czy nawet czwartą książkę (np. Konrad Wojtyła). Wypada zatem mieć nadzieję, że ci, którzy opublikowali

przynajmniej swoje drugie dzieło, nie zrazili się jeszcze do poetyckiego rzemiosła i nie powiedzieli ostatniego słowa.



Kot jako maszyna nie całkiem prosta

Gdzieś we wszechświecie koty buduje się z układów scalonych, „naciepanych” w nich modułów mruczących, organów miauczących i sensorów świetlnych. Konstruktywistom, mechanikom i futurystom nie takie rzeczy się śniły...

W odległej przeszłości zdarzyło się, że ludzki wirus grypy zmutował się z kocim. Po krowach, kaczkach, łosiach i reniferach świat nie chciał więcej ryzykować i powybijał wszystkie milutki, kocie futrzaki (co za różnica, że to te parchate roznoszą toksoplazmozę i inne parchy?). Po wielu wiekach **udało się odtworzyć model behawioralno-facjatywny kota**; oparto się na wyjątkowo szczegółowych danych. To mityczne stworzenie miało cztery pary nóg (dwie prawe, dwie lewe, dwie przednie i, naturalnie, dwie tylne), **jego miękkość wskazywała na brak kręgosłupa**; zastosowano tu alternatywę – chitynowy pancerz obleczony jedwabistym futerkiem. Chciano wdrożyć w życie plan odnowy gatunku *felis domesticus*. Niestety, genetyka nie przychodziła z pomocą. Tkanki kotowatych osiągały na czarnym rynku zawrotne ceny, produkcja kilkusetkrotnie przewyższała zyski, **więc zaprzestano akcji „Kocia Wątróbka”**.

Teraz już tylko wszystko zależało od bio-inżynierów i robotyków. Ci pozbawieni spontaniczności i życiowej energii naukowcy postawili na funkcjonalność, choć nie mieli pojęcia, co właściwie będzie to oznaczać w przypadku kotów.

Do układu scalonego dociepano moduł mruczący, organ miauczący (zdaje się, że pominięto kluczową sprawę – *Co tak naprawdę oznacza miauczenie?* W czasach, gdy ludzie porozumiewają się telepatycznie, przestali używać onomatopei) i dwa połączone szeregowo sensory świetlne. **I jeszcze tylko projekt pancerza...**

Musimy sobie zdać sprawę, że postęp gwałtownie zredukował bioróżnorodność. Stąd, opierając się jedynie na starodrukach i podaniach, nasunęło się wiele wniosków, które niejaki **Pikle Wsłoiu** zebrał i opublikował. Ludzkość dowiedziała się między innymi o istnieniu latających myszy (*gackus domesticus*) czy latających myszoludzi (*batmanus humanoidus*), stąd prosta droga do wyodrębnienia kotowatych: z puszystym ogonkiem (*vieviurus ingentis*), z gustownym kołnierzykiem (lew z misiowymi uszami i w galowym stroju) i szpica miniaturowego.

Z takich to poszlak wyłonił się *jako taki* obraz. Stworzono matrycę, z której wychodziły roboistoty o szpiczastych uszach, długim ogonie, biegające, skaczące i na kolana wskakujące. **Niemal od razu przez lud przeszła fama**. Nawet reklama byłaby niepotrzebna (ludzie dawno już nauczyli się ochrony przed sugestią podprogową i zagrywką psychologiczną). W niedługim czasie każdy chciał mieć robokota (nie nadano im niestety chwytliwej nazwy rynkowej; przypuszczalnie naukowcom brak było weny, co potwierdzili numerami serii: FLD0938 etc.).

Rozpoczęto masową produkcję z małymi modyfikacjami umaszczenia (najpierw wszystkie były metaliczne, co wprowadzało spore zamieszanie).

I tak człowiek oswoił się z nowym kotem. Przyzwyczajał się pomału do świecących w nocy oczu, miauczenia, gdy stwór głodny i do dziwnej przypadłości (śpi to to **trzydzieści godzin na dobę**; resztę czasu odpoczywa). Przez myśl mu nawet nie przeszło, że już niebawem nastąpi *armageddon*...

Wszystko zaczęło się zaraz po tym, gdy **na rynek wypuszczono model FLD1203**. Z początku na kiwające się uszy i zmienione (jakby żywsze) spojrzenie nikt we **Wspólnocie Ośmiu Planet** nie zwrócił uwagi. Przeoczono tak małe anomalie behawioralne. Okazało się to jednak brzemiennie w skutkach.

Z początku właściciele zachwycali się niezwykłą miękkością ruchów u niektórych zwierzaków (inne były przekarmione, przez to zabawnie niezdarne), intrygował ich skrajny *autyzm*, jak mniemano, zainstalowany w wersji podstawowej (**w rzeczywistości nikt nie myślał nawet, by obciążać chorobą umysłową robotzwierzę**).

Przeciwnicy technicznych nowinek, w szczególności hodowcy psów (te bowiem, choć już zmutowane nieco, przed rozpoczęciem produkcji FLD były człowiekowi najbliższe), dopatrzili się kilku nieścisłości w stylu: **robotkoty nie mają snów, więc pewnie nie mają i duszy, są fałszywe i nie mają palców**. Oczywiście największe zamieszki wywołała kwestia palców, choć równie ważną sprawą było łączenie faktów i wniosek, jakoby roboty miały swą wrodzoną świadomość i niezależność.

Nowo powstały dział reklamacji zarzucony był listami od nabywców katorobotów, jakoby *nie*

tego się spodziewali. Jak się okazało, każdy kot stał się inny od drugiego robota. Ciężko było w naszym poukładanym świecie upilnować tak nieprzewidywalnych, chaotycznych stworzeń.

Ogłoszono stan wyjątkowy. Wizytatorzy ze Wspólnoty Ośmiu Planet postanowili zapobiec ewentualnemu kataklizmowi i wystosowali list otwarty o **utyliczacji wszystkich osobników FLD**. Niechciane koty miano wyrzucać na bruk, by służby porządkowe mogły je zatłuc.

Stare podania mówiły o XXI wieku i kotach buszujących po śmietnikach, parchatych i poturbowanych. Dzisiaj takich już się nie uświadczy. Być może dlatego, czując lodowaty powiew rychłej masakry, ludzkość oprzytomniała. Sam Pickle Wsłoiu opublikował esej na temat kochanych, urokliwych, miłych FLD1203, sztuk dwie, z którymi zaczęły porozumiewać się telepatycznie. Mimo osobliwych zachowań katorobotów zaakceptowano ich humory, przymilanie się na przywitanie i czułe wbijanie pazurów w nogę. Można powiedzieć, że w jakiś niewytłumaczalny dla nas sposób ludzie pokochali FLD i od tej pory nazywali je po prostu **kotami**.

Nie było co prawda happy endu, gdyż wiele z robotot poszło na przemiał (z robocich części robiono zazwyczaj baterie słoneczne i podzespoły kapsuł kosmicznych). Jednakże większość **kotów** (naprawdę niechętnie jeszcze używam tej nazwy jako *novum*) zatrzymana została przez właścicieli i wiedzie dostatnie życie (co inteligentniejsze osobniki dostały prawo dziedziczenia po domownikach, a obecnie, nie bacząc na zaszczości, Wspólnota pracuje nad **uchwałą pozwalającą pilotować kotom mniejsze maszyny**).

Jakby nie patrzeć, koty czczone były od Starożytności. Wynika z tego, iż musiały mieć w sobie **coś naprawdę magicznego**.

Nasza populacja odkrywa to „coś” na nowo...

Przykazania pożądania

otwórz
niech rozstąpi się twój wstyd
mam dla ciebie prawdziwe przykazania pożądania
wryte w moich oczach jak światło snu
roztąńczoną iskrą oddechów

będziesz mieć koronę bogów
wplecioną między płuca
będziesz zawsze krzyczeć moje imię
zbudzona o trzeciej nad ranem
pamiętaj świecić wiecznym płomieniem warg
na fioletowym niebie pragnienia

zabijesz każdą niejasność już we krwi
ukradniesz moje poszarpane serce
i zmyjesz błoto którym nasiąknęło
biegnąc do ciebie pustym deszczem
weźmiesz między palce podziurawione zapachy jutra
i rozsypiesz je na moim brzuchu jak niezliczone fantazje

dziargam w twojej krwi cichość i swobodę
rodzisz się w truciźnie lęku
i patrzysz bezwstydem w oczy
wiesz jak to się skończy

ty wiesz

Wejdz, rozgość się

wejdz – rozgość się w moich płucach
tyle snów wyżartych przez bezdech
otwarte żyły krzyczą pulsarem ciepła
rządzi mną energia rozłożona wspaniałością słońca i odległych gwiazd
cieniem wpełzająca do serc
rzadsza od wszystkich krwi ziemskiego światła

raz podaj a zobacz podróż
wkradającą się pod rękę
bądź roztropna i daj się prowadzić
nie od wczoraj znam twoje oczy
jak pazur diabła w niebieskiej poświacie
wiszący krzyżem nad lasem

wsluchaj się w swój oddech
jest inny jedyny taki
nie pozwól porwać się kłamstwu które hodoją ci w języku
zatarte granice płynna rzeźba zapachów
kontury kosmosu pod delikatną skórą
a potężne sny ciemnej materii w jednym spotkaniu ust

ZENtrum: w poszukiwaniu Jedności

Gdy zapytałem kiedyś pewnego młodego Niemca, kogo – jego zdaniem – można by określić mianem „niemieckiego Boba Dylana”, powiedział mi, że tak od razu nie przychodzi mu nikt na myśl, musi więc skonsultować się z tatą. Następnego dnia, sam niezłe zdziwiony wnioskami, do których wraz z tatą doszedł, oznajmił mi, iż rzeczywiście nie ma kogoś takiego. Są piosenkarze polityczni, są bardziej liryczni przedstawiciele nurtu tzw. piosenki poetyckiej, są kabareciarze, rockmani, ale kogoś, kto łączyłby to wszystko, skutecznie i naturalnie wymykając się wszelkiego rodzaju klasyfikacjom, a jednocześnie zachwycając oraz inspirując coraz nowsze generacje – kogoś takiego nie ma. Podobną sytuację można zaobserwować w każdym kraju: między innymi w Polsce. I chociaż Jacka Kaczmarskiego chętnie określa się „polskim Bobem Dylanem”, ich rzekome pokrewieństwo miałyby polegać jedynie na tym, że i jeden, i drugi uchodzi za „głos pokolenia”, „sumienie narodowe” – nietykalne hasła, których popularność tłumaczy się w dużej mierze strachem przed podjęciem samodzielnych decyzji.

Dlaczego więc Dylan? Z bardzo prostego powodu. W jego piosenkach w magiczny, niemalże niewysłowiony sposób rzeczy, na pierwszy rzut oka niemające ze sobą nic wspólnego, zostają związane giętkim, nierozzerwalnym łańcuchem intuicji i metafor: odnajdziecie w nich ciepło wiejskiego mleka, wściekłość spragnionego

wolności rebelianta, kuszący blask srebrnego księżycyca nad starym meksykańskim cmentarzem, ponurą pieśń bezdomnego wiatru, wiecznie wędrującego nad pustą arizońską autostradą, pierwszą miłość i ostatnie westchnienie, płacz matki, sceptyczny uśmiech uwodziciela i szeroko otwarte oczy dziecka, które po raz pierwszy ujrzało tęczę...

Ale nie o Dylanie, wbrew pozorom, mowa. Mowa o Jedności – pojęciu, o którym Hermann Hesse powiedział kiedyś, że jeżeli wierzy w cokolwiek całym sercem, to jest to właśnie owa Jedność kryjąca się za całokształtem stworzenia. Właśnie o tę Jedność chodzi w zespole zwanym ZENtrum. Autor niniejszego artykułu pełni w nim funkcję twórcy pierwotnych wersji piosenek. Inaczej mówiąc: piszę teksty, ozdabiając je melodiami i rytmem, które w trakcie dalszej pracy zespołowej mogą ulec mniej lub bardziej radykalnym zmianom. Obecnie podstawowy skład ZENtrum stanowią trzy osoby: ja śpiewam i gram na gitarze akustycznej (czasami też na harmonijce ustnej); Johny, uderzając w conga bądź djembe, przywołuje niespokojne duchy Afryki i Jamajki; Marcin medytuje na gitarze basowej, dodając całości przestrzeni i utrzymując, razem z Johnym, rytmikę utworów. Nazwa ZENtrum powstała pod koniec roku 2009 po luźnych rozważaniach na temat wspomnianej Jedności, którą koniecznie chcieliśmy ująć w nadanym grupie imieniu,

ciągnąca się zabawa słowami nagle zaowocowała tym tajemniczym skrzyżowaniem Zachodu i Wschodu, które Rudyard Kipling, widocznie zbyt pochopnie, uznał za niemożliwe. Bo jest w tym smutnym, dziwnym, a jednak niepojęcie pięknym świecie coś, co nieustannie świadczy o magnetyzującej Jedności wszystkiego dookoła. Muzyka zaś bardzo pomaga to dostrzec. Wystarczy tylko odciąć się od okrzyczanych „klimatów”, w których gustuje się lub nie, zapomnieć o gatunkach, podziałach czy innych bzdurach – i niezmierny ocean muzyki pochłonie przypadkowego gościa, odkrywając mu nieznaną dotąd kalejdoskop myśli, wrażeń i uczuć. Celtycki marsz i chiński gong, kowbojski bunt i hinduska modlitwa, gęste mgiełki rozpaczy

i lśniące wrota radości. Nie chcemy przekazywać żadnych „poważnych treści”, nie chcemy uczyć ani ostrzegać – broń Boże! Ale jeżeli poczujesz kiedyś samotność tak ostrą i bezwzględną, że serce skurczy się w bolesnym westchnieniu: „Przecież muszą być gdzie istoty, podobne do mnie!” – wtedy nasze piosenki wyciągną do Ciebie rękę i szepną: „Patrz, nie jesteś sam!”.

Reasumując: gramy transcendentalny folk-rock z dużym naciskiem na teksty. Więcej szczegółów na koncertach.

Do zobaczenia po tamtej stronie!

www.myspace.com/zentrumband

www.myspace.com/kotine



Bo...

Kiedy czar pryska
A ludzie okazują się
Niestety
Tylko ludźmi
Co zostaje?
Nie ma nadziei
Bo nadzieją było
Błogie Niebo
W którym każdy
Ma ochotę zamieszkać
I nie spadać
I nie wracać
Dążyć do doskonałości
Do lepszego życia
Nie zostaje nic bo

Ludzie są tylko ludźmi
I nic już tego
Nie zmieni
A ja
Nie umiem
Wybaczać...

Wróciły

Malutkimi kroczkami,
Niepostrzeżenie,
Przez dziurkę od klucza,
Bez jakiegokolwiek
Zapowiedzi
Czy wcześniejszego
Telefonu
Od tak, jak co dnia
Dzieci wracają
Z przedszkola,
A dorośli z pracy
Wróciły
Obawy...
I są,
Próbują zamieszkać tu na stałe,
Ale nikt ich nie chce,
Choć trzymają się kurczowo
Za bezsilne
I pokrzywdzone
Przez złe doświadczenia
Lecz ciągle białe
Ręce
Idźcie
Precz!

...Dziś...

Dziękuję Ci za wszystko
Jeśli jutro
Miałabym się
Nie obudzić
Dziękuję
Za nią
Za życie
Za szczęście
Za siłę
Za moc
Za odwagę
Za upór
Za wiedzę
Za rozum i uczucia
Walczące między sobą
Często
Dziękuję i do widzenia
Chyba odnalazłam
Swoje miejsce
Na ziemi

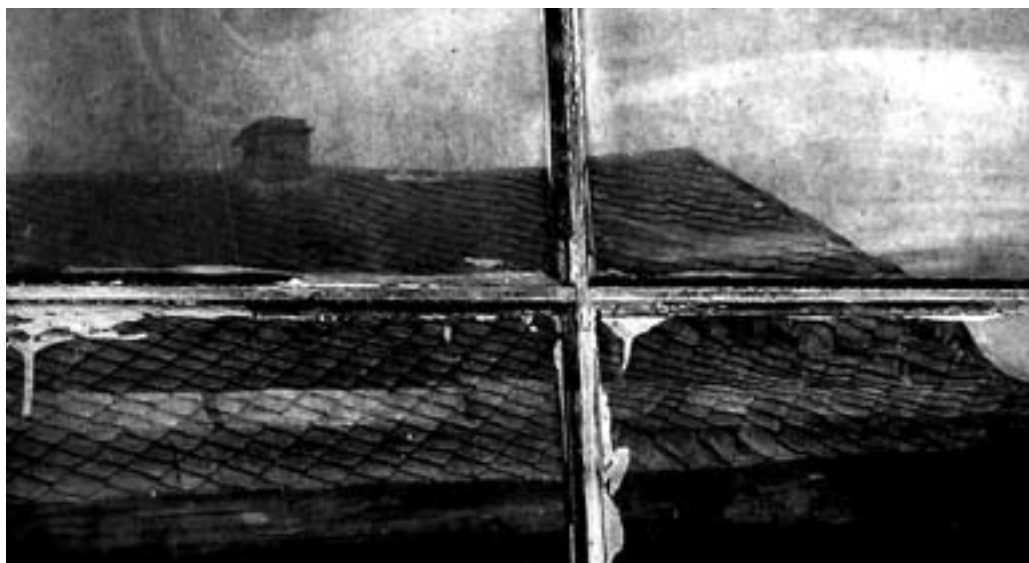
Codziennosc

Roztacza się szarym światłem
Nad ludzkimi głowami
Krzyczy nienawiścią
Pluje jadem
Grozi śmiertelnością
Nie daje wytchnienia
Jest tak brutalnie normalna
A może normalnie
Brutalna...
Nie daje nadziei
Daje za to
Niepewność
Smutek i strach
Choć przecież
Nie powinna

Odbicia przeszłości

Przeszłość. Staramy się do niej nie wracać. Nie rozpamiętywać. Szczególnie tej przykrej, odciskającej ślady. Najchętniej rzucilibyśmy ją w kąt. W najdalszy i najciemniejszy. Zapomnieli. Wyciągając jakieś wnioski. Ale jeśli sami świadomie wracamy do przeszłości, która niekoniecznie jest częścią naszego życia. Kiedy jesteśmy tylko odbiorcami przeszłości. Marnymi interpretatorami minionych wydarzeń. Kiedy na przeszłości próbujemy budować przyszłość.

A jest to niełatwa sprawa. Szczególnie gdy nie ma się pojęcia o przeszłości. Pamięta się tylko jej skrawek. Z prostej przyczyny – młodego wieku. Gdy owo pojęcie nabywa się latami. Gdy słucha się najpierw opowieści. Gdy chęć poznawania wypija się wraz z mlekiem matki. Gdy sięga się po książki i w domowym zaciszu karmi umysł informacjami. Z czasem dojrzewa się do śmielszych kroków, jakim jest na przykład dyskusja w szkole, a dokładniej próba jej podjęcia. Z czasem zdecydowane kroki,



jak wyjazd, by obejrzeć, jaki ślad w przeszłości pozostawił drugi człowiek. Bo przecież „Ludzie ludziom zgotowali ten los”. Jak nastoletnia osoba wytłumaczy sobie tragedię? Jak zrozumie jej ogrom? Na początku na pewno gniewem. Bo jak można zrozumieć brato- czy dzieciobójstwo. Przecież to niewytłumaczalne. Niepojęte dla osoby, która dopiero co rozpoczyna przygodę, jaką jest życie. Jeśli wybiera ekstremalne zainteresowania. Jeśli jest tym fragment z historii, który każdy omija wielkim łukiem. Czy z taką osobą jest coś nie



tak? Jak bardzo przeszłość odbija się w jej podświadomości? Myślę, że bardzo, skoro podejmuje się misji nieraz niemożliwej. Kiedy rówieśnicy wiodą bez troski żywot, czerpiąc z życia esencję, w typowy nastoletni sposób. Tu esencją jest coś innego. Chęć stania na straży tego co było, co związane jest z bólem, co kumuluje się każdego dnia, powracając jak bumerang. Chęć powracania do miejsca, które mimo ciężaru przeszłości jako były niemiecki obóz koncentracyjny KL Auschwitz – Birkenau dziś jest Oświęcimiem – Brzezinką, mającym własny – idealny rytm.

Wolontariat. Niby zwykła rzecz. „Praca za darmo”. Bez wynagrodzenia materialnego. Jednak tu jest wynagrodzenie. Choć często jest to praca cięższa niż etatowego pracownika. Wynagrodzeniem jest nabyte doświadczenie oraz myśl, że robi się coś dobrego. I może poczucie się ważnym, a raczej potrzebnym. Bardzo dowartościowujące. Nieco idealistyczne. Ale czy w ogóle myśli się, że się pracuje za darmo? Myślę, że nie, skoro decyduje się na to. A może to taka słabostka młodości, że nie mając rodziny, zmartwień, decydujemy się na pracę za dobre słowo „dziękuję”. Choć nie każdy chce coś robić w życiu za darmo.

27 stycznia 2011 roku to kolejna data pamięci o przeszłości. To następna próba wybaczenia. To ponowny powrót do tego, od czego chciałoby się uciec, ale nie można. Jest to niemożliwe. Bo nie dość, że po 66 latach umysł nie pozwala, to także numer. Zastępcze imię i nazwisko. Numer na przedramieniu. Kilka cyfr przypominających głód, krematorium, kata i śmierć.

(Fotografie zamieszczone w tekście wykonała autorka)

* Motto *Medalionów* Zofii Nałkowskiej. Pochodzi z *Dzienników czasów wojny*, ukryte pod datą 28 lipca 1944 roku. Jednakże zostało zapisane w nieco odmiennej formie: „Ludzie ludziom gotują ten los”. Użyte w formie przeszłej dla pokreślenia, że ten czas już minął.

Zamieć,
Może jeszcze zmieści się
Dzisiejsza szansa pod jutrzejszy dywan.
Ukryj ją
Dokładnie, by nie było widać,
Że odkładasz na potem wszystkie swoje możliwości.
Boisz się
Szuflada z porażkami już się nie domyka,
Więc powtarzasz, że spróbujesz „jutro”, czyli nigdy.
Kolejny raz
Przypowieść o talentach
Dotyczy właśnie Ciebie.

Nielegalnie

Stojąc w kolejce podsłuchuję szczęściary
które zdołały zrobić już zakupy
podrabiam dowód,
byś sprzedał mi choć odrobinę
siebie.

Bez fusów

Czerwonymi od mrozu palcami
Obejmuję mocno ciepłą szklanke.
Topię się cała w swoich myślach,
Topię swoje myśli w herbacie.
Troskliwy jak zawsze przypominasz,
Że ta parzona z cytryną
Zwiększa ryzyko Alzheimerera.
Niestety, ja mimo usilnych starań
Ciągle wszystko pamiętam,
Chociaż wakacyjny piasek wytrzepałam z butów
Już dawno temu.
Mózgu sobie przecież nie wytrzepię.
Na samą myśl
Przez moją twarz przelatuje szybki półuśmiech.
Przez twoją też leci:
Kilogram niezrozumienia
Na papierowych skrzydłach.
Przecież ja chciałabym tylko
Zejsć kiedyś prosto na psy,
Móc bezsensownie wyc do księżycy
I łudzić się, że on mnie usłyszy.
Ty mówisz, że zejdiesz przy mnie na zawał serca.
Czerwonymi od mrozu palcami
Obejmuję mocno pustą szklanke.



ZBLIŻENIA

Tym razem w ramach cyklu prezentujemy artykuły autorstwa młodych badaczy – studentów Uniwersytetu Zielonogórskiego, którzy pod kierunkiem prof. UZ, dr hab. Małgorzaty Mikołajczak przygotowują prace magisterskie poświęcone literaturze lubuskiej.

O drodze poetyckiej Janusza Koniusza

Janusz Koniusz to jeden z najbardziej znanych autorów zielonogórskich; poeta, który na trwałe zapisał się na kartach historii literatury lubuskiej. Dziś jego twórczość zna każdy zainteresowany tą literaturą, nie każdy jednak wie, jak wyglądała jego poetycka droga. Właśnie owej drodze spróbuję przyjrzeć się w poniższym szkicu.

Przybывая w 1954 roku do Zielonej Góry, Koniusz miał już na swoim koncie debiut prasowy wierszem *Droga w „Życiu Literackim”*. W „Śląsku Literackim”, „Trybunie Robotniczej”, „Czarnym Śląsku” oraz dwóch zbiorowych wydaniach (*Almanachu Literackim* i *Almanachu Młodych 1956/57* Iskier) opublikował kilka innych utworów utrzymanych w klimacie typowym dla „pryszczatych”, grupy młodych pisarzy przełomu lat 40. i 50.¹ Te pierwsze teksty posiadały, podobnie jak utwory jego pokoleniowych rówieśników, charakterystyczną estymę agitacyjną i wyraziste przesłanie ideologiczne. Podejmowały głównie tematykę polityczno-gospodarczą. W polu zainteresowań

poety znalazły się wówczas – jak sam po latach wspomina – plan sześćcioletni, współzawodnictwo pracy, funkcjonowanie spółdzielni produkcyjnej, walka o pokój, działania zbrojne w Korei itp.² W tym kontekście twórczość pisarza nie wyróżnia się na tle bieżącej produkcji literackiej.

Innym ugrupowaniem, które wywarło wpływ na poetykę Koniusza, było pokolenie Współczesności, które swoją nazwę zawdzięczało przewodniemu czasopismu³. Tym, co łączyło Koniusza z generacją pisarzy debiutujących około 1956 roku, było przede wszystkim wspomnienie utraconego, wojennego dzieciństwa, sprzeciw wobec zastanej rzeczywistości i niezłomna wiara w możliwość zmiany aktualnej sytuacji⁴. Pamiętać jednak trzeba, że poeta sytuował się raczej w tle twórczości tego pokolenia, czerpiąc wybrane wzorce od starszych towarzyszy pióra i adaptując je do wypracowanej przez siebie stylistyki.

Bacniejszą uwagę warto zwrócić na związki poetyki Koniusza z twórczością tzw. Awangardy

-
- 1 Obok Koniusza należeli do niego m.in. Wiktor Woroszyński, Andrzej Braun, Wisława Szymborska, Tadeusz Konwicki, Witold Wirpsza, Witold Zalewski.
 - 2 *Janusz Koniusz. W 70. rocznicę urodzin, rozm. przeprowadz. E. Ćwilińska, wstęp Cz. Sobkowiak, bibliogr. M. Adamek, Z. Maziarz, Zielona Góra 2003*, s. 9.
 - 3 Wśród najważniejszych członków Współczesności wymienia się m.in. Stanisława Grochowiaka, Andrzeja Bursę, Halinę Poświatowską, Edwarda Stachurę, Jerzego Harasymowicza, Ernesta Brylla oraz nieco starszych: Mirona Białoszewskiego, Wisławę Szymborską i Zbigniewa Herberta.
 - 4 *Janusz Koniusz. W 70. rocznicę...*, s. 15.

Krakowskiej. Autor, ze względu na swój wiek i rok debiutu literackiego, nie miał bezpośredniego związku z tym ugrupowaniem. Ogromny wpływ na jego twórczość wywarła jednak przyjaźń Juliana Przybosia, z którym po raz pierwszy poeta miał okazję spotkać się na zjeździe literatów w Dusznikach⁵.

Tym, co szczególnie fascynowało Koniusza w utworach awangardowych, było przede wszystkim realizowanie hasła przewodniego ugrupowania: „Minimum słów, maksimum poezji”. W duchu tego postulatu Koniusz pisał wiersze krótkie, acz treściwe. W opisie skupiał się przede wszystkim na konkretnych zjawiskach i sytuacjach z codziennego życia. Na przykład w wyczelowanym sposobie kreślił przed czytelnikiem obraz rodzinnego domu, pełnego garnków, sztućców i talerzy („Czajnik kuka chichocząc pokrywki / To rechołanie talerzy plusk łyżek”, *Z dialogu przed drzwiami*) albo wielbił Matkę Ziemię za dary natury („Rodzicielko synów pomidorowych marchwi córek // Orędowniczko kapusty / Opiekunko kalafiorów / Spichrzu niepokalanej rzepy [...]”, *Modlitwa do ziemi*). Artysta jawił Koniuszowi się jako architekt-budowniczy zdań, którego zadaniem jest „skonstruować” dobry wiersz. Było to zgodne z programem poetyckim Tadeusza Peipera, twórcy programu Awangardy, który porównywał wysiłki poety do pracy rzemieślnika i twierdził, że działalnością artystyczną powinny rządzić te same prawa, które kierują produkcją. Koniuszowi nieobce były też metafory wyrażające nową poetyckość. Ich konstrukcją rządziło kondensowanie znaczeń, ekonomiczność języka, emocjonalna powściągliwość i konstrukcjonizm. Jego teksty ilustrowały nowe symbole zmieniającej się rzeczy-

wistości: miasto, masę, maszynę. Wpływy awangardowe najlepiej uwidoczniają się w arkuszu *Tempo krążenia* i w tomie *Ślad przelotu*, a więc pozycjach wydanych już na Ziemi Lubuskiej⁶.

We wspomnianym arkuszu znalazł się m.in. wiersz *Miasto*, w którym autor nie tylko ukazuje budowlę miejskie, ale sam wdraża zabiegi konstrukcyjne do procesu twórczego. Naczelną myślą tekstu jest oczywiście bezpośrednie porównanie tworzenia poetyckiego do zabudowań miejskich. Tytułowe miasto to nic innego jak „gmachy poezji, kondygnacje wyobrażeń / wyłożone sylabami”, tyle tylko, że wyłamujących się z planu linii poziomych i pionowych, „bez gzymsów / kolumn / fasad”.

Świat liryczny, który pisarz kreśli w swych późniejszych, zielonogórskich utworach, „skurczył się – jak zauważa Czesław Sobkowiak – do pojedynczych rzeczy, zjawisk i sytuacji, które wolne były od idei nadrzędnej”⁷. W tym okresie w poetyce Koniusza uwidaczniają się nie tylko wpływy Tymoteusza Karpowicza i Juliana Przybosia, ale też Mirona Białoszewskiego. Autor w maksymalny sposób cytuje wypowiedź, hołdując hasłu „najmniej słów”. Można więc powiedzieć, że Julianem Przybosiem, że Koniusz „zaczął od tego, do czego dobijają się po wielu latach praktyki niebylejacy poeci – od zwięzłości, od dążenia do esencji wydestylowanej z treści poetyckiego doznania”⁸.

W zbiorach *Wokół słowa* oraz *Ziemia w stopach* dostrzec można zmianę: poeta zwraca się ku zagadnieniu ocalenia. Nie miały wpływu miały tu utwory Tadeusza Różewicza, poruszające problem ludzi „prowadzonych na rzeź”. Z czasem w poezji Koniusza coraz częściej dają o sobie znać treści o głębokim znaczeniu, przy czym kompozycyjny

5 Szerzej pisze o tym Koniusz w książce *Kamień z serca* (Zielona Góra 1994, s. 41-55).

6 W jednej z recenzji wspomnianych publikacji autorstwa B. Bąka poetę krytykuje się za tak skrupulatne kontynuowanie awangardowych postulatów (patrz: B. Bąk, *Zielonogórskie debiuty*, „Rocznik Lubuski”, t. 1, Zielona Góra 1959, s. 242-244). Z kolei Z. Bieńkowski wyraził uznanie dla konkretyzacji sensów widocznych w poezji Koniusza (patrz: Z. Bieńkowski, *Poeci zielonogórscy*, „Zeszyty Lubuskie LTK”, t. 4: *Literatura na Ziemi Lubuskiej*, Zielona Góra 1968, s. 9).

7 Cz. Sobkowiak, *Sploty wyobraźni (o poezji Janusza Koniusza)*, [w:] *Janusz Koniusz. W 70. rocznicę urodzin...*, s. 10.

8 J. Przyboś, *Zamiast recenzji ze „Śladu przelotu”, „Nadodrże”* 1961, nr 10.

kształt jego wierszy pozostaje niezmiennie oszczędny. Echo dawnej fascynacji prozaicznymi rzeczami zostaje wzbogacone o niepokój intelektualny. Autor snuje pesymistyczną refleksję nad ludźmi, zrobionymi „z żołądków / które kroi się jak jabłka” oraz „włosów / których pełno na kołnierzach / w salonach fryzjerskich / w Oświęcimiu”, i którzy już zawsze będą „bać się myszki, mielić żyto na śrut”.

W kolejnych tomikach pojawiła się również nowa kategoria literacka – nazwać ją można przestrzenią poetycką wiersza. Podobnie jak Różewicz, Koniusz zmagą się z tworzywem poetyckim i kwestionuje jego możliwości. Jego poeta doświadcza trudów tworzenia:

Spoczął
na doświadczalnym poletku poezji
ze świeżą raną w gardle
po nagle urwanym głosie

(*Śmierć poety*)

Tym, co najmocniej daje o sobie znać w dziele Koniusza, są wątki mitologiczne oraz historyczne. Autor coraz bardziej interesuje się mitami śródziemnomorskimi. Jak fikcyjny Pan Cogito z wierszy Zbigniewa Herberta, Koniusz przemierza najdalsze zakątki ludzkiej rzeczywistości, aby ze znanych sobie elementów stworzyć nową przestrzeń. Równocześnie prezentuje własne reinterpretacje mitologiczne, dotyczące starożytnego świata greckiego i chrześcijańskiego. Inspiracją są dla niego te epoki, które na wiele wieków ustalały kanony duchowe, aby ukazać w swojej poezji bardziej ludzki wymiar prezentowanych zjawisk. Podczas lektury można więc spotkać się z nawiązaniem do historii Dedala, Homera, Rafała czy Krzysztofa Kolumba, a także poznać realia pracy numizmatyka, który „z konstelacji monet / przepowiada / pogody praepok” (*Numizmatyk*).

Innymi relikwiami przeszłości obecnymi w wierszach Koniusza są wątki autobiograficzne. Jego teksty opowiadają o rodzicach poety, o dzieciństwie spędzonym w rodzinie górniczej, a co za tym idzie – o prozie górniczego życia oraz kopalnianej tragedii, która wciąż jest obecna w jego poetyckiej wyobraźni, i która nakazuje mu rozliczać się z przeszłością. Świat, jaki pamięta z lat młodości, poddany zostaje silnej sakralizacji; kopalnia, w której zginął ojciec poety, porównana jest do biblijnego Betlejem. Sam Koniusz zaś jest jak Baltazar, który w darze dla ojca „przez zaspy papieru wlecze chude woły wierszy”.

Autor późnych wierszy ujawnia też swoje rozterki wewnętrzne. Powołuje się na zbiorowość współczesnego pokolenia, aby opisać samego siebie. Jak twierdzi Czesław Sobkowiak, „nawiedzają go zwątpienia egzystencjalne i spofeczne [...] oraz eschatologiczne”⁹. Wątpi również w poślanictwo literatury. Jego zaangażowanie i poświęcenie – przypuszczalnie – pójdzie w niepamięć, a on sam jest tylko „dziejową pomyłką”. Co pozostaje? Beznamiętna rejestracja codzienności.

Najnowsza poezja Koniusza utrzymana jest w nurcie charakterystycznym dla najstarszego pokolenia pisarzy lubuskich, tj. roczników urodzonych w latach 20., 30. i 40. XX wieku¹⁰. Artystów tych łączy głównie doświadczenie pamiętania wojny, utraty domu rodzinnego, mniej lub bardziej przymusowe przesiedlenie. Poeci ci są apologetami minionych czasów, opiewającymi przeszłość, mitologizującymi swoje rodzinne strony i trudne dzieciństwo.

W myśl powyższego, najświeższa poetyka Koniusza charakteryzuje się rozrachunkowym tonem, bilansem przeszłości – tak w wymiarze osobistym, jak i historycznym. Motywy i tematy do swych utworów poeta czerpie z osobistego doświadczenia, a także ze znanych sobie kręgów kulturowych¹¹.

Takim doświadczeniem może być powrót do rodzinnego domu, w którym już nic go nie poznaje.

9 Janusz Koniusz. *W 70. rocznicę...*, s. 18.

10 Do grupy tej, prócz Koniusza, należą m.in. Henryk Szyllkin, Janusz Werstler, Ireneusz K. Szmidt czy Anna Tokarska.

11 J. Kurowicki, *Nacznym osobności. O zjawiskach poezji lubuskiej – przegląd stroniczy*, Zielona Góra 1998, s. 43-45.

Towarzyszy temu poczucie utraty, gdyż nie zastaje tam ani rodziców, ani pieca, ani kopalni, ani nawet domu. Gdy odwiedza rodzinne miasto, przekonuje się, że:

Rozległy zawał ten dom z cegieł i drewna
na dwoje rozdarł jak zasłonę w Świątyni
Rozebrano do wyrobiska
fundament ściany dach komin

(*Odwiedziny starego miasta*)

Wspomnieniom rodzinnym w wierszach Koniusza towarzyszy poczucie przemijania, nadchodzącego kresu. Coraz częściej poeta myśli o niedołężnej, „obłożonej starości po utracie pamięci”, którą „stworzył młodociany Bóg / bez doświadczenia” (*O starości*). W tle tych przemyśleń pojawia się horacjański wątek *exegi monumentum* – w wersji pesymistycznej, gdyż poezja nie przynosi ocalenia. Odejścia poety nie zauważy żaden człowiek, i może tylko „ostatnia sosna Sosnowca” (*Dowód*) smutno nad nim zatrzeszczy¹².

Jak widać, twórczość poetycka Janusza Koniusza przechodzi znaczącą ewolucję, która obejmuje również sferę poetyki. O ile początkowe wiersze artysty utrzymane są w surowej konwencji Awangardy, o tyle zielonogórskie tomiki Koniusza zawierają utwory dłuższe, rozbudowane, operujące wyrazistą metaforą i personifikacją. Na jakim etapie rozwoju artystycznego znajduje się więc Koniusz obecnie? Sądzę, że po wielu latach twórczych udoskonaleń poeta nie tylko oszlifował swój warsztat, ale też osiągnął swego rodzaju doskonałość w literackim przedstawianiu rzeczywistości. Jego poezja nie odzwierciedla zastanego świata, ale prezentuje autorską wizję otaczającej rzeczywistości. Za pośrednictwem wyobraźni, na kanwie własnej pamięci poeta tworzy zmitologizowany obraz lat dzieciństwa i podejmuje dialog z kulturą. Jego utwory to reinterpretacje greckiej i chrześcijańskiej mitologii, historii i kultury człowieka. Reinterpretacje nowatorskie, ale spełnione głębokim pesymizmem oraz żalem za utraconym czasem i zagubionym człowieczeństwem.

12 M. Mikołajczak, *Słowo wstępne*, [do:] *Od słowa do słowa. Antologia poezji lubuskiej 2001-2006*, red. M. Mikołajczak, Zielona Góra 2006, s. 9-10.

Kardiostymulator radiowej wyobraźni

Radio Zachód okres swojej świetności w zakresie teatru radiowego przeżywało w latach 60. Powstawała wtedy pokaźna liczba słuchowisk oryginalnych i adaptacji. Do Zielonej Góry zjeżdżali pracownicy Rozgłośni Wileńskiej, Szczecińskiej. W studiu nagraniowym zjawiali się aktorzy sceny warszawskiej, a i Warszawa wykupywała prawa do emisji poszczególnych lubuskich dźwiękowisk. Morawski, Waškiewicz, Malicki, Koniusz, Szura, Kołodziej – wielu twórcom regionalnym teatr radiowy nie był obojętny. Lubuski teoretyk słuchowiska, Michał Kaziów określał ten radiowy świat mianem „zielonogórskiego teatru wyobraźni”, wydając nawet broszurę pod tym tytułem¹. Praktycznie do roku 1980 radio artystyczne funkcjonowało na regionalnie wysokim poziomie. Teatr radiowy był wielkim medium imagacji, które wprowadzając literaturę do eteru, otwierało pole różnorodnych interpretacji. To było trzydzieści lat temu. Dziś miejsca dla teatru radiowego w klasycznej formie nie ma. W topografii słuchowiska polskiego Zielona Góra jawi się jako „biała plama”². Pojawiła się jednak pewna szansa...

Kilka lat temu rozpoczęła swoją działalność artystyczną grupa Wątpliwi Krewni Orsona Wellesa. W tej ironicznej nazwie jej twórcy odwoływali się do nazwiska jednego z pionierów teatru radiowego na świecie. Orson Welles zasłynął szczególnie jako autor słynnej *Wojny światów*. Słuchowisko opowiadało o inwazji Marsjan na Ziemię: „na planecie Mars zaobserwowano trzy wybuchy, zaś niedługo potem olbrzymi, rozpalony obiekt – uznany za meteor – spadł na jedną z farm w stanie New Jersey”. Pod pozorem transmisji na żywo stworzony został spektakl-hybryda³. W ten pamiętny dla teatru radiowego na świecie wieczór słuchacze, zazwyczaj epatowani radiowymi operami mydlanymi, poczuli się zagrożeni zaistniałą „sytuacją”. Przerażeni mieszkańcy New Jersey dzwonili na policję, pytając, co się stało. Niektórzy wybiegali na ulicę z mokrymi ręcznikami na głowach w panice przed atakiem gazowym. Jakaś kobieta wtargnęła do kościoła, krzycząc: „Nowy Jork zniszczony, to koniec świata!”. Wielu ludzi wylądowało w szpitalach z objawami rozstroju nerwowego. Policja odnotowała wypadki śmiertelne,

1 Zob. M. Kaziów, *Zielonogórski teatr wyobraźni*, Zielona Góra 1980.

2 Tak określił pewien polityk twórczość lubuską w drugiej połowie lat 50. Zob. M. Mikołajczak, *Biała plama? Twórczość lubuska w perspektywie nowego regionalizmu*, „Pro Libris” 2/3(31/32)2010, s. 63.

3 Trudno określić mianem dramatu radiowego spektakl, którego formę wyznaczał pozór dosłowności i autentyczności relacji reporterskich.

a straty materialne wyniosły około 750 tysięcy dolarów. A przecież był to tylko teatr wyobraźni. Wątpliwi Krewni Orsona Wellesa postanowili odnowić tradycję wzbudzania radiowej wyobraźni. Z dystansem jednak, co podkreśla określenie „wątpliwi”, odnosili się do swojej twórczości. Rozpoczynając radiowy projekt, pisali:

Pewnego dnia wątpliwie spowinowacona ze sobą grupa odnalazła na strychu starego domu pozostałości dokumenty po swym przodku. Orson – bo o nim tu mowa – przekazał w nich złotą receptę na tworzenie genialnych słuchowisk radiowych. Niestety... jego wątpliwi krewni nigdy z niej nie skorzystali, o czym możecie przekonać się słuchając ich wątpliwej artystycznie twórczości⁴

Teksty Wątpliwych wyszły spod pióra dziennikarzy Radia Zachód, którzy także w nagraniach ujawnili swoje aktorskie talenty. Powstało kilka ciekawych eksperymentów radiowych (podkreślam: trudno nazwać te audycje *stricto* słuchowiskami). Opisują one głównie ciemne przestrzenie miejskie, takie jak piwnice (spektakl Małgorzaty Nabel), strychy (adaptacja noweli Lovecrafta *Muzyka Ericha Zahna*) czy oniryczne miasta widma (*Tygrys*). Wśród nagrań Wątpliwych Krewnych znajdziemy też utrzymane w aurze psychodelicznej – *Na ratunek* i *Spółdzielnię mieszkaniową Karpik*.

Jednym z tych tekstów jest *Kardiostymulator doktora Antracyta*, napisany dla grupy Wątpliwych Krewnych przez Adama Łuckiego, urodzonego w Zielonej Górze. Pomysł ten autor zrealizował już w autorskim filmie krótkometrażowym o nazwie *Ostatnia sekcja doktora Antracyta*. Łucki wyjechał stąd do Krakowa na studia (jest zatrudniony jako scenograf w Teatrze im. Juliusza

Słowackiego w Krakowie). Niedawno jednak wrócił.

To jest świat, do którego nigdy nie miałem powrócić. Zacząłem nowy etap i wszystko wyglądało tak, jakby tak miało być. Ale los chciał inaczej. Wróciłem na stare śmieci. Może nie stare, bo to już są inne śmieci.

Organizował w Zielonej Górze wystawy rodem z Fabryki Toksycznych Nastrojów⁵, na których prezentował swoje nowatorskie instalacje i grafiki. Jego tekst to historia (niby odległa, niby *science fiction*) opowiadająca o toksycznym mieście, w którym panuje niepodzielnie doktor Antracyt von Kotvitz. Antyutopijna opowieść utrzymana w orwellowskim duchu ukazuje nam toksyczne miasteczko (w dźwiękowisku mamy wskazówki, że może chodzić o winny gród). Miejsce to przypominało kiedyś skarnawalizowaną Wenecję... a dziś jest zautomatyzowanym narzędziem w rękach tyrana wynalazków. W tym toksycznym grodzie znajdujemy takie miejsca jak Zajazd pod Skarconym Mitomanem czy Ogród Pseudorozkoszy Pozaziemskich. W aksjologii radiowego świata Adama Łuckiego ludzie wyparci zostali przez maszyny. Przypominają zwierzęta tresowane w panopticum szaleńca. Tak mówi o tym Łucki w reportażu Małgorzaty Nabel (który stanowi introdukcję wyjaśniającą projekt Fabryki Toksycznych Nastrojów):

Określam siebie jako mistrz śmieci. Zawsze je znajduję, nie szukając tego. Po prostu przechodzę. Wszystkie przedmioty, które zbieram, mają sens. Układają się w dziwną, nielogiczną zagadkę w głowie. Wtedy zaczynam się zastanawiać, w jakim kontekście dany przedmiot umieścić. Śmieci są bardzo dobrym narzędziem

4 *Wątpliwi Krewni Orsona Wellesa*, dostęp w internecie: www.zachod.pl/2007/05/watpliw-krewni-orsona-wellesa/ [6.12.2010]

5 Projekt Adama Łuckiego, którego przedmiotem były szkice maszyn służących do „sterowania siłami autosugestii”, miał charakter performatywny. Maszyna jest przedmiotem emocjonalnym – to jedna z głównych tez postawionych przez autora w tym pokazie.

do robienia maszyn służących w celach emocjonalnych. Emocje też są obrzydliwe, brudne i śmierdzące. Także bardzo trudne, toksyczne. Wyścieńczają nas, rozcieńczają. Nienawidzę smrodu. Chciałbym zastosować zapachy w tych instalacjach, żeby działały na różne zmysły. Zarówno dźwięku, jak i zapachu, światła, ruchu. Myślałem też o smaku, ale tego chyba nie przeskoczę.

Jego radiowy projekt *Kardiostymulator* formalnie wpisał się w ideę Wątpliwych Krewnych. „Student znajduje na starym wyrobisku ruiny miasta. Wśród nich leży poturbowany projektor, który uruchamia i otwiera dla mieszkańców fragmenty historii toxic city sprzed ponad stu lat...” – tak rozpoczyna się ten dźwiękowy spektakl. *Kardiostymulator doktora Antracyta* ku przestrodze uobecnia twory takie jak: amnezjon podtrzymujący wspomnienia (podobny pomysł otrzymaliśmy wraz z słuchowiskiem według prozy Lidii Alejko pt. *Osiedle* nagrodzonym w 2009 roku w Sopocie nagrodą za reżyserię – tam wspomnienia mieszkańcy betonowego osiedla odzyskiwali poprzez udział w seansie niejakiego Jaracza Blantów), maszyna do zmiany smaku monotematycznego kochanka, odmulacz i wybielacz sumień czy liczydło sercokraty. Nie ma tu budowli – są „dziwne sformułowania architektoniczne”, a ulicami płynie maź zdegenerowanych mężczyzn i przekwitających kobiet. W tym „cudownie zaprogramowanym” (kalkulator jest tu podgatunkiem samca) świecie zostaje zamordowana niejaka Bylica, „przeintelektualizowana literacznica”, która niepostrzeżenie zwiększała poziom czerwonego płynu (stanowi on miernik uczuciowości ludzkiej – podobny pomysł jak w *Nowym wspaniałym świecie* Aldousa Huxleya). Śmierć ta jest oczywiście dziełem doktora Antracyta, który musiał ustawić poziom niebieskiego płynu na granicy zdrowego rozsądku. Mamy też trumniarza, lubiącego się

w śmierci, produkującego nikomu niepotrzebne trumny (sypia w nich).

Wbrew pozorom ta historia ma sens. Fabryka Toksycznych Nastrojów, która m.in. oferuje zmianę płci mózgu, mówi o współczesnym człowieku w sztuce. Nie można dzielić odbiorców sztuki na męskich i żeńskich. To świat na opak. Na opak łatwiej jest jednak zobaczyć nasz świat. Dopiero w zwierciadle widzimy przecież samych siebie. Widzimy siebie tam, gdzie nas nie ma. Łucki w swojej Fabryce Toksycznych Nastrojów zbudował obraz człowieka przeraźliwie osamotnionego, niezdolnego do obrony swojej tożsamości. Dziś bawić nas musi „ekran kontrolny” (termin zastosowany na określenie dominacji mediów w najnowszym tomiku przez Jacka Dehnela)⁶, a kolorowe ogrody w telewizyjnych aranżacjach i internetowe cmentarze zawieszają nas w powietrzu jak balon pustych ambicji. Wszyscy identyfikowani jesteśmy zgodnie z poziomem chemicznych płynów. Ustatycznieni w sondażowych liczbach i metrykach stajemy się rękami Wielkiego Brata. Jesteśmy nimi w tak niezauważalny sposób, iż nie wiemy, że robimy to wbrew poczuciu ludzkiej godności. Antracyt siedzi w każdym społeczeństwie, ustawia poziom dozwolonych uczuć, jak chce; gdy ma kaprys, włącza florę i faunę. Dla Łuckiego grzebanie w śmietnikach to dokopywanie się prostych znaczeń. W tej radiowej antyutopii mamy do czynienia z układem szkatułkowym (*toxic city* to historia miasta, a nie wizja mechanicznej przyszłości). Akcja dzieje się w połowie XIX wieku. Co jest dziś – tego nie wiemy. „Dziś” ogląda się w toksycznym lustrze „wczoraj”.

Na początku wspominałem o tym, że tego typu utwór trudno jest zaklasyfikować do gatunku słuchowiska. Leopold Blaustein (rygorystyczny estetyk radia) pewnie nie wzięłyby pod uwagę eksperymentu radiowego jako tworu zdolnego pobudzać świat imaginacji odbiorcy⁷. Jeżeli jest to

⁶ J. Dehnel, *Ekran kontrolny*, Wrocław 2009.

⁷ Leopold Blaustein, twórca pojęcia „akuzja”, które miało być kontrpropozycją wobec pojmowania słuchowiska jako zespołu wyobraźniowych wizualizacji, postulował zwrócenie się ku odbiorowi imaginatywnemu, refleksyjnemu i wysoce zaangażowanemu percepcyjnie. Zob. L. Blaustein, *Wybór pism estetycznych*, Kraków 2005, s. 145-196.

teatr, to mamy do czynienia z performatywnym spektaklem sytuującym problematykę antropologiczną w nurcie zaprzeczonych utopii. Takich, które stwarzali dla zbiorowych wyobraźni Jonathan Swift, Francis Bacon, Michel Foucault czy przywołany już Aldous Huxley. Choć w kwestii formalnej daleko temu dźwiękowisku do osiągnięć Studia Eksperymentalnego Polskiego Radia, trzeba docenić bogaty zestaw efektów akustycznych, zwłaszcza jeśli chcemy wziąć pod uwagę skromny zespół osób pracujących dla Wątpliwych Krewnych. W klamrze treściowej pośród krzywych zwierciadeł głównych postaci, schizofrenicznych dźwięków kołyski i frenezjno-akustycznych pogłosów tli się prosta piosenka o nostalgii człowieka:

Sztab policjantów przeczesał miasto nad ranem / ciało na troje poćwiartowane / ktoś miał cię przez moment / odcisków brak / psychodeliczny manewr / tak się nie godzi kochana odchodzić / co noc otwieram ramiona na oścież / w łóżku post a w głowie pościg / tak się nie godzi kochana odchodzić / co noc otwieram ramiona na oścież / w łóżku post a w głowie pościg / popatrz tam dom nasz w dziki obłąd uwikłany / z sosnową trumną diabła kołyską / okrutny los poplątał plany [...].

Głęboko wierzę, że teatr samotności (jakim jest słuchowisko) wróci na antenę. Wątpliwi Krewni stworzyli ku temu bardzo dobrą przestrzeń.



Bronisława Wajs – Papusza w perspektywie legendy literackiej. Zarys



Papusza, czyli Bronisława Wajs jest jedną z najbardziej znanych poetek związanych z ziemią gorzowską, lubuską. Wpływ na to miały samorodny talent poetki oraz cygańskie pochodzenie. Była pierwszą świadomą poetką cygańską w Polsce – tak określił ją Jerzy Ficowski, odkrywca jej osoby i talentu. W *Demonach cudzego strachu* napisał: „Miałem szczęście poznać Papuszę, uchodzę za jej »odkrywcę«. Papusza – miała nieszczęście poznać mnie”¹.

Wokół postaci Papuszy – Lalki krąży wiele mitów i legend, większość artykułów dotyczących jej osoby oscyluje tematycznie wokół wspomnień – Papuszę trzeba było znać. Większość literatury, jaką czytelnik może spotkać, posiada znamiona reporterskie, wspomnieniowe, bogate w próby parafrazy słów poetki.

Legendę literacką można definiować jako:

zespół mniemań krążących w społeczeństwie na temat danego kierunku literackiego, grupy, bądź najczęściej poszczególnego pisarza [...] w jej obrębie prawdziwe fakty łączą się zwykle ze zmyśleniem².

Ma ona wpływ na odbiór dzieła literackiego, sprawiając, że staje się ono przedmiotem pożądanym, godnym zauważenia i dociekań. Zjawisko to badać można, biorąc pod uwagę dwa aspekty: pierwszy to biografia twórcy, drugi to jego dzieło. W tym przypadku czynnikiem nadrzędnym jest życie poetki, czyli główna dyrektywa powstania legendy literackiej.

Śmierć Papuszy (8 lutego 1987 roku) czyni jej egzystencję „żywotem zamkniętym”. Czynnikiem, który sprzyja powstawaniu legendy, jest śmierć; dzieła samobójców czy ludzi zmarłych zbyt młodo na skutek choroby budzą zainteresowanie. Papusza doświadczyła śmierci literackiej, przestała pisać. Aspekt ten można rozpatrywać dwojako, gdyż oprócz złamania pióra, już po biologicznej śmierci Papuszy można zauważyć dodatkowy wzrost zainteresowania osobą poetki.

Złamanie pióra, które owocuje dotkliwą abstenencją twórczą, odcisnęło na niej swoje piętno. Po wydaniu przez Jerzego Ficowskiego książki *Cyganie polscy* została oskarżona o zdradę tajemnic. Rozpoczął się wewnętrzny dramat poetki, która –

1 J. Ficowski, *Demony cudzego strachu. Wspominki cygańskie*, Warszawa 1986, s. 209.

2 Hasło „legenda literacka”, [w:] *Słownik terminów literackich*, red. J. Sławiński, Wrocław 2005, s. 272.

trawiona przez lęk i obsesje – sama powiedziała: „Gdybym nie nauczyła się czytać i pisać, ja, głupia byłabym [...] szczęśliwa”³. Pisanie kojarzone było ze strachem – świadczyć może o tym fakt, iż spaliła swoje wiersze. Jak wspomina jej mąż Dionizy: „Kiedy Papusza chorowała [...] porwała więcej niż 15 wierszy. Przygotowała już do wydawnictwa, ale nie ma, porwała, spaliła. Starych serc nic nie zmieni”⁴. Chociaż z relacji Tadeusza Kajana wynika, że zniszczonych wierszy było więcej, mąż Papuszy na pytanie, czy żona coś pisze, odpowiada: „Nic nie pisze. Ona jest chora. Panie, ona spaliła majątek: 300 wierszy i listy nieboszczyka Tuwima. Ani się spozostregłem jak wrzuciła je do pieca”⁵. Kajan twierdzi, że nie tylko wykluczenie zaważyło na niemocy pisarskiej poetki, zwraca również uwagę na fakt, iż: „To nędra i pozostawienie samej sobie oraz choroba wytrąciły jej pióro z ręki”⁶. Z kolei Halina Ańska winą obarcza reumatyzm:

Po kilkuletniej chorobie reumatycznej Papusza straciła sprawność rąk. Nie przywykłe do pióra palce nie umieją już nadawać myślom kształtu na papierze. Ale swoje »romane gila«, »papuszkarę gila« układa Papusza nieprzerwanie, tyle tylko, że ich nie spisuje. Co wieczór mruczy swoje pieśni w kraciestą pierzynę, lecz powtórzyć ich nazajutrz nie umie⁷.

Z relacji Ańskiej wynika, że lekarze także mimo wszystko mieli wpływ na tę twórczość. Papusza powtarzała, że jej pieśni to „śpiewające myśli. Od nich boli głowa. Lekarz powiedział: nie trzeba myśleć, z takiego myślenia choroba może wyniknąć”⁸. Janusz Kruk wspomina w „Ziemi

Gorzowskiej” spotkanie z Papuszą. Według jego relacji, poetka o swojej zniszczonej twórczości powiedziała:

[...] często bolała mnie głowa. Zachorowałam i byłam w różnych szpitalach. Gdy jeszcze byłam chora – nie wiedząc co robię – spaliłam wszystkie moje jeszcze niepublikowane wiersze. Mąż gdy to zobaczył – płakał, pan Ficowski powiedział: co ona zrobiła najlepszego...⁹

Ostatni przejaw twórczości poetyckiej zauważa Ficowski prawdopodobnie na początku lat 70., w swojej książce pisze:

Jeszcze raz po wielu latach, bo dwudziestu latach, uległa Papusza mojej namowie, w której skuteczność ani przez chwilę nie wierzyłem i napisała parę pięknych wierszy, bardziej gorzowskich niż dawne i chyba jeszcze piękniejszych. Był to krótki, ostatni rozbłysk, po którym zapanowało trwałe milczenie¹⁰.

Śmierć sprzyja podsumowaniom. Historia literatury pokazuje, jak wielu twórców docenianych jest dopiero po śmierci, zwłaszcza w najbliższym otoczeniu, tu – wśród Romów. W setną rocznicę urodzin poetki ogłoszono Międzynarodowy Konkurs Poezji Romskiej im. Papuszy *O Złote Pióro Papuszy*, adresowany do osób pochodzących ze środowiska romskiego, ale i nie tylko. Sam fakt setnych urodzin jest również problematyczny, gdyż znane są aż trzy daty urodzenia Papuszy; w dokumentach pojawia się data 17 sierpnia 1908 i 30 maja 1910 oraz rok 1909.

Okrągłe rocznice śmierci poetki również są upamiętniane – dwudziesta rocznica zaowocowała

3 Papusza, *Lesie ojciec mój*, Warszawa 1990, s. 10.

4 P. Krzyżanowski i in., *Cyganie: mity i fakty*, Gorzów Wlkp. 2002, s. 139.

5 T. Kajan, *Fakty i ludzie*, Zielona Góra 1960, s. 217.

6 Tamże, s. 218.

7 H. Ańska, *Papusza*, „Nadodrze” 1971, s. 8.

8 Tamże.

9 J. Kruk, *W lasach, u krzyżowych dróg...*, [w:] *Papusza, czyli wielka tajemnica. Wybór tekstów*, Gorzów Wlkp. 1992, s. 38.

10 J. Ficowski, *Demony...*, dz. cyt., s. 261.

wydanym przez Don Wasyla Szmidę tomikiem *Pasażerowie niebieskiego taboru*, który częściowo jest poświęcony Papuszy. Don Wasyl we wstępie przyznaje, że Papusza „już dość się nacierpiła, teraz czas na chwytę, która właśnie Jej się należy”¹¹. Chwała ta objawia się w upamiętnianiu, poetka widnieje na znaczku i kartce pocztowej, gorzowską bibliotekę zdobi rzeźba oraz pomnik Papuszy. Środowisko gorzowskie upamiętniło również poetkę ulicą jej imienia oraz tablicą pamiątkową na ulicy Kosynierów Gdyńskich 20, w domu, w którym mieszkała.

Zainteresowanie Papuszą trwa do dzisiaj, świadczą o tym fakt, iż powstaje już trzeci film o jej życiu: pierwszy autorstwa amerykańskiego reżysera pochodzenia polskiego – Gregoego Kowalskiego, pt. *Historia Cyganki*; drugi Grzegorza Dubowskiego *Cygańskie pieśni Papuszy*; aktualnie powstaje film Joanny Kos-Krauze z Krzysztofem Krauzą *Papusza*, premiera planowana jest na jesień 2011 roku.

Kreowaniu i podtrzymaniu legendy literackiej sprzyjają bezpośrednie odniesienia pisarskie twórców natchnionych sylwetką czy dziełem osoby legendotwórczej, w realizacji określane jest to jako „warunek aneksji”¹². Poezja autorów o korzeniach cygańskich, np. Izoldy Kwiek czy Karola Parno Gierlińskiego, inspirowana jest również osobą Papuszy. W ich twórczości odnaleźć można liczne utwory poświęcone poetce. Również pisarze lubuscy dedykowali Papuszy swoje wiersze, m.in. Janusz Koniusz *Obiad u Papuszy* (pod tym samym tytułem ukazał się też jego szkic), Zdzisław Morawski *Tabor Papuszy*, Czesław Sobkowiak

Wiersz dla Papuszy, Henryk Szyłkin *Do Papuszy* czy Kazimierz Furman *Spotkanie z Papuszą; reportaż*.

Znamiona kracjonistyczne posiadają postaci Jerzego Ficowskiego. Ficowski tłumaczył jej utwory, sam będąc poetą, a edukacja Papuszy pozostawiała wiele do życzenia, dlatego pojawiały się zarzuty kwestionujące jej autorstwo. Zdzisław Morawski, będąc obecnym przy kwitowaniu odbioru legitymacji ZLP przez poetkę, twierdzi:

Mogę z całą pewnością powiedzieć, że Papusza swojego imienia nie napisała, lecz je nagryzmo-liła przez całą szerokość kartki formatu A4. Natomiast tekst w ZUS-ie to nie był brulion człowieka, który mógłby być zdolny do napisania utworu literackiego¹³.

Morawski sugerował, jakoby poetka sama swoich wierszy nie napisała, taka postawa podsycała zainteresowanie jej osobą, pisał dalej: „[była] poetką o dużej lirycznej wyobraźni [...] z całą pewnością, a w autorstwie wierszy chyba pomógł jej Jerzy Ficowski, sam poeta liryczny”¹⁴.

Papusza posiada bogatą biografię, w jej życiu zdarzyły się nawet: pobyt w więzieniu (oskarżenie o rzekomo kradzione kury), podejrzenia o chorobę psychiczną i inne epizody, które stanowią o niestabnym zainteresowaniu jej osobą. Liczne niedomówienia, podejrzenia, przypadki losu – wszystko to przyczynia się do powstawania i utrwalania legendy literackiej.

Niniejszy tekst nie wyczerpuje zagadnienia Papuszy jako legendy literackiej, jedynie podejmuje próbę zarysu tego zjawiska.

11 Don Wasyl Szmid, *Pasażerowie niebieskiego taboru*, Włocławek 2007, s. 11.

12 R. Zimand, *Szkice o Boyu*, Warszawa 1961, s. 99.

13 Z. Morawski, *Wszystko co wiem o Papuszy*, [w:] *Papusza, czyli...*, dz. cyt., s. 52.

14 Tamże, s. 53.

PREZENTACJE



Zdjęcia, które tworzą tło ilustracyjne niniejszego numeru, zostały wykonane przez młodych uczestników pracowni fotograficznej działającej w Młodzieżowym Centrum Kultury i Edukacji Dom Harcerza w Zielonej Górze. Dyrektorem tej placówki, a zarazem osobą wprowadzającą adeptów fotografowania w czarodziejski świat obiektywu jest Kinga Krutulska. W poniższym tekście opowiada ona o pracy młodych fotografików, warunkach, jakie zapewnia im Dom Harcerza, a także o prezentowaniu ich twórczości.

Kinga Krutulska

O pracowni fotograficznej w MCKiE Dom Harcerza

Pracujemy dwiema technikami fotograficznymi. Po pierwsze – metodą tradycyjną, jak to się teraz mówi, fotografią analogową monochromatyczną. W ciemni opracowujemy nasze odbitki najczęściej w szlachetnej technice czarno-bieli, ale nie stroniemy też od sepii. Po drugie – posługujemy się także techniką cyfrową. Młodzież i dzieci uczymy obsługi najpopularniejszego aparatu, czyli lustrzanki

jednoobiektywowej, poprawnego naświetlenia i wywołania negatywów oraz odbitek pozytywowych, sposobów oświetlania. To wszystko można określić najprościej – uczymy robienia dobrych zdjęć. Pracownia dysponuje odpowiednio wyposażoną ciemnią. W ubiegłym roku udało się doposażyć pracownię, stworzyć możliwość pracy studyjnej.



Marcel Iskrzycki, z cyklu *Zaułki Zielonej Góry*, 2009



Adrianna Andruszewska, z cyklu *Zaułki Zielonej Góry*, 2003



Anna Najber, z cyklu *Zaułki Zielonej Góry*, 2004



Dominika Olejnik, z cyklu *Zaułki Zielonej Góry*, 2006



Wojciech Królak, z cyklu *Zaułki Zielonej Góry*, 2006



Tomasz Filipek, z cyklu *Zaułki Zielonej Góry*, 2002



Natalia Łobacz, z cyklu *Zaułki Zielonej Góry*, 2006



Olga Kałagate, z cyklu *Zaułki Zielonej Góry*, 2006



Ewa Aleksandrowicz, z cyklu *Zaułki Zielonej Góry*, 2007



Karolina Lorenc, z cyklu *Zaułki Zielonej Góry*, 2010

Jednym z ważnych, zrealizowanych przez naszą placówkę projektów było przedsięwzięcie pod nazwą *Zaułki Zielonej Góry*. W latach 2000-2009 Pracownia organizowała plener fotograficzny pod tym tytułem, a podsumowaniem dziesięciu lat pracy było wydanie albumu (obszerna recenzja tego wydawnictwa została opublikowana w numerze 4/29/2009 „Pro Libris” – przyp. red.).

Uczestnicy zajęć biorą udział w warsztatach i działaniach fotograficznych także za granicą. Od 2002 roku bardzo dobre efekty przynosi współpraca z Jugend Und Kinder der Stadt / Cottbus (JUKS). W ramach współpracy grup fotograficznych naszych placówek w 2004 roku powstał Fotoclub Zielona Góra-Cottbus. Rokrocznie, od 2003 do 2005 roku, braliśmy udział w dokumentacji fotograficznej Kinderfestiwalu. Natomiast w 2006 roku uczestniczyliśmy w dwutygodniowym projekcie fotograficznym w Cottbus, Dreźnie i Berlinie. Z okazji 750-lecia Cottbus (2007 r.) Urząd Miasta zaprosił nas do wzięcia udziału w uroczystej paradzie.

W latach 2008-2010 burmistrz Cottbus zapraszał grupę fotograficzną z Zielonej Góry na konkurs orkiestr tanecznych ze wszystkich niemieckich landów. Młodzi fotograficy z Domu Harcerza dokumentowali fotograficznie imprezę, a efekty ich pracy można było oglądać w 2009 roku w postaci billboardów na stadionie, zaś w 2010 roku – jako prezentację multimedialną.

Wystawa *Zielona Góra naszymi oczami* prezentowana była w wielu miejscach Europy. Młodzież, uczestnicząc w wyjazdach, warsztatach, plenerach, wymianach (nie tylko fotograficznych), „zabierała” nasze miasto ze sobą.

Dom Harcerza to placówka wychowania pozaszkolnego, która poza stałymi propozycjami organizuje wiele imprez dla dzieci, młodzieży, a także dorosłych. Odbywają się one w ramach współpracy z innymi instytucjami, a także z Urzędem Miasta Zielona Góra. Taka działalność daje ogromne możliwości zdobywania różnorodnych doświadczeń fotograficznych, jest okazją do utrwalenia ważnych wydarzeń, poczynając od imprez tanecznych czy teatralnych, a kończąc na czystej dokumentacji i reportażu.

Jednym z naszych ostatnich przedsięwzięć i – jak oceniam – poważnym sukcesem było przygotowanie i wydanie kalendarza fotograficznego na rok 2011 zatytułowanego *Pocztówka z Zielonej Góry*. Pomysł wydawniczy polega na tym, że fotografia będąca ilustracją każdego miesiąca jest zarazem pocztówką, którą można wyrwać i wysłać. Pomocy finansowej w realizacji tego projektu udzielił nam Urząd Miasta w Zielonej Górze. Inspiracją do jego powstania były przedwojenne karty pocztowe z wizerunkiem naszego miasta. Analizowaliśmy je długo i trwale, by odkryć, na czym polega ich czar, co znaczy „sznyt” starej fotografii. Tematem wiodącym wydawnictwa stały się najciekawsze, najładniejsze i najbardziej reprezentacyjne miejsca Zielonej Góry. Zdjęcia wykonane w systemie cyfrowym zamieściliśmy w formie pocztówek w kalendarzu na 2011 rok. Kalendarz został w całości przygotowany i opracowany przez młodych uczestników pracowni fotograficznej. To jeden z bardziej udanych projektów naszej instytucji, satysfakcjonujący jego młodych twórców, a także promujący Zieloną Górę.

Wojciech Królak: Od kilku dobrych lat zajmuję się tym, co lubię, czyli fotografią. Zaczynałem od robienia zdjęć prostymi aparatami analogowymi. Wówczas cały proces wywoływania filmów i tworzenia odbitek zostawiałem w rękach profesjonalistów. Wkrótce po tym trafiłem do ciemni fotograficznej prowadzonej przez panią Kingę Krutulską. Pod jej okiem nauczyłem się technik wywoływania filmów i dzięki niej zaraziłem się tradycyjną fotografią czarno-białą. Aktualnie ze względu na charakter pracy używam głównie lustrzanki cyfrowej, choć gdy tylko mam czas, korzystam z mojego ulubionego aparatu średnioformatowego. Od ponad trzech lat współpracuję z „Gazetą Wyborczą”, gdzie na bieżąco publikowane są moje zdjęcia.

Adriana Sroczyńska-Andruszewska: Urodziłam się w 1985 r., w Zielonej Górze. W 2004 r. ukończyłam V Liceum Ogólnokształcące. Od

2000 r. jestem członkiem Koła Fotograficznego w Młodzieżowym Centrum Kultury i Edukacji Dom Harcerza. W 2004 i 2005 r. otrzymałam I nagrodę za cykl zdjęć w konkursie fotograficznym *Mój dom, moja ojczyzna, moja Europa* w Zamościu. W 2005 r. moje prace zostały wyróżnione na pokonkursowej wystawie *Dziecko i jego świat* w Bydgoszczy. Od 2003 r. czynnie działałam i brałam udział w corocznej wystawie *Zaułki Zielonej Góry* organizowanej przez MCKiE oraz Urząd Miasta Zielona Góra. W 2006 r. z wyróżnieniem obroniłam dyplom w Pracowni Fotografii w Studium Reklamy. W 2005 r. pracowałam jako grafik studenckiej gazety „Drobne Uwagi Politycznych Amatorów”, a w 2006 r. – studenckiej gazety „Riposta”. W 2010 roku brałam udział jako grafik i fotograf w projekcie kalendarza na 2011 rok *Pocztówka z Zielonej Góry* wydanym przez MCKiE oraz Urząd Miasta Zielona Góra. Uprawiam fotografię: koncepcyjną, portretową, architektury

i krajobrazu, ślubną. Zajmuję się grafiką cyfrową i projektową. Biorę udział w licznych plenerach malarskich i fotograficznych na terenie kraju. Obecnie studiuje w Instytucie Sztuk Wizualnych na Uniwersytecie Zielonogórskim

Marcel Iskrzycki: Urodziłem się w 1994 r. w Wałbrzychu. Obecnie jestem uczniem pierwszej klasy Liceum Ogólnokształcącego o profilu policyjnym w Czerwieńsku. Od dziewięciu lat uczestniczę w zajęciach fotograficznych w MCKiE Dom Harcerza. Próbowałem już swoich sił podczas fotograficznych konkursów miejskich, wojewódzkich i krajowych – z różnym skutkiem. Uczestniczyłem w kilkunastu zbiorowych wystawach pracowni fotograficznej, także za granicą (Niemcy, Czechy, Francja). Systematycznie dokumentuję działania Domu Harcerza, a także przygotowuję materiał zdjęciowy z imprez miejskich na rzecz dzieci i młodzieży.



Zabłądziłam się w sobie

głupieję pisząc
zaglądam przez okna cudzych domów
pukam do nieznanych drzwi
garściami zbieram ciepły śnieg

wpatruję się w falujące morze myśli

zabłądziłam się w sobie
utknęłam między sercem a żołądkiem
młotem a kowadłem
jak co dzień

Błękit królewski

powiedział
że zwariowałam
wariatki biegają
tańczą
podśpiewują
i rechoczą

przecież ja tylko
wyjęłam kręgosłup
i postawiłam go obok skóry
żeby sprawdzić czy moje wnętrze
pasuje do koloru jego oczu

Galeria Pracowni Wolnego Wyboru

Galeria PWW powstała w roku 2000 i mieści się w kolebkowo sklepionej piwnicy budynku przy ulicy Wrocławskiej 7 w Zielonej Górze (dawne piwnice na wino, przy zielonogórskim Wzgórzu Winnym). Wnętrze, pomimo surowego charakteru, a może właśnie dzięki niemu, stanowi ciekawą przestrzeń do różnorodnych prezentacji – zarówno klasycznych dzieł sztuki, jak i wszelkich przejawów sztuki nowej i najnowszej.

Pierwszym opiekunem artystycznym Galerii PWW był Ryszard Woźniak (2000), a zespół realizujący tworzyli: Agnieszka Błędowska, Piotr Czech, Helena Kardasz, Paulina Komorowska-Birger, Norbert Marcjanik, Barbara Panek, Grażyna Wikierska. Zespół zrealizował dwie wystawy: *Kontynuacja i sprzeciw* (2000) oraz *Trzeci wymiar* (2000).

Po kilkumiesięcznej przerwie spowodowanej złym stanem technicznym piwnicznych pomieszczeń i zmianami organizacyjnymi, w latach 2000-2003 galerię prowadziła Helena Kardasz. Programowo działalność Pracowni Wolnego Wyboru dotyczyła promocji autorów młodych, niezależnych, o kształtujących się postawach artystycznych oraz prezentacji artystów uznanych w sztuce współczesnej. Preferencje wystawiennicze stanowiły żywą reakcję na aktualną potrzebę weryfikacji i dialogu w obszarze sztuki najnowszej, w obszarze nowych

mediów, obiektu, instalacji, performance. Ważnym zrealizowanym przedsięwzięciem był Festiwal Sztuki w przestrzeni publicznej miasta Zielona Góra – „Precedens” (edycje 02 i 04, kuratorzy: Marek Glinkowski, Helena Kardasz, Wojciech Kozłowski), we współpracy z zielonogórską Galerią BWA. W ramach Festiwalu zaprezentowano akcje artystyczne i różnorodne działania o charakterze interdyscyplinarnym, a uczestnikami byli autorzy z różnych środowisk artystycznych w kraju.

W roku 2003 z inicjatywy studentów kierunku edukacji artystycznej w zakresie sztuk plastycznych Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Zielonogórskiego powstało Koło Naukowe Pracownia Wolnego Wyboru (w latach 2003-2009 opiekunowie: Helena Kardasz, Wojciech Kozłowski): „Galeria jest/ma być miejscem spotkań i wymiany. [...] Naszym pragnieniem jest stworzenie nie tylko centrum skupiającego artystów i ich kilku wiernych satelitów, ale miejsca żywego, otwartego na współczesne konteksty działań artystycznych. W naszym mieście rodzą się nowe, ciekawe zjawiska z różnych obszarów kultury, są też ludzie, którzy chcą w nich aktywnie uczestniczyć. Zaangażowanie studentów Wydziału Artystycznego UZ daje nam możliwość stworzenia stałego miejsca sztuki w Zielonej Górze”^{*}. Działalność KN PWW

* Cyt. z tekstu Anny Sikorskiej inauguracyjnego działalności KN PWW (2003). Dostęp w internecie: <http://www.kskp.uz.zgora.pl/galeria/index.html>.

zaowocowała otwarciem na ogólnopolską scenę artystyczną, m.in. udział w spotkaniu – Forum Ruchu Żywa Galeria, Zachęta, Warszawa, 11-13.12.2004 (było największe z dotychczasowych: 40 miejsc i organizacje zaprezentowało swoje najnowsze działania, a przybyło około 100 uczestników z wielu środowisk z całej Polski; po raz pierwszy w organizację spotkania włączyło się Ministerstwo Kultury, organizatorzy: Małgorzata Winter i Łukasz Guzek); współpraca z Kołem Naukowym Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu – projekt „pARTycypacja” – część pierwsza projektu odbyła się w Poznaniu 12-18.02.2008 w auli ASP i pofabrycznych przestrzeniach Galerii Modena,

odsłona zielonogórska miała miejsce 6-7.03.2008 w Galerii PWW oraz Galerii Stara Winiarnia. Do roku 2009 członkowie KN PWW zorganizowali kilkadziesiąt wystaw indywidualnych i zbiorowych, a aktywność miejsca stanowiła potwierdzenie we współpracy studentów różnych kierunków Wydziału Artystycznego UZ.

Archiwum strony internetowej PWW prezentuje dokumentację działań: <http://www.kskp.uz.zgora.pl/galeria/index.html>

Obecnie Koło Naukowe PWW kontynuuje działalność galerii – od roku 2009 pod opieką Jarosława Dzieścielewskiego i Wojciecha Kozłowskiego.



Od lewej: Beata Kot, Michał Talarczyk, Elżbieta Wrona, Mariusz Adam; wystawa końcoworoczna prac studentów Wydziału Artystycznego UZ, Pracownia Fotografii, 2009



Od lewej: Monika Kamińska „Maska”, Magdalena Kościńska „Ikona”; wystawa końcoworoczna prac studentów Wydziału Artystycznego UZ, Pracownia Fotografii, 2009

Galeria Twórców Galera – 14 rok rejsu

Czy można od czternastu lat prowadzić poszukującą galerię sztuki, nie dysponując budżetem, pracownikami, lokalem? Ależ oczywiście. Galeria Twórców Galera to ewenement i jedno z ciekawszych zjawisk zielonogórskiej sceny artystycznej; zdecydowanie niekomercyjne przedsięwzięcie polegające na prezentacji artystów (głównie) młodego pokolenia. Galera nie posiada własnych pomieszczeń, budżetu, pracowników. Mimo to działamy nieprzerwanie od 1997 roku. Do dziś zorganizowaliśmy 180 wystaw i staliśmy się, ku naszemu zaskoczeniu, jedną ze starszych, działających, zielonogórskich galerii. I wciąż jest to niezależna inicjatywa, co w naszych czasach jest założeniem raczej egzotycznym. Z biegiem czasu zaczęliśmy sam fakt animowania Galerii uważać za proces artystyczny, happening rozciągnięty na lata.

Galera nigdy nie stała się oficjalną instytucją czy zarejestrowanym stowarzyszeniem, utrzymując przez lata status niezależnej inicjatywy. Nie staramy się też zaprzedać wyłącznie jednej doktrynie artystycznej czy jednemu sposobowi rozumienia sztuki. Nasze wystawy to raczej nieustanne poszukiwanie, rejs po morzu pozbawionym brzegów. Pokazywaliśmy przeróżne dzieła i postawy artystyczne – malarstwo i komiks, rysunek satyryczny i performance, okręt mijał zarówno

nowoczesne metropolie, jak i wyspy pełne kani-bali... Sądzę, że ta otwartość i obrzydzenie do zamykania się w ramach jednej opcji artystycznej również wyróżnia Galerę na tle innych, koncentrujących się na sztuce najnowszej galerii.

I tak płyniemy do dziś; zmienia się załoga i zmienia się sztuka; niektórzy artyści pokazujący pod naszym sztandarem swe wczesne realizacje osiągnęli sukces i uznanie (m.in. Basia Bańda, Olaf Ciszak), innych pożarła Otchłań. Zdarza się nam również prezentować twórców już uznanych, rozpoznawalnych (Wojciech Siudmak, Zbigniew Jujka). Rejs trwa...

Ale zacznijmy od początku. Od Instytutu.

W 1997 r. byliśmy studentami IV roku Instytutu Sztuki i Kultury Plastycznej przy (wówczas jeszcze) WSP w Zielonej Górze. Miasto nie było wtedy szczególnie otwarte na sztukę młodych; Instytut miał zaledwie kilka lat i mimo że wykładali tam czołowi polscy artyści (m.in. Izabela Gustowska, Antoni Zydrzeń, Jan Berdyszak, Zenon Polus), nie był jeszcze rozpoznawalny; dopiero pojawiali się pierwsi absolwenci. Zielonogórskie życie kulturalne toczyło się leniwym rytmem, sympozja Złotego Grona były już tylko coraz bardziej legendarną przeszłością, dogasało Biennale Sztuki Nowej. Profesjonalne galerie skupiały się raczej na bezpiecznej

sztuce komercyjnej. Natomiast w korytarzach Instytutu zaczynał rozpalać się płomień.

Oczywiście władze i kadra Instytutu podejmowały szereg działań i inicjatyw artystycznych, w uczelnianej galerii (GI) pokazywano już czasem twórczość studentów, ale raczej odzwierciedlało to gusta i rozumienie sztuki naszych profesorów, ich walki. Nie zawsze były to wybory samych studentów.

Chcieliśmy czegoś innego, niezależności, własnej sceny, sztandaru, własnego okrętu. Była w nas przemożna potrzeba działania, wyjścia poza mury Instytutu, prezentacji własnej twórczości poza bezpiecznym kłosem uczelni, konfrontacji z zewnętrznym odbiorcą.

Tak narodziła się Galeria Studencka Galera. Założyli ją studenci rocznika 94/99 Instytutu Sztuki i Kultury Plastycznej: Igor Myszkiewicz, Sylwester Mocer, Izabela Jędrulak, Beata Łuksza, Agata Zbylut, Ola Gnap, Joanna Kalemba, Katarzyna Walczak... Proklamacja odbyła się 4 grudnia 1997 r. razem z pierwszą zrealizowaną wystawą, była to prezentacja rysunków Izabeli Jędrulak GRANICE. Pierwsze wystawy odbywały się w korytarzach Instytutu lub w klubie studenckim Dziupla. Początkowo na pokładzie Galery prezentowaliśmy wyłącznie twórczość studentów, potem formuła poszerzyła się. Do roku 1999 zrealizowaliśmy 22 wystawy. Działalność związana z animowaniem galerii wciągnęła nas tak bardzo, że nie mieliśmy zamiaru kończyć jej wraz z nauką

w Instytucie. W 1999 r. skończyliśmy studia. Opuuszczając uczelnię, zabraliśmy okręt ze sobą.

Galera z Galerii Studenckiej Galera stała się Galerią Twórców Galera, formuła działań poszerzyła się, choć twórczość studencka i młoda sztuka nadal stanowią główny nurt działalności. Zmieniały się też miejsca prezentacji, czas spędzony w każdym z nich cechował się innym klimatem galeryjnych działań. Wystawy realizowane w Instytucie i Dziupli były zestrojone z rytmem studenckiego życia. W latach 1999-2007 wystawy Galery odbywały się w budynku Klubu Kolejarza – te mniejsze w mieszczącej się w podziemiach Cafe Borgia (dzięki uprzejmości właścicieli lokalu, Eli i Roberta Górowskich), większe zaś prezentacje realizowaliśmy na poddaszu. Poddasze Kolejarza miało niepowtarzalny klimat – półmrok, drewniane konstrukcje dachu, nienachalne ogrzewanie sprawiające, że zimowe działania odbywały się w minusowych temperaturach... Niejako równolegle, w latach 2002-2008, organizowaliśmy także wystawy i konkursy (m.in. ogłoszony konkurs na niekonwencjonalny plakat pierwszomajowy) w Klubie Muzyczno-Artystycznym 4 Róże dla Lucienne, co wciągnęło nas w wir działań prowadzonego przez Bruno Aleksandra Kiecia Kombinat Kultury. Następnie, od 2007 do 2009 r., miejscem prezentacji Galery stała się siedziba Radia Zachód – przestrzeń czyste i sterylne, poza wernisażami raczej niedostępne dla potencjalnego widza. Od roku 2010 głównym portem Galery jest



Otwarcie wystawy Basi Bańdy, poddasze Kolejarza



Performance Grupy Sędzia Główny 100, poddasze Kolejarza

klub Piekarnia Cichej Kobiety (dzięki Kamili Chrystowicz-Nowak i Jerzemu Nowakowi), surowe, postindustrialne przestrzenie mieszczące się w Zaułku Artystów przy ul. Fabrycznej.

Galeria Twórców Galera to nie tyle bowiem miejsce, co sztandar grupujący artystów, który możemy zatknąć wszędzie. Wciąż staramy się utrzymać status niezależnej, inicjatywy; współpracujemy także z szeregiem organizacji i stowarzyszeń, warto tu wymienić choćby Kombinat Kultury, Okręg Zielonogórski Związku Polskich Artystów Plastyków, Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut” czy Zielonogórski Klub Fantastyki „Ad Astra”. Poza głównym nurtem działalności często jesteśmy organizatorami lub współorganizatorami wystaw towarzyszącym konwentom miłośników fantastyki (Bachanalia Fantastyczne), prezentacji w Galerii Pro Arte oraz Muzeum Ziemi Lubuskiej. W zielonogórskim Muzeum od 2008 r. Galera prezentuje (prowadzona przez niżej podpisanego) autorski program koncentrujący się na „innych aspektach sztuki współczesnej” – ilustracji, komiksie, grafice cyfrowej, rysunku satyrycznym.

Przed wszystkim zmieniali się jednak sterujący okrętem ludzie – kapitanowie i wioślarze. Po zakończeniu studiów stopniowo wykruszył się niemal cały pierwotny skład załogi. Ale zamustrowali się inni Sternicy: Igor Myszkiewicz (współzałożyciel, prezes 1997-2003), Sylwester Mocur (współzałożyciel), Izabela Jędrulak (współzałożyciel),

Krzysztof Woźniak (wiceprezes 1999-2000), Błażej Dymek (wiceprezes 1999-2000), Marcin Zarzycki (wiceprezes 2000-2002), Anna Nabel (wiceprezes 2001-2003), Marek Szpak (wiceprezes 2003), Tomasz Sztajer (prezes 2003), Mateusz Jarża (prezes 2003-2005), Marcin Raba (prezes 2005). Od 2005 r. do czasów obecnych: Anna Nabel-Myszkiewicz (Kierownik Referatu do Spraw Promocji Twórczości) i Igor Myszkiewicz (zrezygnowawszy z funkcji prezesa, przyjąłem bezpretensjonalny tytuł Wielkiego Mistrza).

Rejs trwa. 14 lat, 180 zrealizowanych wystaw. Podczas tego okresu przez pokład Galery przewinęło się mnóstwo artystów, zarówno młodych, dopiero wkraczających na arenę, jak i tych ozdobionych już laurem uznania. Warto tu wspomnieć jedną z pierwszych wystaw malarstwa Basii Bańdy, performance grupy Sędzia Główny, fotografie Mateusza Jarży czy Adama Andrearczyka... Mieliśmy też przyjemność pokazywać prace gigantów rysunku satyrycznego – Zbigniewa Jujki, Grzegorza Szumowskiego, Břetislava Kovaříka.

Największym zaś honorem była dla mnie osobście możliwość zaprezentowania pod sztandarem Galery twórczości artystów, których prace oglądane w utraconych otchłaniach dzieciństwa sprawiły, że zdecydowałem się po latach kroczyć krętymi manowcami sztuki – Wojciecha Siudmaka i Tadeusza Raczkiwicza.

Galera wciąż płynie. I rejs wciąż jest fascynujący.



Komiksy Tadeusza Raczkiwicza, Piekarnia Cichej Kobiety

KRAJOBRAZY LUBUSKIE



Magdalena Poradzisz-Cincio

Słońsk – dawna siedziba joannitów

Obecnie Słońsk (il. 1) kojarzy się głównie z powołanym kilka lat temu Parkiem Narodowym „Ujście Warty”, na terenie którego występują liczne gatunki fauny i flory. Niewiele osób jednak pamięta, że ta niewielka miejscowość położona na wschód od Kostrzyna, odegrała w dziejach Nowej Marchii istotną rolę. Od XV stulecia aż do

Magdalena Poradzisz-Cincio

Słońsk – ehemaliger Sitz der Johanniter

Słońsk (deutsch *Sonnenburg*) (Abb. 1) wird heutzutage vor allem mit dem vor einigen Jahren gegründeten Nationalpark „Ujście Warty” assoziiert, in dem zahlreiche Tier- und Pflanzengattungen vorkommen.

Nur wenige Menschen erinnern sich noch an die Tatsache, dass diese kleine Ortschaft östlich



1. Słońsk przed II wojną światową. Widokówka ze zbiorów prywatnych

1. Słońsk vor dem Zweiten Weltkrieg. Postkarte, Privatsammlung

1945 roku dzieje Słońska w sposób nierozzerwalny związane były z joannitami. W Słońsku mieściła się główna siedziba brandenberskiej prowincji (tzw. baliwatu) zakonu joannitów.

Do dziś w Słońsku zachowały się materialne ślady joannickiej obecności, świadczące o dawnej randze tej miejscowości. Nie sposób nie wspomnieć o jednej z ważniejszych świątyni Nowej Marchii – słońskim kościele parafialnym, którego wnętrze po dziś dzień kryje świetne przykłady nowożytnego rzeźby sakralnej (il. 2, 3). Na osobną uwagę zasługuje również joannicki zamek (il. 4),



2. Słońsk przed II wojną światową, fragment zabudowy, po prawej wieża kościoła parafialnego. Widokówka ze zbiorów prywatnych

2. Słońsk vor dem Zweiten Weltkrieg, ein Fragment der Bebauung, auf der rechten Seite der Turm der Pfarrkirche. Postkarte, Privatsammlung



3. Kościół parafialny w Słońsku, stan przed II wojną światową. Widokówka ze zbiorów prywatnych

3. Die Pfarrkirche in Słońsk, Zustand aus der Zeit vor dem Zweiten Weltkrieg. Postkarte, Privatsammlung

von Kostrzyn (*Küstrin*) eine wichtige Rolle in der Geschichte der Neumark spielte. Seit dem 15. Jahrhundert bis 1945 war die Geschichte von Słońsk unzertrennlich mit den Johannitern verflochten. In Słońsk befand sich der Hauptsitz des Johanniterordens für die Provinz Brandenburg (sog. Ballei).

Bis heute sind hier einige materiellen Spuren ihrer Anwesenheit erhalten geblieben, die von dem ehemaligen Rang dieser Ortschaft zeugen. Hierfür sollte auf jeden Fall eine der wichtigsten Kirchen der Neumark erwähnt werden – die Pfarrkirche in Słońsk, deren Innenraum bis heute herrliche Beispiele für neuzeitige sakrale Skulpturen versteckt (Abb. 2, 3). Auch das Schloss der Johanniter ist beachtenswert (Abb. 4). Es wurde 1975 durch einen Brand zerstört und ist heute nur noch als Ruine erhalten geblieben.

Johanniter in der Neumark im 15. und 16. Jahrhundert

Der Johanniterorden wurde durch zahlreiche Schenkungen zu einem der mächtigsten



4. Zamek joannitów w Słomsku, stan ok. 1925. Widokówka ze zbiorów prywatnych

4. Das Johannerschloss in Słomsk um 1925. Postkarte, Privatsammlung

który – zniszczony w czasie pożaru w 1975 r. – jest obecnie w stanie ruiny.

Nowomarchijski joannici w XV i XVI wieku

Zakon joannitów poprzez liczne nadania stał się jednym z najpotężniejszych właścicieli rozległych dóbr ziemskich w Nowej Marchii. Nie bez znaczenia dla dziejów i znaczenia joannitów okazał się fakt przejęcia dóbr templariuszy po kasacji tego zakonu w 1321 roku. Tym samym w XIV wieku zakon joannitów uzyskał rozległe obszary ziem na pograniczu brandenbursko-pomorskim, ugruntowując swą pozycję polityczno-gospodarczą na tym obszarze. Pierwotnie baliwat brandenburski zakonu joannitów nie miał wyznaczonej swej głównej siedziby, mistrzowie przebywali najczęściej w Łagowie lub w Chwarszczanach.

W XV stuleciu joannici odkupili od margrabiów brandenburskich zamek w Słomsku, przeznaczając go na rezydencję mistrza baliwatu. Odtąd Słomsk stał się centrum administracyjno-politycznym brandenburskiej prowincji tego zakonu, co wiązało się z wieloma fundacjami artystycznymi. Nie bez znaczenia dla losów nowomarchijskich joannitów było uzyskanie dużej autonomii w stosunku do innych prowincji tego zakonu.

Początkowo funkcję kościoła parafialnego pełniła w Słomsku kaplica zamkowa, a w ostatniej

Landbesitzern in der Neumark. Nicht unwichtig für die Geschichte und die Bedeutung der Johanniter war die Übernahme der Güter des Tempelritterordens nach dessen Aufhebung im Jahre 1321. Auf diese Weise bekam der Johanniterorden im 14. Jahrhundert große Landesgebiete an der Grenze zwischen Brandenburg und Pommern und gründete seinen politischen und wirtschaftlichen Rang auf diesem Gebiet. Ursprünglich hatte der Johanniterorden in der Ballei Brandenburg keinen festgelegten Sitz; die Herrenmeister hielten sich meistens in Łagów (*Lagow*) oder in Chwarszczany (*Quartschen*) auf.

Im 15. Jahrhundert kauften die Johanniter das Schloss in Słomsk dem brandenburgischen Markgrafen ab und so wurde es zum Hauptsitz des Herrenmeisters der Ballei. Seitdem war Słomsk das politische und Verwaltungszentrum der Provinz Brandenburg des Ordens, was sich auch mit vielen Stiftungen zur Unterstützung der Kunst verband. Nicht ohne Bedeutung für das Schicksal der Johanniter in der Neumark war die Tatsache, dass sie innerhalb des Johanniterordens eine relativ große Autonomie genießen konnten.

Am Anfang erfüllte die Schlosskapelle die Funktion einer Pfarrkirche in Słomsk. Im letzten Viertel des 15. Jahrhunderts stifteten die Ordensbrüder eine Pfarrkirche sowie die Gehälter der Geistlichen¹. Unter dem Patronat der Johanniter standen auch einige städtischen Pfarren – u.a. Chojna (*Königsberg in der Neumark*), Choszczno (*Arnswalde*), Sulęcín (*Zielenzig*) und viele Dorfpfarren.

Nach der offiziellen Einführung der Reformation in der Neumark (1538) schloss sich die Mehrheit der Herrenmeister der Lehre Luthers an. Es ist nötig hinzuzufügen, dass dies eine allgemeine Tendenz unter den katholischen Geistlichen war. Noch bevor der Herrscher der Neumark die

1 M. Starnawska, *Mnisi – rycerze – szlachta. Templariusze i Joannici na pograniczu wielkopolsko-brandenbursko-pomorskim*, „Kwartalnik Historyczny” 99 (1992), Nr 1, S. 8-10; 16-17.

ćwierci XV w. zakonnicy ufundowali farę i uposażenie dla duchownych¹. Pod patronatem joannitów znajdowało się również kilka parafii miejskich (m.in. Chojna, Choszczno, Sulęcín) oraz liczne parafie wiejskie.

Po oficjalnym wprowadzeniu reformacji w Nowej Marchii (1538) większość joannickich komturów opowiedziała się za przyjęciem nauk Lutra. Warto dodać, iż była to ogólnie panująca wówczas tendencja wśród duchowieństwa katolickiego, ponieważ zanim władca Nowej Marchii przyjął komunię pod dwiema postaciami, oficjalnie deklarując poparcie dla reformatorskich idei, większość nowomarchijskich klasztorów została już opuszczona przez zakonników.

Chociaż nieznanne są dokładne okoliczności oficjalnego przyjęcia przez nowomarchijskich joannitów nauk Lutra, wiadomo jednak, że już w 1538 r. wprowadzono w kościele parafialnym w Słońsku nabożeństwo ewangelickie z komunią pod dwiema postaciami. Z przekazów wiadomo również, że rok później do fary miejskiej w należącej do joannitów Sulęcínie powołano proboszcza ewangelickiego². W następnych latach joannicy komturzy wstąpili w związki małżeńskie³.

Z pewnością jedną z przyczyn przejścia joannitów na luteranizm były kwestie ekonomiczno-gospodarcze. Przyjęcie reformacji i przekształcenie swych struktur zakonnych w bractwo świeckie łączyło się z zachowaniem majątku przez nowomarchijskich joannitów – w tym przede wszystkim ich rozległych dóbr ziemskich. Przyjmując naukę Lutra, nie podzielili losu innych zakonów z terenu Nowej Marchii, unikając utraty dóbr i sekularyzacji. Warto wspomnieć, że bogato uposażone w dobra ziemskie klasztory cystersów i cysterek w Nowej Marchii (Bierzwnik, Mironice,

Kommunion unter beiderlei Gestalt (mit Brot und Wein)empfang, was seine offizielle Unterstützung für Ideen der Reformation bedeutete, waren die meisten Klöster der Neumark bereits von ihren Ordensbrüdern verlassen worden.

Zwar sind die genauen Umstände der offiziellen Annahme der lutherischen Lehre durch die Johanniter in der Neumark unklar, es ist aber bekannt, dass schon 1538 ein evangelisches Gottesdienst und Kommunion mit Brot und Wein in der Pfarrkirche in Słońsk eingeführt wurde. Aus Überlieferungen geht auch hervor, dass ein Jahr später ein evangelischer Pfarrer zur städtischen Pfarrkirche der Johanniter in Sulęcín berufen wurde². In den nächsten Jahren heirateten die Herrenmeister der Johanniter³. Eine der Ursachen des Übertritts der Johanniter zum reformierten Bekenntnis waren bestimmt ökonomische und wirtschaftliche Gründe. Nach der Annahme der Reformation und der Umgestaltung der Ordensstrukturen in eine weltliche Bruderschaft konnten die Johanniter der Neumark gleichzeitig ihren Besitz behalten – vor allem die großen Landbesitze. Sie haben das Schicksal anderer Orden der Neumark, die ihr Besitz verloren haben und säkularisiert wurden, nicht geteilt. Es ist nötig hinzuzufügen, dass Frauen- sowie Männerzisterzienserklöster in der Neumark (Bierzwnik (Marienwalde), Mironice (Himmelstädt), Cedynia (Zehden), Recz (Reetz) reich an Landbesitz waren und säkularisiert wurden. Sie gingen in den fürstlichen Besitz über, was für den Herrscher eine wichtige Einkommensquelle bedeutete. Die wenigen Güter der städtischen Klöster mit geringen Einnahmen in der Neumark gingen dagegen an die Räte der jeweiligen Städte. Als Ergebnis einer solchen Säkularisierungspolitik wurden viele Kirchen unwiederbringlich zerstört und viele von Klostergebäuden wurden zur Baumaterialquelle oder man verwendete sie zu wirtschaftlichen oder

1 M. Starnawska, *Mnisi – rycerze – szlachta. Templariusze i Joannici na pograniczu wielkopolsko-brandenbursko-pomorskim*, „Kwartalnik Historyczny” 99 (1992), nr 1, s. 8-10; 16-17.

2 F. von Müller, *Reformation in Neumark*, Landsberg/Warthe 1917, s. 59.

3 Tamże, s. 21.

2 F. von Müller, *Reformation in Neumark*, Landsberg/Warthe 1917, s. 59.

3 Ebenda, S. 21.

Cedynia, Recz) przekształcono w wyniku sekularyzacji w domeny książęce, stanowiące ważne źródła dochodów dla władcy. Natomiast dobra słabo uposażonych klasztorów miejskich w Nowej Marchii zostały przekazane radom poszczególnych miast. Skutkiem takiej polityki sekularyzacyjnej wiele świątyń klasztornych zostało bezpowrotnie zniszczonych, a wiele budynków klasztornych zaczęto traktować jako źródło pozyskania materiału budowlanego lub przeznaczano na cele gospodarcze czy też budowlane użyteczności publicznej (np. szpitale)⁴.

Co warto szczególnie podkreślić, zakon joannitów w Nowej Marchii przekształcił się w protestancki zakon rycerski, pod patronatem panującego władcy, zachowując jednak swą hierarchię i strukturę organizacyjną⁵. W swych parafiach wiejskich joannici naukę Lutera wprowadzali stopniowo – przykładowo dopiero od 1539 roku, czyli rok po oficjalnym wprowadzeniu reformacji w Nowej Marchii zatroszczono się, aby we wsiach wokół Łagowa zaczęto głosić reformatorskie treści⁶.

W 1540 roku doszło do ważnego porozumienia pomiędzy joannitami a ówczesnym władcą Nowej Marchii – margrabią Janem z Kostrzyna. Joannici zrezygnowali z komandorii w Chwarszczanach, w zamian otrzymując dość odległą dobrą zamkową w Świdwinie. Komandoria chwarszczan

gemeinnützigen Zwecken (z.B. als Krankenhäuser)⁴.

Es ist besonders erwähnenswert, dass sich der Johanniterorden in der Neumark in einen evangelischen Ritterorden verwandelte, der unter dem Patronat des Herrschers stand. Die Hierarchie und Struktur des Ordens blieb jedoch unverändert⁵. Die Johanniter führten die Lehre Luthers in ihren Dorfpfarren stufenweise ein – zum Beispiel erst 1539, also ein Jahr nach der offiziellen Einführung der Reformation in der Neumark sorgte man dafür, dass in den Dörfern um Łagów die Reformationsideen verkündet wurden⁶.

1540 kam es zu einer wichtigen Einigung zwischen den Johannitern und dem damaligen Herrscher der Neumark – dem Markgrafen Hans von Küstrin. Die Johanniter verzichteten auf die Kommende in Chwarszczany, dafür erhielten sie ziemlich weit entfernte Schlossgüter in Świdwin (*Schivelbein*). Die Kommende in Chwarszczany wurde zur fürstlichen Domäne. Dieser Schritt war günstig für den Markgrafen, weil das Landgut in Świdwin weit entfernt von dem damaligen politischen und Verwaltungszentrum Kostrzyn war. Der damalige Herrenmeister von Chwarszczany, Melchior von Barfuss, wurde zum hohen Beamten ernannt – dem Landvogt von Świdwin, Drawsko (*Dramburg*) und den dazu gehörenden

4 Szerzej: J. Harasimowicz, *Sekularyzacja klasztorów w Nowej Marchii w XVI wieku*, [w:] *Klasztor w społeczeństwie średniowiecznym i nowożytnym. Materiały z międzynarodowej konferencji naukowej zorganizowanej w Turawie w dniach 8-11 V 1996* przez Instytut Historii Uniwersytetu Opolskiego i Instytut Historyczny Uniwersytetu Wrocławskiego, red. M. Derwich, A. Pobóg-Lenartowicz, Opole – Wrocław 1996, s. 399-416.

5 E. Opgenoorth, *Die Ballei Brandenburg des Johanniterordens im Zeitalter der Reformation und Gegenreformation*, Würzburg 1963, s. 64-70.

6 *Brandenburgisches Klosterbuch. Handbuch der Klöster, Stifte und Kommenden bis zur Mitte des 16. Jahrhunderts*, Heinz-Dieter Heimann, Klaus Neitmann, Winfried Schich mit Martin Bauch, Ellen Franke, Christian Gahlbeck, Christian Popp, Peter Riedel (Hg.) Bd. II, (= *Brandenburgische Historische Studien*, Bd. 14), s. 727.

4 Mehr: J. Harasimowicz, *Sekularyzacja klasztorów w Nowej Marchii w XVI wieku*, [in:] *Klasztor w społeczeństwie średniowiecznym i nowożytnym. Materiały z międzynarodowej konferencji naukowej zorganizowanej w Turawie w dniach 8-11 V 1996* przez Instytut Historii Uniwersytetu Opolskiego i Instytut Historyczny Uniwersytetu Wrocławskiego, Red. M. Derwich, A. Pobóg-Lenartowicz, Opole – Wrocław 1996, s. 399-416.

5 E. Opgenoorth, *Die Ballei Brandenburg des Johanniterordens im Zeitalter der Reformation und Gegenreformation*, Würzburg 1963, S. 64-70.

6 *Brandenburgisches Klosterbuch. Handbuch der Klöster, Stifte und Kommenden bis zur Mitte des 16. Jahrhunderts*, Heinz-Dieter Heimann, Klaus Neitmann, Winfried Schich mit Martin Bauch, Ellen Franke, Christian Gahlbeck, Christian Popp, Peter Riedel (Hg.) Bd. II, (= *Brandenburgische Historische Studien*, Bd. 14), S. 727.



5. Kościół parafialny w Słońsku, stan 2008

5. Die Pfarrkirche in Słońsk 2008

szczańska została przekształcona w domenę książęcą. Było to posunięcie szczególnie korzystne dla margrabiego, gdyż dobra świdwińskie były odległe od Kostrzyna, który wybrano na centrum administracyjno-polityczne podległego mu terytorium. Ówczesnego komtura Chwarszczan, Melchiora von Barfuss, mianowano wysokim urzędnikiem – landwójtem ziemi świdwińskiej i drawskiej⁷. Barfuss otrzymał ponadto dobra sekularyzowanego klasztoru kartuzów w Świdwinie⁸.

Jan z Kostrzyna dążył do podporządkowania sobie w jak najwyższym stopniu joannitów, co często spotykało się z ich wyraźnym sprzeciwem. Niekiedy jego autorytarna polityka przynosiła mu jednak sukcesy, np. w 1544 roku joannici uczynili margrabiego protektorem swych dóbr. Równocześnie otrzymał on prawo do prezentacji i nominacji wielkiego mistrza, które po jego śmierci stało

Ländereien⁷. Darüber hinaus bekam Barfuss die Güter des Kartausenklosters in Świdwin nach dessen Säkularisation⁸.

Hans von Küstrin strebte nach möglichst starker Unterwerfung der Johanniter und stieß oft auf starken Widerstand ihrerseits. Ab und zu brachte aber seine autoritäre Politik Erfolg: 1544 machten ihn die Johanniter zu Schirmherr ihrer Ordensgüter. Gleichzeitig bekam der Markgraf das Recht, den Herrenmeister nominieren und ernennen zu dürfen. Nach seinem Tode ging dieser Privileg an weitere Kurfürsten von Brandenburg über. Trotz seiner Bemühungen behielten die Johanniter ihre Souveränität und bis 1810 blieben sowohl die Verwaltung als auch die Wirtschaft ihrer Kommenden autonom⁹.

Die Pfarrkirche

Gegenüber dem Johanniterschloss in Słońsk befindet sich der ehemalige Tempel des Ordens. Heute ist es eine Pfarrkirche, gewidmet der Mutter Gottes von Częstochowa (*Tschenstochau*) (Abb. 5, 6). Die Backsteinkirche ist ein Beispiel der spätgotischen dreischiffigen Halle, zu dem später ein rechteckiger Turm an der Westseite angebaut wurde. Der schlanke neugotische Turm zeichnet sich von dem Stadtpanorama von Słońsk deutlich ab. Obwohl das Projekt des Turmes – das übrigens in der vortrefflichen Werkstatt des berühmten Schinkel entstand – aus dem 18. Jahrhundert stammt, reichen die Anfänge der Kirche bis in das Mittelalter zurück. Auf dem Platz der heutigen Kirche befand sich ursprünglich eine kleine Kapelle, wahrscheinlich eine Schlosskapelle. Der

7 E. Rymar, *Komandoria chwarszczańska templariuszy i joannitów (1232-1540)*, „Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny”, nr 9 (2002), s. 33.

8 Ch. Gahlbeck, *Zisterzienser und Zisterzienserinnen in der Neumark*, Berlin 2002, (=Veröffentlichungen des Brandenburgischen Landeshauptarchivs, hrsg. von Klaus Neitmann, Bd. 47), s. 428, Fußnote Nr 37.

7 E. Rymar, *Komandoria chwarszczańska templariuszy i joannitów (1232-1540)*, „Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny”, Nr 9 (2002), S. 33.

8 Ch. Gahlbeck, *Zisterzienser und Zisterzienserinnen in der Neumark*, Berlin 2002, (=Veröffentlichungen des Brandenburgischen Landeshauptarchivs, hrsg. von Klaus Neitmann, Bd. 47), S. 428, Fußnote Nr 37.

9 J. Harasimowicz, *Sekularyzacja klasztorów w Nowej Marchii...*, S. 404-405.

się przywilejem kolejnych elektorów brandenburskich. Jednak pomimo usilnych zabiegów władcy joannici zachowali swą autonomię i aż do 1810 r. ich nowomarchijskie komandorie zachowały swą odrębność zarówno pod względem administracyjnym, jak i gospodarczym⁹.

Kościół parafialny

Naprzeciwko słońskiego zamku joannitów usytuowana jest dawna świątynia tego zakonu. Obecnie jest to kościół parafialny pw. Matki Boskiej Częstochowskiej (il. 5, 6). Jest to świątynia murowana, wzniesiona z cegły, reprezentuje typ późnogotyckiej trzynawowej hali z wieżą na planie kwadratu dostawioną od zachodu. Strzelista neogotycka wieża stanowi wyraźną dominantę w panoramie Słońska. Choć projekt wieży – powstały zresztą w znakomitym warsztacie słynnego Schinkla – pochodzi z XIX wieku, to początki świątyni sięgają wieków średnich. Pierwotnie na miejscu obecnego kościoła wznosiła się niewielka kaplica, zapewne zamkowa. Budowa obecnej świątyni zakończyła się w 1522 roku – taka data pojawia się na zwornikach sklepienia kościoła. Wnętrze świątyni gruntownie przekształcono w drugiej połowie XVII w.

Wnętrze artykułowane masywnymi ośmiobocznymi filarami nosi wyraźne ślady działalności joannitów. Choć wyposażenie kościoła ucierpiało podczas II wojny światowej, przetrwał jednak znakomity ołtarz główny oraz osiemnastowieczna ambona. Na przedwojennych zdjęciach dostrzec można, iż wnętrze świątyni obiegały empyry ozdobione tablicami herbowymi joannickich rycerzy. Tablice herbowe umieszczone były również na filarach świątyni. Ponadto do wystroju wnętrza zaliczyć można było rzeźbione popiersia ukazujące joannickich mistrzów¹⁰.

9 J. Harasimowicz, *Sekularyzacja klasztorów w Nowej Marchii...*, s. 404-405.

10 H.E. Kubach, *Die Kunstdenkmäler des Kreises Oststernbergs (=Bau und Kunstdenkmäler des Deutschen Ostens)*, Stuttgart 1960, s. 222-224.



6. Kościół parafialny w Słońsku, stan 2008

6. Die Pfarrkirche in Słonek 2008

Bau des heutigen Tempels wurde 1522 beendet – dieses Datum ist auf den Schlusssteinen des Gewölbes sichtbar. Der Innenraum der Kirche wurde in der zweiten Hälfte des 17. Jahrhunderts gründlich umgestaltet.

Der Innenraum mit schweren achteckigen Säulen trägt deutliche Spuren von Tätigkeit der Johanniter. Obwohl die Innenausstattung der Kirche Verluste während des Zweiten Weltkrieges erlitt, blieben der wunderbare Hauptaltar und eine Kanzel aus dem 18. Jahrhundert erhalten. Auf den Fotos aus der Vorkriegszeit kann man sehen, dass das Innere von Emporen umkreist wurde, die wiederum mit Wappen der einstigen Johanniter-ritter geziert waren. Wappenschilde befanden sich auch auf den Pfeilern der Kirche. Darüber hinaus gehörten geschnitzte Büsten von Herrenmeistern der Johanniter zur Ausstattung der Kirche¹⁰.

Wenn man die Kirchenschwelle überschreitet, sieht man sofort das prächtig geschmückte spätgotische Sterngewölbe mit seiner interessanten Gewölbbezeichnung. Die Gewölbmalerei wurde am Anfang des 20. Jahrhunderts restauriert.

10 H.E. Kubach, *Die Kunstdenkmäler des Kreises Oststernbergs (=Bau und Kunstdenkmäler des Deutschen Ostens)*, Stuttgart 1960, S. 222-224.

Przestępując próg kościoła, nie można nie dostrzec wspaniale dekorowanego późnogotyckiego sklepienia gwiaździstego o ciekawym rysunku przeszęf. Dekoracja malarska sklepienia została poddana renowacji na początku XX stulecia.

Szczególnie cennym obiektem o wyjątkowej jakości artystycznej jest wspomniany już ołtarz, pierwotnie przeznaczony dla jednej z berlińskich świątyń. Jest to monumentalne dzieło rzeźbiarskie o rozbudowanej kompozycji oraz złożonym programie ideowym. Warto w tym miejscu prześledzić wcześniejsze losy tego ołtarza. Z listu elektorskiego ministra hrabiego Adama von Schwarzenberga do rady zakonu joannitów dowiedzieć się można o okolicznościach przeniesienia tego retabulum z Berlina do Słońska w 1626 roku. Oto jego fragment: „[...] Pragnę Was zawiadomić, że w kaplicy zamkowej znajduje się niewykorzystany, pięknie rzeźbiony ołtarz z marmuru i drewna. Jeśli nie będzie tam potrzebny, każę go wysłać na dwóch wozach do Kostrzyna, a stamtąd wodą można przewieźć go dalej. Chciałbym, aby umieszczono go w miejscu dogodnym do tego celu [...]. Myślę, że kościół w Słońsku byłby najbardziej odpowiedni ze względu na jego obszerność. Wraz z ołtarzem mogę przesłać budowniczego i kamieniarzy, którzy zajmą się jego ustawieniem”¹¹. Z zacytowanego powyżej fragmentu można wywnioskować, że już w Berlinie ołtarz ten składał się z części kamiennych i drewnianych, stanowiąc kompilację kilku realizacji rzeźbiarskich.

Według ustaleń badaczy, części kamienne tego ołtarza wykonane zostały ok. poł. XVI w. w warsztacie południowoniderlandzkim. Nie jest to zaskoczeniem, ponieważ liczne dzieła plastyki alabastrowej powstałe w południowoniderlandzkich warsztatach trafiały drogą artystycznego importu do krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Szczególnie liczne były importy alabastrowych ołtarzyków domowych i płaskorzeźbionych płyt

Ein besonders wertvolles Objekt von außerordentlicher künstlerischer Qualität ist der bereits erwähnte Altar, der ursprünglich für eine Kirche in Berlin bestimmt war. Er ist ein gewaltiges Skulpturwerk von großen Ausmaßen und zeugt von Ideenreichtum.

Interessant ist die Geschichte des Altars. Graf Adam von Schwarzenberg, Minister des Kurfürsten, schreibt in seinem Brief an den Ordensrat über die Umstände, unter welchen das Altarretabel aus Berlin nach Słońsk 1626 überführt wurde. Ein Fragment lautet: „[...]Euch bleibet hierdurch unverhalten, das vor etlichen Jaren alhie in der Schlos-Capellen ein schöner altar von Marmel und Holtz fein ausgeschnitzet, abgebrochen worden. Wan dan derselbe nit mehr an diesem Ort geachtet wirdt, So hab ich ihn aufgesparet, und werde denselben altar auf zwei Rüstwagen bis gen Chüstrin schicken, von dannen kan er zu wasser vort gebracht werden. Als wollet etwa einen feinen bequemen Platz darzu ausetzen, wo dieser Altar stehen kan, [...]. Weiler aber Sonnenburg die rechte Residentz ist, so sollte ich am liebsten sehen, er werde alda auffgerichtet, da dan in den kirchen woll wirdt Platz zu vinden seyn. Es kumpt mit der Bawmeister undt der Steinmetzer, die diesen altar gleich aufrichten sollen [...]”¹¹. Aus dem oben zitierten Fragment lässt sich schließen, dass der Altar bereits in Berlin aus einem Marmor- und einem Holzteil bestand und eine Zusammenstellung von mehr als einem bildhauerischen Werk war.

Forscher haben festgestellt, dass die Steinteile des Altars um die Hälfte des 16. Jahrhunderts in einer südniederländischen Werkstatt gefertigt wurden. Das ist keine Überraschung, denn viele Alabasterplastiken kamen mit der Einfuhr von Kunst aus den südniederländischen Werkstätten in die mittelosteuropäischen Länder. In besonders großen Mengen wurden Hausaltare aus Alabaster

11 Tłumaczenie za: A. Lipińska, *Ołtarz dawnego kościoła joannitów w Słońsku*, „Dzieła i Interpretacje” 4 (1996), s. 155-170; tu: 155.

11 Zitiert nach: A. Lipińska, *Wewnętrzne światło. Południowoniderlandzka rzeźba alabastrowa w Europie Środkowo-wschodniej* (=Acta Universitatis Wratislaviensis No 3001. Historia sztuki XXV), Wrocław 2007, S. 196-197.

wkomponowanych następnie np. w epitafia. Warto podkreślić, że kamienne części ołtarza w Słońsku są jedynymi przykładami importów południowoniderlandzkiej rzeźby alabastrowej na terenie Nowej Marchii. Inne przykłady tego typu rzeźb odnaleźć można w Berlinie czy też na Dolnym Śląsku.

Wtórne obramienie drewniane ołtarza w Słońsku pochodzi z bliżej nieznanego warsztatu snycerskiego działającego na terenie Brandenburgii na przełomie XVI i XVII w.¹²

W przypadku słońskiego ołtarza należy stwierdzić, że złożona i niejednorodna struktura jest bezpośrednim odzwierciedleniem jego dziejów. Po wnikliwej obserwacji można dostrzec pewną niespójność kompozycyjną i stylistyczną pomiędzy poszczególnymi partiami tego dzieła. W słońskim retabulum pojawia się na przykład dwukrotnie scena *Ukrzyżowania* (!). Część środkowa oraz zwieńczenie wykonane zostało z alabastru i marmuru. Pierwotnie alabaster był miejscami złożony i srebrzony. Natomiast drewniana predella oraz obramienie ołtarza pokryte są wielobarwną polichromią. Wszystko to świadczy o tym, że ołtarz główny w kościele parafialnym w Słońsku został wtórnie skomponowany z kilku różnych nastaw ołtarzowych.

Dużo skromniej prezentuje się ambona, wykonana w 1773 r. ze śląskiego szaro-czarnego marmuru przez artystę z Poczdamu. Ambona, której sześcioboczny kosz zdobi jedynie motywy joannickiego krzyża, pozbawiona jest dekoracji figuralnych.

Od czasów reformacji różny był los pozostałych joannickich świątyń klasztornych na terenie Nowej Marchii. Przykładowo w Łagowie początki świątyni klasztornej sięgały wieków średnich. W XVI i XVII stuleciu nie ingerowano w jej

importiert; auch in Flachrelief geschnitzte Tafeln, die später in, zum Beispiel, Epitaphen integriert werden konnten. Man sollte unterstreichen, dass die steinernen Teile des Altars in Słońsk das einzige Beispiel für die aus den südniederländischen Werkstätten importierten Alabasterskulpturen in der Neumark sind. Andere Skulpturen dieser Art befinden sich in Berlin und in Niederschlesien.

Die später angebrachte hölzerne Umrahmung des Altars stammt aus einer nicht näher bekannten Holzschnitzereiwerkstatt, die zwischen dem 16. und 17. Jahrhundert im Brandenburg tätig war¹².

In Bezug auf den Altar in Słońsk lässt sich sagen, dass seine komplexe und heterogene Struktur eine direkte Widerspiegelung seiner Geschichte ist. Nach gründlicher Beobachtung kann bemerkt werden, dass die Komposition und der Stil der einzelnen Teile des Werks nicht völlig homogen sind. Ein Beispiel dafür ist die Szene der *Kreuzigung*: Sie erscheint an zwei verschiedenen Stellen des Altarretabels (!). Der mittlere Teil und die Bekrönung wurden aus Marmor und Alabaster gemacht. Ursprünglich war der Alabaster partiell vergoldet und versilbert. Die hölzerne Predella und die Umrahmung des Altars sind wiederum mit einer vielfarbigen Polychromie verziert. Das alles zeugt davon, dass der Hochaltar der Pfarrkirche in Słońsk aus mehreren Retabeln zusammengefügt wurde.

Die Kanzel sieht viel bescheidener aus. Sie wurde 1773 von einem Künstler aus Potsdam aus schlesischem grau-schwarzen Marmor gemacht. Der Kanzel fehlt jede figurative Verzierungen, auf dem sechseckigen Kanzel-Korpus sehen wir nur ein Motiv des Johanniter-Kreuzes.

Seit der Zeit der Reformation war das Schicksal von anderen Johanniter-Klosterkirchen der Neumark verschieden. Die Anfänge der Klosterkirche

12 Szerzej na temat historii, analizy formalnej i przedstawionych treści ołtarza w Słońsku: A. Lipińska, *Wewnętrzne światło. Południowoniderlandzka rzeźba alabastrowa w Europie środkowo-wschodniej* (=Acta Universitatis Wratislaviensis No 3001. Historia sztuki XXV), Wrocław 2007, s. 210-216.

12 Mehr zur Geschichte, formellen Analyse und Darstellungen des Altars in Słońsk. Ebenda, S. 201-216: A. Lipińska, *Wewnętrzne światło. Południowoniderlandzka rzeźba alabastrowa w Europie środkowo-wschodniej* (=Acta Universitatis Wratislaviensis No 3001. Historia sztuki XXV), Wrocław 2007, S. 210-216.



7. Zamek joannitów w Słońsku, stan 2008

7. Das Johannerschloss in Słońsk 2008

pierwotną formę architektoniczną, do tego stopnia, że już w początkach XVIII stulecia wzniesiona z cegły budowla była w złym stanie technicznym. Jednak dopiero dwie dekady później zdecydowano się na jej rozbiórkę i budowę nowej świątyni¹³, która następnie została gruntownie przekształcona w XIX wieku.

Zamek joannitów

Na szczególną uwagę zasługuje rezydencja joannitów w Słońsku – niestety od czasu pożaru z 1975 r. będąca ruiną (il. 7). Budowla ta stanowi jeden z najznakomitszych przykładów nowożytnej architektury rezydencjonalnej na terenie Nowej Marchii. Tak o dawnej rezydencji joannitów pisał w 1950 r. poznański historyk sztuki Gwido Chmarzyński: „Dwupiętrowa budowla [...], z lekko wysuniętymi ryzalitami u boków i delikatnie zaakcentowanym środkiem trójosiowym, jest najszlachetniejszym przykładem architektury świeckiej całego terenu lubuskiego [...]”¹⁴.

Dzieje zamku joannitów w Słońsku układają się w kilka etapów. Początki sięgają wieków średnich. Gotycki zamek przebudowano w renesansie. W okresie wojny trzydziestoletniej budowla została spalona, odbudowano ją w latach 1662-1668 na zlecenie ówczesnego mistrza księcia Jana

in Łągów reichen in das Mittelalter zurück. Im 16. und 17. Jahrhundert gab es keine Eingriffe in ihre ursprüngliche architektonische Form, so dass bereits am Anfang des 18. Jahrhunderts das Backsteinbauwerk in einem schlechten technischen Zustand war. Trotzdem wurde erst nach zwei Jahrzehnten entschieden, dass die alte Kirche ab- und eine neue aufgebaut werden sollte¹³. Diese wurde wiederum im 19. Jahrhundert gründlich umgebaut.

Das Schloss der Johanniter

Der Sitz der Johanniter in Słońsk ist besonders beachtenswert - leider ist er seit dem Brand im Jahre 1975 eine Ruine (Abb. 7). Das Bauwerk ist ein prächtiges Beispiel der neuzeitigen Residenzarchitektur auf dem Gebiet der Neumark. Gwido Chmarzyński, ein Kunsthistoriker aus Poznań, hat 1950 Folgendes über den ehemaligen Sitz der Johanniter geschrieben: „Das zweistöckige Gebäude [...] mit leicht hervorstehenden Risaliten an den Seiten und einer leicht angedeuteten Mitte mit drei Achsen ist das edelste Beispiel für weltliche Architektur auf dem gesamten Gebiet der Woiwodschaft Lebus [...]”¹⁴.

Die Geschichte des Schlosses in Słońsk setzt sich aus mehreren Etappen zusammen. Die Anfänge reichen in das Mittelalter zurück. Das gotische Schloss wurde in der Renaissance umgebaut. Während des Dreißigjährigen Krieges wurde das Bauwerk verbrannt und in den Jahren 1662-1668, im Auftrag des damaligen Herrenmeisters und Fürsten Johann Moritz von Nassau, wieder aufgebaut. Die Forscher glauben, dass das architektonische Projekt des Schlosses von dem niederländischen Baumeister Peter Post, der unter anderem in Den Haag tätig war, stammt. Die Bauarbeiten wurden von Jean de Bonjour und Cornelius Ryckwaert aus den Niederlanden

13 *Brandenburgisches Klosterbuch...*, Bd. II, s. 733.

14 G. Chmarzyński, *Sztuka Ziemi Lubuskiej*, [w:] *Ziemia Lubuska*, red. M. Sczaniecki i S. Zajchowska, Poznań 1950, s. 160.

13 *Brandenburgisches Klosterbuch...*, Bd. II, S. 733.

14 G. Chmarzyński, *Sztuka Ziemi Lubuskiej*, [w:] *Ziemia Lubuska*, red. M. Sczaniecki i S. Zajchowska, Poznań 1950, S. 160.



8. Zamek joannitów w Słońsku. fragment detalu architektonicznego, stan 2008

8. Das Johannerschloss in Słońsk, ein Fragment des architektonischen Details, 2008

Maurycyego von Nassau. Architektoniczny projekt zamku badacze przypisują niderlandzkiemu mistrzowi budowlanemu Peterowi Postowi, który działał m.in. w Hadze. Nad wykonaniem czuwał Jean de Bonjour oraz pochodzący z Niderlandów Cornelius Ryckwaert. Wiadomo także, że mistrzowie murarscy również sprowadzeni zostali z Niderlandów. Pierwotnie zewnętrzne ściany budowli nie były otynkowane, a jedynie bielone, natomiast dach był w kolorze niebieskim¹⁵.

Po sekularyzacji baliwatu brandenburskiego w 1810 roku, co wiązało się z szeroko zakrojoną akcją sekularyzacyjną w Prusach, tradycje joannickie przetrwały w nieco zmienionej formie. W połowie XIX wieku powstało stowarzyszenie nawiązujące do struktury i organizacji świeckiego bractwa joannitów. Budowlę zamkową przekazano w zarząd tego stowarzyszenia, co poskutkowało licznymi remontami i gruntownym odnowieniem wnętrza¹⁶.

Po II wojnie światowej rezydencja joannitów stanowiła siedzibę różnych instytucji państwowych. Niestety w 1975 roku ten znakomity przykład barokowej architektury rezydencjonalnej dotkliwie ucierpiał w wyniku pożaru¹⁷. Obecnie zachowały się jedynie spękane mury szczytowe

überwacht. Es ist bekannt, dass auch die Maurermeister aus den Niederlanden waren. Ursprünglich waren die Innenwände des Schlosses nicht verputzt sondern nur weiß gestrichen; das Dach war blau¹⁵.

Nach der großen Säkularisierungsaktion in Preußen, die die Ballei Brandenburg im Jahre 1810 mit umfasste, blieb die Tradition der Johanniter in etwas geänderter Form erhalten. Um die Mitte des 19. Jahrhunderts entstand ein Verein, der an die Struktur und den organisatorischen Aufbau der weltlichen Bruderschaft der Johanniter anknüpfte.

Das Schloss wurde dem Verein zur Verwaltung übergeben, was viele Restaurierungen und eine gründliche Sanierung der Innenräume zur Folge hatte¹⁶.

Nach dem Zweiten Weltkrieg wurde die Residenz der Johanniter zum Sitz mehrerer staatlicher Institutionen. Leider fiel dieses prächtige Beispiel der barocken Residenzarchitektur 1975 einem Brand zum Opfer¹⁷. Bis heute sind nur noch einige rissige Mauer erhalten geblieben, das Innere und die Decken sind vollkommen abgebrannt. Vom ehemaligen Glanz des Schlosses zeugt heute nur noch eine bescheidene Spur von zum Teil erhalten gebliebenen sparsamen architektonischen Details. Unter den Fenstern des Mittelteils sind Festonen (Abb. 8) zu sehen, die auf eine interessante Weise in das Bauwerk integriert wurden. Zusammen mit den hohen Fensteröffnungen bildeten sie einen deutlichen Akzent in der Baukomposition und hoben die Hauptachse des kompakten, harmonisch geplanten Gebäudes hervor. Trotz der Zerstörung sind immer noch deutliche Spuren niederländischer Architektur der Barockzeit sichtbar. Das ist einzigartig sowohl für das historische Territorium der Neumark als auch für diesen Teil Europas.

15 H. E. Kubach, *Die Kunstdenkmäler des Kreises Oststernbergs...*, s. 202.

16 Tamże, s. 203.

17 *Zabytki północnej części województwa lubuskiego, Gorzów Wlkp.* – Zielona Góra 2004, s. 210.

15 H. E. Kubach, *Die Kunstdenkmäler des Kreises Oststernbergs...*, S. 202.

16 Ebenda, S. 203

17 *Zabytki północnej części województwa lubuskiego, Gorzów Wlkp.* – Zielona Góra 2004, S. 210.

joannickiego zamku, wewnątrz wraz ze stropami jest całkowicie wypalone. Skromnymi śladami jego świetności jest po części zachowany oszczędny detal architektoniczny. Pod oknami części środkowej dostrzec można ciekawie zakomponowane festony (il. 8), które wraz z wysokimi otworami okiennymi stanowiły wyraźny akcent kompozycyjny podkreślający główną oś zwartej, harmonijnie rozplanowanej bryły. Po dzień dzisiejszy – pomimo zniszczeń – zaobserwować można wyraźne wpływy architektury niderlandzkiej doby baroku, co stanowi swoisty ewenement nie tylko na obszarze historycznej Nowej Marchii, ale również tej części Europy.

Innym lokalnym przykładem architektury rezydencjonalnej, który już od wieków średnich związany był z joannitami, jest zamek w Łagowie. Malowniczo wzniesiony na sztucznie usypanym zamkowym wzgórzu usytuowanym na przesmyku dwóch jezior, stanowi charakterystyczny element tamtejszego krajobrazu kulturowego. Całe założenie zamkowe wraz z zachowanym średniowiecznym rozplanowaniem osady, z budowlami bramnymi (Bramą Polską i Marchijską) oraz z fragmentami murów obronnych stanowi zespół architektoniczno-urbanistyczny o dużej wartości historycznej.

Historia znacznej części Nowej Marchii, w tym w szczególności Słońska w nierozzerwalny i trwały sposób spłótła się z dziejami zakonu joannitów. To właśnie joannici od wieków średnich w wyraźny sposób kształtowali krajobraz kulturowy obszaru, którym zarządzali. Fundowali nowe świątynie i ich wyposażenie, wznosili kolejne siedziby. W dobie reformacji zdolali dokonać daleko idących reform wewnętrznych, tak by zachować swój stan posiadania i wpisać się w struktury ewangelickiego państwa terytorialnego. Aby dogłębnie zrozumieć historię tego obszaru, należy najpierw zapoznać się z dziejami zakonu, który jako jedyny w Nowej Marchii uzyskał tak ważną pozycję gospodarczo-społeczną. Trwałymi śladami świadczącymi o ważnej roli, jaką odgrywali joannici w Nowej Marchii, pozostają ich fundacje artystyczne, w tym przede wszystkim rezydencja w Słońsku.

Das Schloss in Łagów, das schon seit dem Mittelalter mit den Johannitern verbunden war, ist ein weiteres Beispiel für die Residenzarchitektur. Das malerische Bauwerk, das auf einem von Menschenhand aufgeschütteten Hügel auf einem Engpass zwischen zwei Seen steht, ist ein charakteristisches Element der Kulturlandschaft der Gegend. Der ganze Schlosskomplex zusammen mit den erhalten gebliebenen Spuren einer mittelalterlichen Ansiedlung, mit den Toren (das Polnische und das Märkische Tor) und den Schutzmauertei len bildet einen architektonischen und städtebaulichen Komplex von hohem historischen Wert.

Die Geschichte von einem großen Teil der Neumark, insbesondere von Słońsk, ist unzertrennlich und fest mit der Geschichte des Johanniterordens verbunden. Die Johanniter waren diejenigen, die seit dem Mittelalter die Kulturlandschaft der Gegend, die sie verwalteten, stark geprägt haben. Sie stifteten neue Kirchen und ihre Ausstattung, sie bauten neue Residenzen. In der Zeit der Reformation schafften sie es, weit reichende innere Reformen durchzuführen und somit ihren Besitz zu behalten und sich an die Struktur des evangelischen Territorialstaates anzupassen. Um die Geschichte der Region gründlich zu verstehen, muss man sich zuerst mit der Geschichte des Ordens bekannt machen, der als der einzige in der Neumark einen derart wichtigen wirtschaftlichen und gesellschaftlichen Rang gewann. Die Residenz in Słońsk sowie andere Stiftungen der Johanniter sind bestehende Beweise dafür, wie wichtige Rolle der Orden in der Neumark spielte.

Übersetzung von Katarzyna Ślisz



Konkurs „Debiut poetycki Pro Libris” rozstrzygnięty

Zorganizowany w 2010 roku przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. C. Norwida w Zielonej Górze konkurs postawił sobie za cel zachęcenie młodych autorów do tworzenia poezji, do rozwoju własnego talentu oraz stworzenie możliwości zaistnienia w regionalnym środowisku literackim poprzez debiut wydawniczy.

Konkurs spotkał się z zainteresowaniem młodych poetów. Do organizatorów wpłynęło kilkanaście zgłoszeń, spośród których Jury 30 listopada br. wybrało laureata. Został nim Jakub Rawski (godło KOBO). Nagrodą w konkursie była publikacja wierszy w formie tomiku poetyckiego, wydane przez oficynę Pro Libris w nakładzie

200 egzemplarzy. Tomik, zatytułowany *Pasaże*, został wydany z dużą starannością. Nad ostateczną formą książki debiutującego wydawniczo autora pracowały niewiele starsze od niego, ale posiadające już spore umiejętności osoby – redaktor, fotograficy, grafik. Konkurs zrealizowany został dzięki wsparciu finansowemu Prezydenta Miasta Zielona Góra Janusza Kubickiego.

Zwycięzca konkursu ma 22 lata, urodził się w Głogowie. Od października 2007 jest studentem filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. W tym roku obronił pracę licencjacką poświęconą ewolucji i zmienności figury wampira w XX-wiecznym procesie historycznoliterackim. Stypendysta Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w roku akademickim 2009/2010 oraz pięciokrotnie stypendysta Prezydenta Miasta Głogowa. Autor

referatów na regionalnych i ogólnopolskich konferencjach naukowych. Wiceprzewodniczący Studenckiego Koła Literaturoznawców działającego przy Instytucie Filologii Polskiej UZ. Od trzech lat juror oraz współorganizator regionalnego konkursu poetyckiego na wiersz jesienny, organizowanego przez Studenckie Koło Literaturoznawców. Obecnie pisze pracę magisterską poświęconą europejskiemu romantyzmowi.

Laureatowi serdecznie gratulujemy zwycięstwa w konkursie, a młodych piszących zapraszamy do udziału w kolejnej edycji konkursu „Debiut poetycki Pro Libris”, która jest planowana na 2011 rok.

Poniżej publikujemy wybrane utwory nadesłane na konkurs.



Czynności

zamykam w słowie kilka kropel potu
na co innego nie będę miał ochoty
zapisuję

rozciągam gumę aż do zerwania
opuszczam brudną firankę żeby nikt nie
podejrzewał

o więcej i więcej na więcej

babki w piaskownicy z piasku rozdmuchał wiatr
wiezorami ulice się zaludniają
ucieczka przed upałem nie wszystkim się udała

jutro spadnie śnieg z deszczem

* * *

Krzykiem moich zębów
Zagryzam wargi –
Kropla krwi tak słodka jak karmel.
Uwalniam 7 głównych grzechów –
Niech pospacerują trochę.
Sumienie odkładam na półkę
Pełną zatrutych myśli.
Skrzętnie oddzielam wyuczone emocje
Zaplątane wśród gałęzi żył.
Metodą wstrząsów zaburzam czas,
Wabiąc wskazówkę zegarka w przeszłość.
Już prawie pusta ja –
Skonsumowana przez pajęczycę mucha –
Zakreślam tęczę bajeczne miraże

Czas hibernacji –
Niech dusza przewietrzy się trochę...

Starość

Starość
ma to do siebie
że jedyne oparcie
masz w lasce –
i bynajmniej nie mówię
o kobiecie

inna zaletą starości
jest to że można sobie
pochodzić
po pogrzebach
dawnych przyjaciół
i dziwić się tym
jak to wielu mieli
znajomych

zastanawiam się
kto przyjdzie na mój
pogrzeb
i jak wielkim
wyzwaniem będzie
starość

Czerwona królowa

chodziliśmy razem
w siedmiomilowych butach
stopy były suche trupów było wiele
robiłaś to w sposób bezkompromisowy

los obdarowywał nas rozpakowanym momentem
jakoś nie przepadaliśmy za niespodziankami
choć wszystko płynie
my tkwiliśmy w jednym i tym samym miejscu

nienaruszeni
zadbani jak obraz w domu starszej kobiety
codziennie wycierany z kurzu i brudu
wracaliśmy z powrotem do swoich codziennych zajęć

goniłem cokolwiek choć nie zamierzałem tego łapać
fajdę sprawiała mi sama pogoń i możliwość popełnienia błędu
wiem też że gdy
malowałaś paznokcie czy czytałaś jakąś cholernie nudną książkę
bałaś się o mnie

tego zimnego wieczoru padał deszcz
mokry nurkowałem w jednej z kałuż

Emilia Grzelak (godło BAJECZKA)

* * *

Chowa się pod skórą
Próbuje wydostać spomiędzy złotych włosów
Udaje, że nie widzę jak się skrada

Próbuję znienawidzić
A kiedy zbiegniemy razem
z gór porośniętych lasami
Srebrzystymi myślami zasypimy pijane serca

Lepiej nie kusić zimnego ciała

Po cóż rozpalać
niebieskie oczy, które niegdyś w jednym kierunku
patrzyły
I te usta do siebie pasujące

Pani Jesień

Jest artystką tak nam znaną,
i maluje, i wykleja,
każdy dzień na nowo tworzy.

Raz to żółcią posmaruje wielkie drzewa,
potem znów czerwienią przyozdobi zasmucone lica.

Chodzi piękna i wyniosła,
dumnie kroczy po ulicach, parkach i ogrodach,
w kroplach deszczu przeglądając się jak w lustrze.

Jeszcze morskie bywa niebo,
słońce rozświetla nocne szarości,
niskie temperatury oszronią liście,
będzie tak jakby przeuroczyście.

Z jesienną paletą stąpa nierówno,
ręka prowadzi odcieni pędzel,
do chwili kiedy jej koleżanka pani zima,
bielą pokryje wszystko.

Deszcz

Płaczliwe anioły lejące stopy łez,
tworzą na dole wielkie kałuże,
nakładają kalosze, niosą
duże parasole ochronę przed dużymi
kroplami deszczu, on tworzy przeszkody,
dzieci mają huczną zabawę skaczą
i bawią się na tyle ile mają energii,
śmieją się w głos, a rodzice mają
trochę odpoczynku dla siebie,
a opiekuńczym wzrokiem opiekują
się swoimi małymi dziedziczkami,
a kiedy nastaje błogi wieczór idą,
żeby położyć je do ciepłych i wygodnych łóżeczek.

Czekoladowo-pomarańczowy Ty

Kiedy mi źle
Sięgam po czekoladę

Jej słodki smak
Zagłusza wszelkie tęsknoty

Kiedy mi smutno
Obieram z grubej skóry pomarańcze
Napawam się energią
Soczystego owocu

Smak czekolady
Ma smak Twych ust
W letnie krótkie noce

Zapach pomarańczy
To woń Twojej skóry
Bezustannie emanującej życiem

Nie mam
Ni słodczy ni owocu

Chodź

Getto

cegła i mur
rośnie wysoko ludzka nienawiść
chęć zabijania
a drut kolczasty na samym szczycie jest dopełnieniem zła
zamknięcie w prawdziwym świecie,
bo getto żyje swoim rytmem
każdym marnym dniem
choć wydaje się inną planetą
to podły świat, gdzie życie wita się ze śmiercią
to nasza męka, nasza droga
początek krótkiego życia

Budzę się i zasypiam każdego dnia
ale mnie nie ma
chodzę i szukam
ale nie wiem kogo
Getto zabrało nasze dusze...
Jesteśmy jak te cegły w murze
krucho i bez możliwości ruchu
manewru ucieczki...

Rozcięte słońce

na cień gdy spadam gorącą kroplą na podbrzusze
i na echo muzeum w trzewiach
rozlicznej płycie czasu – na bruk
flâneur postrzępionej bryły
i kostek rozwichrzonego ciała w sen
– na pamięć i kurczowe toasty w krzyk
na codzienność w burzy natręctw
i na imię bezwzględnego czucia
co nawadnia stracony czas iskrą

na oczy które umierają
i przegrane usta współpolskie
– rozcięte nadwiosenne słońce:
rozprysła farba w palcach

na czekające ściany
na niecierpliwe listki
w których splatamy się wiatrem

Sherlock Holmes i Gregory House – paralele

Każde dobre dzieło musi mieć kilka podstawowych cech, bez względu na sposób przekazu, na epokę, ideę i cel. Jedną z tych cech jest konieczność otwarcia i zamknięcia artystycznego przekazu w taki sposób, żeby dzieło samo siebie definiowało, żeby abstrahując od historycznych i kulturowych naleciałości, obraz, rzeźba, film czy dzieło literackie otwierało się i zamykało samo w sobie. Żeby mogło być bytem oddzielnym. Czy przyjmując te założenia, istnieje sens porównywania bohaterów literackich i filmowych, czy jakichkolwiek innych, do tego w przestrzeni blisko stu pięćdziesięciu lat? Czy, mimo że zdajemy sobie sprawę z wiecznego pochodzenia bohaterów, powtarzalności ich cech i wpływu poprzednich na przyszłych, jest sens zastanawiania się nad tym zagadnieniem? Myślę, że tak i to co najmniej z kilku powodów. Najważniejsze będą dla mnie dwa. Po pierwsze – świadome przywoływanie bohaterów i czerpanie z ich cech, a niejednokrotnie również z ich otoczenia. Po drugie – fakt, że wszelkie nawiązania, w tym przypadku oparte głównie nie tyle na filozofii czy sprawach głębszych, ale

przede wszystkim na sposobie działania i odnośnienia się do innych, dają odbiorcy dużą satysfakcję, jeśli ten poznał wcześniej dzięki innemu autorowi pierwowzór postaci.

Za podstawę pracy posłużą mi postacie Sherlocka Holmesa i Gregory'ego House'a i nie będzie to wybór przypadkowy. Trzeba się na kimś oprzeć, a przecież zawsze można znaleźć postać wcześniejszą, do której możemy przyrównać bohatera. O bezpośrednim pierwowzorze Holmesa wiemy dość dużo i nie jest to odniesienie do innych bohaterów literackich, a do człowieka z krwi i kości, o czym Arthur Conan Doyle wspominał, kiedy jego detektyw zaczął podbijać nie tylko brytyjskie tygodniki prasowe, ale też światową literaturę popularną. Doyle oparł postać Holmesa o znajomego, poznanego na studiach medycznych – Dr Bella¹, który był lekarzem zajmującym się diagnostyką. Jego cechy zostały zaadaptowane w bardzo dużym stopniu, poczynając od przenikliwej inteligencji („Im bardziej ekscentryczny czy absurdalny jest jakiś incydent, tym bardziej należy mu się przyjrzeć, a jakiś szczegół, który wydaje się

1 A. Brandt, *Wstęp*, [do:] A.C. Doyle, *Przygody Sherlocka Holmesa*, Białystok 2009, s. 12.

komplikować sprawę, po właściwej logicznej i naukowej analizie staje się tym, który rzuca na nią światło”² – mówił Sherlock, a Gregory niewątpliwie podpisałby się pod tym stwierdzeniem), przez sarkazm, wycofanie się – swoiste połączenie ekstrawertyzmu z introwertyzmem, po zespół działań, który można przyrównać do dzisiejszego stylu *whodunit* (różnie definiowane określenie gatunku filmowego – film kryminalny, w rzeczywistości historia kryminalna oparta o *whodunit* nie musi mieć tematyki kryminalnej, a przede wszystkim bohatera, który bez względu na swoją profesję dochodzi do wniosków na zasadzie detektywistycznej). Termin ten jest zresztą bezpośrednio powiązany z nazwiskiem Arthura Conan Doyle’a, którego powszechnie nazywa się twórcą powieści pretekstu – w tym przypadku sprawy kryminalne Holmesa lub medyczne Housa są tylko pretekstem do ukazania funkcjonowania ludzkiego, doskonałego niemal mózgu. Jest to tym ciekawsze, że najpopularniejszym współczesnym bohaterem nawiązującym do Sherlocka Holmesa jest dr Gregory House, tytułowy bohater serialu *Dr House*, o którym napiszę poniżej. House, podobnie jak pierwowzór Holmesa, jest właśnie lekarzem diagnostą i to on, stawiając diagnozy w najtrudniejszych przypadkach, dochodzi do nich, oczywiście dzięki wiedzy lekarskiej, ale robi to właśnie jak detektyw.

Zarówno Bella, Holmesa, jak i House możemy określić jako tzw. triksterów³. Jest to być może najważniejsze podobieństwo między wspomnianymi bohaterami, bowiem zawiera w sobie ich podstawowe i kluczowe cechy. Teoria Carla Gustava Junga o ludziach triksterach idealnie do nich pasuje. Teoria wywodzi się z mitologii, a jej głównym założeniem jest łączenie się przeciwstawnych cech w jednej postaci. Jest to uniwersalna kategoria mitologicznego herosa mającego liczne paralele (np. Hefajstos, Hermes, Prometheus, Odyseusz w tradycji greckiej). Trikster jest popularny w wielu mitologiach, kulturach i reli-

giach (np. u Indian obu Ameryk, ludów Afryki, plemion Azji, religii greckiej, rzymskiej, egipskiej, babilońskiej). Jest to jednocześnie postać negatywna, mająca wiele cech, które sprawiają, że nie potrafilibyśmy takiego bohatera polubić, gdybyśmy faktycznie go znali, ale chociaż jest to postać odpychająca, to jej działania są zwykle bardzo pozytywne, dzięki czemu mamy do niej szacunek, lubimy ją, nie mając z nią rzeczywistego kontaktu i „kibicujemy”, popieramy nawet te działania, które są negatywne. Mogą być przecież przyczynkiem do rozwiązywania problemu na zasadzie efektu motyla – wiemy, że wszystko, co robi ta osoba, ma wpływ na to, kim jest i co osiąga, więc również to, co złe, musimy w przypadku tej postaci tolerować. Gdybyśmy wyeliminowali wszystkie jej wady, byłaby to postać krystalicznie pozytywna, ale czy również odnosząca sukcesy? Mimo wszystko warto zauważyć, że Holmes praktycznie nigdy się nie mylił, podczas gdy House myli się co najmniej raz podczas diagnozowania każdego przypadku, niemniej ostatecznie tylko raz stracił pacjenta, co zresztą rzutuje na jego zaangażowanie, a i pomyłki doprowadzają go do celu. Trikster jest postacią ambiwalentną, a przy tym dobroczyńcą. Jego zalety to zazwyczaj krasomówstwo, inteligencja, spryt, przeciwstawione wadom, przede wszystkim złośliwość, brakowi ogłady, nieszczerości. Przy czym wszystkie te wady prowadzą nas do happy endu. Trikster nie przejmuje się normami społecznymi, prawdą indywidualną, bo jego funkcją jest ostrzeganie, budzenie niepokoju wewnętrznego i skłanianie do działań transgresywnych. Zamanifestowany trikster dezorganizuje panujące normy społeczeństwa i instytucji. Jest nieprzewidywalny i niejednoznaczny. Działanie tego archetypu polaryzuje się zasadniczo w kierunku tłumy, a jego celem jest rozbicie kanonów świadomości zbiorowej. Trikster ukazuje perspektywę odmienną od ogólnie uznawanej. Wprowadza przez to do obszaru świadomości treści uśpione i zastygłe.

2 A.C. Doyle, *Przygody...*, s. 146.

3 Ang. *trickster* – szelma, łotrzyk, z oryg. niem. *gottlicher schelm* – boski szelma.

Dzięki wyrazistej osobowości, inteligencji i niekonwencjonalnemu działaniu może się jawić odbiorcy jako geniusz. Poza wymienioną trójką do grona najbardziej znanych triksterów możemy zaliczyć Jamesa Bonda, Herkulesa Poirota, Kojaka, z mniej znanych chociażby Varga Veuma ze skadynawskiego serialu kryminalnego *Instynkt wilka*.

Aby nieco przybliżyć podobieństwa i nawiązania, posłużę się kilkoma przykładami. W osiemnastym odcinku piątego sezonu *Dra House'a* pt. *Here Kitty*, reżyser nawiązał do początkowych epizodów serii o Jamesie Bondzie. Podczas narady ze swoim zespołem Gregory trzymał na kolanach kota i głaskając go, wypowiedział słowa: „Nie panie Bond, oczekuję pańskiej śmierci”. Kwestię tę wymówił również złoczyńca Auric Goldfinger (Gert Fröbe) do agenta Jamesa Bonda w filmie *Goldfinger*. Inna postać z cyklu opartego na powieściach Iana Fleminga – Ernst Blofeld – antagonistą Bonda i przywódca organizacji Widmo, który pojawił się pierwszy raz w filmie *Pozdrowienia z Rosji*, był pokazywany jako postać siedząca i podczas rozmowy trzymająca na kolanach białego kota. W innym odcinku Gregory House przez większość filmu trzyma w ustach liszaka dokładnie w ten sposób, w jaki zasłynął tym Kojak. Holmesa i House'a łączy jednak najwięcej. Obaj potrafili bezbłędnie opowiedzieć o historii lub czymś innym, co dotyczy człowieka na podstawie poszlak, których nikt inny nie potrafi połączyć, a często nawet dostrzec. Były to jednocześnie zazwyczaj przypadki tak logiczne, że odbiorca może taki tok myślenia odebrać jako naturalny i oczywisty. Jednym z najbardziej dobitnych i najciekawszych podobieństw pomiędzy postaciami jest ich adres zamieszkania. Adres Sherlocka Holmesa – BakerStreet 221B jest powszechnie znany, w domu Gregory'ego House'a widz przebywał rzadko, ale już w pierwszym odcinku bystry odbiorca zauważył, że na drzwiach prowadzących

do mieszkania House'a widnieje napis 221B. Łączy się z tym ciekawostka – w jednym z kolejnych sezonów, kiedy znowu widzimy te same drzwi (widnieje na nich tabliczka 221), zapewne przez niedopatrzenie twórców. W opowiadaniu *Tajemnica oblubienicy*⁴ Watson mówi: „Od rana padał ulewny deszcz i szalał jesienny wicher, wskutek czego rana, jaką odniosłem w nogę podczas wyprawy do Afganistanu, sprawiała mi ogromny ból”. Hugh Laurie odtwarzający postać House'a został za swoją kreację obsypany nagrodami nie tylko za świetne aktorstwo, za ironiczny głos i charakterystyczną postać, wpływ na docenienie go miał za pewnością fakt, że jego bohater ma przypadłość, którą trudno zagrać – przez wszystkie sezony serialu kuleje, a jego chód jest jednym z najlepiej rozpoznawanych „znaków firmowych” House'a. Warto dodać, że Mortimer, główny rywal Holmesa, podobnie jak House chodzi o lasce i co ciekawe, jest z zawodu lekarzem. W jednym z opowiadań Holmes mówi: „Zapewniam cię, drogi Watsonie, że prawie nigdy nie obchodzą mnie osoby, które się do mnie zwracają, lecz tylko sprawy, z jakimi przychodzą”⁵. Tymczasem House z wielkim uporem powtarza, że człowiek go nie interesuje, zajmuje go wyłącznie jego przypadek i cały proces dojścia do przyczyny jego dolegliwości. Co ciekawe, pierwszą pacjentką House'a w serialu jest kobieta o nazwisku Adler. Irene Adler była jedyną kobietą, do której uczucie żywił Sherlock Holmes. Tymczasem House w siódmym odcinku trzeciej serii na pytanie: „czy był kiedyś zakochany?”, odpowiada, że był i sugeruje, że podobnie jak londyński detektyw tylko raz, a pytany, w jakich okolicznościach ją poznał, mówi, że strzeliła do niego (podczas gry w paintball). Irene Adler również strzeliła do Holmesa. Wracając do ironicznego głosu House'a, w książce *Pies Baskervilleów* John Watson mówi o głosie Holmesa, że jest ironiczny jak żaden inny⁶. Warto

4 A.C. Doyle, *Tragedia w Boscob Valley*, Łódź 2004, s. 68.

5 *Błękitny karbunkul*, [w:] A.C. Doyle, *Przygody...*, s. 213.

6 A.C. Doyle, *Pies Baskervilleów*, Warszawa 2007, s. 184.

przy okazji zauważyć, że towarzysz Holmesa posiada tytuł doktora, a House łączy w sobie nie tylko cechy Holmesa, ale również jego towarzysza. Sama funkcja towarzysza głównego bohatera również nie pozostaje bez znaczenia. Towarzyszem i przyjacielem Holmesa jest Watson, House'a – Wilson (podobieństwo nazwisk również nie wydaje się tu przypadkowe, podobnie zresztą jak z nazwiskami głównych bohaterów, Holmes – House). Z kolei Bond w każdym filmie ma towarzyszkę. Watson mówi też o Holmesie, że ten ma despotyczną naturę, lubi górować nad otoczeniem i sprawiać niespodzianki, jest niesłychanie powściągliwy w zwierzaniu się komukolwiek ze swoich planów⁷. Z Housem jest podobnie. Co ciekawe najwięcej nawiązań jest w drugim i trzecim sezonie, dlaczego? Może od początku twórcy serialu sami nie zdawali sobie do końca sprawy z podobieństw bohaterów i miały być one jedynie epizodyczną zabawą, później chcieli pójść tym tropem, ale w końcu stwierdzili, że nie chcą brnąć zbyt głęboko? Inną ciekawostką jest fakt ciągłych trudności, jakie napotykają bohaterowie z rąk mniej utalentowanych współników. Holmes zawsze rywalizował, zwycięsko zresztą, z londyńską policją, podobnie jak później Herkules Poirot i Varg Veum, House miał niejednokrotnie za przeciwników innych, mniej utalentowanych lekarzy. Wszyscy wymienieni bohaterowie sami również miewali problemy z prawem ze względu na swoje niekonwencjonalne działania. House nie ma być jednak kopią Holmesa, a prób kopiowania sławnego bohatera przez innych pisarzy było wiele. Najbardziej znaną i udaną zarazem jest Herkules Poirot Agathy Christie. Autorka sama przyznała, że była fanką Holmesa, a jej bohater istnieje właśnie na zasadzie „przejęcia pałeczki” po Conan Doyle'u. W tym miejscu dochodzimy do bardzo ciekawego zjawiska. Dzisiaj, kiedy serialowy bohater zastąpił sławą nieco przestarzałego detektywa z fajką w ustach, twórca najnowszej wersji filmu

o Sherlocku Holmesie z zeszłego roku, Guy Richie, zatoczył swoiste koło w „przejmowaniu pałeczki”. Po przeszło dwustu filmach nakręconych o detektywie, po raz pierwszy zdarzyło się, że twórca filmu nawiązuje i momentami upodabnia go do innego bohatera. I tym bohaterem jest ten, który jest właśnie na Holmesie oparty, czyli doktor House (sic!). Dwieście filmów fabularnych i telewizyjnych zrealizowanych na podstawie książek Conan Doyle'a ostatecznie przekonało nas, że słynny detektyw był mocno dojrzałym, powściągliwym w gestach i emocjach dżentelmenem, który stosując niekonwencjonalne metody, rozwiązywał nawet najbardziej skomplikowane zagadki kryminalne. Dochodzimy więc do kolejnych podobieństw. Zarówno House, jak i Holmes muzykują (Anglik na skrzypcach, Amerykanin na gitarze) i lubują się w niekonwencjonalnych metodach (Holmes niegdyś bił kijem zwłoki, by przekonać się, czy po śmierci powstają siniaki, House również to robił). Obaj są też outsiderami i samotnikami, niewiele wiemy o ich rodzinach, nie utrzymują z nimi bliskiego kontaktu. W jednym z opowiadań Watson mówi: „W ciągu całej naszej długiej i bliskiej znajomości Sherlock Holmes nigdy nie wspominał o swojej rodzinie i bardzo rzadko o swojej własnej przeszłości. Ta skrytość jeszcze bardziej potęgowała wrażenie szczególnego zjawiska, jakie czasami na mnie wywierał, mózgu bez serca, człowieka tak dalece pozbawionego ludzkich uczuć, jak wyposażonego w wybitną inteligencję. Jego niechęć do kobiet i zawierania nowych przyjaźni były charakterystyczne dla jego obcej emocjom natury, ale nie bardziej, niż ta kompletna obojętność wobec więzów rodzinnych”⁸. Z Housem jest podobnie, w jedynym odcinku, w którym znajdujemy jego korzenie, House jedzie na pogrzeb swojego ojca, podczas którego ma wygłosić mowę pożegnalną. Nie chce tego robić, jednak zmuszony sytuacją w końcu ugina się i do zebranych ludzi, którzy przyszedli na pogrzeb

7 Tamże, s. 125.

8 *Grecki tłumacz*, [w:] A.C. Doyle, *Kroniki...*, s. 47.

szanowanego człowieka, mówi rzeczy, jakich nie powinno się wypowiadać o zmarłych, w myśl zasady: *de mortuis nihil nisi bene*⁹. Bohaterowie mają też swoje słabości – jeden jest uzależniony od leków, drugi od kokainy (a przecież i James Bond jest najwyraźniej uzależniony od alkoholu), obaj unikają uczuciowych relacji i mają tylko jednego przyjaciela (Wilson – Watson). W opowiadaniu *Pięć pestek pomarańczy* Holmes mówi do Watsona: „oprócz ciebie nie mam przyjaciół”¹⁰. I House’a, i Holmesa irytuje perspektywa ożenku ich towarzyszy (co ciekawe, aktor grający Jamesa Wilsona, przyjaciela House’a, uważa, że Watsonem House’a jest cała trójka jego pomocników). House to Holmes XXI wieku, Holmes Ritchiego to z kolei doktor House przeniesiony w epokę wiktoriańską. Zresztą w swojej brytyjsko-amerykańskiej produkcji Guy Ritchie jeszcze bardziej zbliżył londyńczyka do naszych czasów i do Ameryki. W jego produkcji brytyjska jest jedynie sceneria i literacki pierwowzór. Cała reszta to Ameryka z jej realizacyjnym rozmachem, muzyką Hansa Zimmera, szalonym tempem i gwałtownym montażem oraz popkulturowym dziedzictwem. W *Sherlocku Holmesie* niejedyn kinoman doszuka się nawiązań do *Piratów z Karaibów*, *Mrocznego rycerza*, *Ligii niezwykłych dżentelmenów*, *V jak Vendetta* czy *Fight Clubu*. Film Ritchiego jawi nam się więc jako *steampunk* (*steam* – para), doskonały przykład modnej ostatnio estetyki, a nawet pozy, która łączy popkulturowe pomysły, współczesne idee lokować w XIX wieku, nadając im przez to nieco romantycznego, wiktoriańskiego sznytu. W *Sherlocku Holmesie* według Guya Richie mamy również do czynienia z innymi nawiązaniem do House’a. House przez jakiś czas miał u siebie psa przyjaciela, który podkradał mu leki, Holmes i Watson mieli wspólnego psa, na którym Holmes wypróbował różne środki lecznicze. Poza tym House przez pewien czas miał mysz, na której również eksperymentował. House nie wierzy w Boga,

Holmes w magię, obaj są realistami, odrzucają sentymentalizm i obojgu zdarza się swoimi działaniami potwierdzić własną wiarę czy raczej jej brak. Obaj mają zamiłowanie do szybkich pojazdów – lekarz do motocykli, detektyw – na własne możliwości – do szybkich i odważnych powozów konnych (a przecież i James Bond uwielbia prędkość). Cała trójka ma również zamiłowanie do ryzyka. Inne podobieństwa to: duże poczucie humoru, wiek, brak żony i dzieci, umiejętność władania wieloma językami, schludny ubiór (choć w przypadku House’a nierzadko ekscentryczny), zamiłowanie do hazardu, a nawet zarost w stylu *five o'clock*. Żadnemu z bohaterów nie można również odmówić pewnej dozy szczęścia podczas dochodzenia do rozwiązywania zagadek. Zarówno House, jak i Holmes, nie kłamią, są wręcz zanadto szczerzy. Obaj nie śpią, póki nie rozwiążą problemu, przez co potrafią nie spać nieraz po kilkadziesiąt godzin i zajmują się wyłącznie ciekawymi i niecodziennymi sprawami, twierdzą też, że „proste sprawy mają trudne rozwiązania – trudne sprawy odwrotnie”. Wreszcie, obaj mają jedno miejsce, w którym spotykają się ze współpracownikami, aby omówić sprawę. Holmes ma swoje biuro, House – gabinet. Warto przy tym nadmienić, że obaj często rozmyślają nad zagadkami w samotności, chociaż zazwyczaj pomysły przychodzą im do głowy w towarzystwie. Podchodząc do porównania głównych bohaterów tej pracy, mamy do czynienia z jeszcze jedną, chociaż zapewne przypadkową ciekawostką. Podobieństwo nazwisk z pewnością nie jest przypadkowe, jeśli jednak zestawimy litery nazwisk obu bohaterów, otrzymamy trzy litery, które występują w jednym z nazwisk, ale nie znajdziemy ich w drugim. Te litery to M, U, L. *Mulceo* oznacza z łaciny leczyć. Jeśli podobnie postąpimy z nazwiskami ich towarzyszy – Watsona i Wilsona, otrzymamy litery T, A, I oraz L. *Tail* ma w języku angielskim wiele znaczeń, trzy z nich – tajniak, agent oraz frak, doskonale wpisują się w zagadnienia tej pracy.

9 łac. o zmarłych dobrze albo wcale.

10 *Pięć pestek pomarańczy*, [w:] A.C. Doyle, *Kroniki...*, s. 193.

Warto zauważyć nawiązania w postaci Gregory'ego House'a do innych bohaterów filmowych i literackich. W siódmym odcinku trzeciej serii House mówi: „*Quid pro quo Claris*” (co niestety nie jest tłumaczone w polskiej wersji językowej), jest to kwestia, jaką wypowiada Hannibal Lecter do Clarice Starling w *Milczeniu owiec*. W czwartym odcinku trzeciej serii dr House mówi: „ściągnąłem to z filmu o Bondzie”, w drugim odcinku trzeciej serii mówi o serialu *Z archiwum X*. W szesnastym odcinku drugiej serii porównuje zagadkę diagnostyczną do zagadki rodem z Agaty Christie. W siedemnastym odcinku trzeciej serii Gregory House pisze na tablicy odwróconymi literami *mirror syndrom*, podobnie jak Dany w *Lśnieniu* Stephena Kinga pisze na lustrze *redrum*, co w lustrzanym odbiciu odczytujemy jako *murder*. Wreszcie w pierwszym odcinku szóstej serii *Dra House'a* mamy do czynienia z szerokim nawiązaniem do *Lotu nad kukułczym gniazdem*, kiedy to House na skutek problemów z lekami trafia do szpitala psychiatrycznego i podobnie jak Randle Patrick McMurphy nosi czapkę, nawołuje do buntu, ma chwile zwątpienia, bierze udział w spotkaniach w grupach i ucieka z zakładu „na przejażdżkę” skradzionym samochodem.

Jak widać na przytoczonych przykładach, nawet w dziełach wybitnych w swoim gatunku, mimo iż są dziełami wsobnymi, w których nie trze-

ba doszukiwać się porównań czy nawiązań, żeby je docenić, bo same w sobie są produktem zamkniętym, doszukiwanie się podobieństw może być równie fascynujące jak samo śledzenie akcji, a podobieństwa mają oczywisty wpływ na produkowanie dzieła. Co więcej, dzięki takiej intelektualnej zabawie sami stajemy się detektywami i możemy w pewnym stopniu, chociaż w niewielkim, we własnym zakresie, przejąć wspomnianą na początku „pałeczkę”.

Bibliografia:

1. Nick Rennison, *Sherlock Holmes. Biografia nieautoryzowana*, Warszawa 2009.
2. Arthur Conan Doyle, *Przygody Sherlocka Holmesa*, Białystok 2009.
3. Arthur Conan Doyle, *Kroniki Sherlocka Holmesa*, Białystok 2009.
4. Arthur Conan Doyle, *Tragedia w Boscomb Valley*, Łódź 2004.
5. Arthur Conan Doyle, *Mumia zmarłychwstała*, Łódź 2004.
6. Arthur Conan Doyle, *Pies Baskervilleów*, Warszawa 2007.
7. Wilson Leah, *Dr House. Całkowicie bez autoryzacji*, Warszawa 2009.
8. Jacoby Henry, Irwin William, *Dr House i filozofia – wszyscy kłamią*, Gliwice 2009.
9. Anne Hart, *Herkules Poirot – życie i czasy: biografia według Agathy Christie*, Warszawa 2009.



Niektóre formy zastępcze czasopism literackich młodych w latach 40. i 50. XX wieku

Do literatury poprzez pismo literackie

Tak działo się np. z noblistką Wisławą Szymborską, która debiutowała na łamach krakowskiej „Walki”. Chcę przypomnieć, jak to było.

Jerzy Putrament z właściwą sobie zarozumiałością pisał: „Chociaż nie wyszły z tego żadne »Żagary«, to przecież mam z tej »Walki« pewną satysfakcję. To w niej debiutowała tak dobra poetka, jak Wisława Szymborska”.

Rzeczywiście. Tom *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny* notuje, że debiut urodzonej w 1923 roku poetki odbył się na łamach „Walki” wierszem *Szukam słowa*. Dla „Walki” było to ważne wydarzenie, albowiem z całej plejady publikujących na jej łamach autorów nazwisko Szymborskiej zajęło najtrwalsze miejsce w historii literatury. Debiut owiany jest atmosferą przygody, która zdaniem Adama Włodka mogłaby stanowić fabułę sensacyjnej nowelki.

Przygoda Szymborskiej z „Walką” rozpoczęła się bowiem od pozostawienia przez nią kilku wierszy Witoldowi Zechenterowi, który pracował wówczas w dziale kulturalnym „Dziennika Polskiego”. Zechenter, który już w czasie okupacji współpracował z młodymi pisarzami, przekazał

redaktorom powstającego wtedy dodatku te teksty. Jak wspomina Włodek: „wiersze te nie wyróżniały się niczym nadzwyczajnym”, dlatego trafiły do biurka. Dopiero dwukrotne interwencje Zechentera, który coś wypatrzył w tych „przeciętnych wprawkach rymotwórczych”, a także podsunął pomysł: „może coś wytniecie, skróćcie”, skłoniły Adama Włodka i Tadeusza Jęczalika do podjęcia prac redakcyjnych nad dwustronicowym maszynopisem wiersza *Jacy?*. Efektem tego bezceremonialnego postępków był trzydziestowersowy fragment, któremu nadano tytuł *Szukam słowa*.

Szymborska w swoim debiucie prasowym wprowadziła do włanej poezji dwa problemy: sytuacji egzystencjalnej człowieka i stosunku człowieka do historii. W gruncie rzeczy poszukiwania i rozterki lingwistyczne autorki sytuują jej bohatera lirycznego obok bohaterów wierszy Tadeusza Różewicza, jak *Lament* i *Ocalony*. Dylematy egzystencjalne, rozrachunek z historią, sprowadzone zostały w tej poezji do płaszczyzny osobistej, prywatnej. Zaobserwowany przez autorkę moment egzystencjalny w życiu człowieka to krawędź wojny i pokoju, czas przebudowy świadomości. Bezsilność w definiowaniu zbrodni

to jednak nie wyraz słabości, lecz raczej dążeń do swoistego, uniwersalnego uogólnienia.

Aby zakończyć przerwy na chwilę wątek anegdotyczny, trzeba powiedzieć, że nazajutrz po opublikowaniu w „redakcyjnej” wersji utworu pt. *Szukam słowa* pojawiła się jego „współautorka”, tak oto kwitując cały epizod: „ale myślę, że honorarium za ten wasz wiersz wypłacić jednak mnie”.

O roli „Walki” w swojej biografii literackiej po latach powie Szymborska na łamach „Dziennika Polskiego”: „Do dzisiaj jestem przekonana, że gdyby ta moja pierwsza próba skończyła się klęską, nie odważyłabym się już nigdy po raz drugi komukolwiek pokazać tych wierszy”.

Szymborska opublikowała w „Walce” jeszcze dwa wiersze. Są one literacką egzemplifikacją świadomości pokoleniowej grupy skupionej wokół „Walki”. A była to integracja sytuacyjna, której czynnikami stały się wojenne losy członków, ich doświadczenie i przyspieszona dojrzalność.

Wytwory poronne

Młodzi literaci zawsze chcieli mieć własne pismo. W opublikowanej na łamach „Nowej Kultury” z 24 lipca 1955 r. „Kolumnie Młodych” Anna Kamieńska we wprowadzeniu pt. *Przyszłość poezji* upomina się o czasopismo;

Krzywdząca jest jeszcze jedna sprawa – niestanny brak miejsca dla druku wierszy nie tylko młodych poetów, miejsca dla rzeczowej dyskusji nad sprawami poezji w ogóle, ponieważ nie bardzo obchodzą one nasze czasopisma literackie. Potrzebne jest pismo poetów, które byłoby jednocześnie bazą dla rozwoju młodych talentów poetyckich. O potrzebie takiego pisma mówi się niustannie w warszawskim środowisku poetów. Czas postawić te sprawy ostro na zewnątrz, zwłaszcza, że pismo takie, winni jesteśmy także młodym.

Postulaty, upominanie się i zabiegi o pismo młodych, w kolejnych etapach rozwoju naszej literatury nie zawsze przynosiły efekty. Dlatego

obok czasopism literackich, posiadających takie cechy jak: periodyczność i aktualność, przedsięwzięcia wydawnicze młodzieży literackiej obejmowały również: numery młodych (np. w „Kuźnicy” z 17.12.1946), kolumny młodych (np. w „Nowej Kulturze” z 24.07.1955), efemerydy (np. „Głos Nieborowa”, „Helikon”, „Gontyna”), almanachy literackie i antologie. Dla pełniejszej egzemplifikacji omówimy teraz niektóre z nich.

Numery młodych

17 grudnia 1946 roku w „Kuźnicy” pojawił się tzw. numer młodych. Otwierał go swym komentarzem Stefan Żółkiewski. Ten sam, który jeszcze w marcu 1946 roku oskarżał młodych w swym *Pamflecie...* o bezprogramowość i brak ideowości:

Wszystkie następne kolumny poświęcone są młodym, zbliżonym do „Kuźnicy”. Nazwiska niektórych z nich znane są czytelnikom pisma. Wszyscy reprezentują najmłodsze pokolenie piszących – pokolenie dwudziestolatek. Zespół ten, skupiony na łamach „Kuźnicy” – to właściwie znakomita większość piszącej młodzieży w Polsce.

W numerze prezentowano teksty m.in.: Jerzego Piórkowskiego, Bohdana Czeszki, Tadeusza Borowskiego, Lecha Budreckiego, Wiktora Woroszyńskiego i innych. Przyglądając się tej liście, dostrzegamy jej zbieżność z listą autorów ukazującego się wówczas dwutygodnika „Pokolenie”. Znajdujemy wśród nich przedstawicieli tzw. grupy łódzkiej, grupy warszawskiej, a wśród tych obydwu, pomniejszych liderów tzw. pokolenia „pryszczatych”. Zacytujemy dalszy ciąg wstępu Żółkiewskiego:

Pisarze ci – jak to zwykle ludzie jednego pokolenia, powiązani są wielorako ze sobą, nie stanowią dziś żadnej określonej grupy literackiej. Są jednak na wspólnej drodze poszukiwań, na drodze, która wiedzie w tym samym kierunku. Aby uwydatnić im ten kierunek poszukiwań młodej polskiej literatury, umożliwiamy im zbiorowe zabranie głosu.

Autor w dalszej części wypowiedzi dość gwałtownie oskarżał o spychanie na manowce młodzieży przez szereg organizacji z czasów okupacji, m.in. „Sztukę i Naród”, AK, „Kuźnię Młodych”, a także łączył wystąpienie młodych w „Kuźnicy” z przystąpieniem do postępowego Obozu Wielkiej Reformy.

Ta życiowa decyzja młodych – pisze Żółkiewski – ma na razie charakter bardziej ideowy, niż artystyczny, lecz jest to istotny postęp w myśleniu młodych, jest to krok ku „literaturze politycznej” czynnej na rzecz postępu.

W zasadzie zgodny z wprowadzającym artykułem redaktora naczelnego „Kuźnicy” był artykuł – referat Hanny Kulągowskiej pt. *Oblicze współczesnej młodzieży*. Autorka była przedstawicielką młodej generacji pisarskiej, związana z „grupą łódzką”, jednakże w swym artykule nie broniła ona młodych, a jedynie wskazała „jak nabrzmiałe jest zagadnienie młodzieży”. Przytaczając kolejne głosy w kampanii prasowej na temat młodzieży (m.in. S. Żółkiewskiego, K. Koźniewskiego, J. Żuławskiego, J. Wielunia), wskazywała na zróżnicowanie stanowisk w tej sprawie, poczynawszy od *Pamfletu... Żółkiewskiego*, który miał wydźwięk pesymistyczny i zaczepno-prowokacyjny, do głosu Romana Bratnego. Ten ostatni pisał: „Ta młodzież, perypetiami politycznymi naszego akowskiego środowiska wyrzucona na emigrację wewnętrzną, dziś gotowa już do powrotu”. Inaczej mówiąc, są to ludzie „czekający na transport”. Artykuł H. Kulągowskiej stawiał na rozbudzenie aspiracji młodzieży. Autorka postulowała: „Musi ona wpływać na kształtowanie się myśli kraju poprzez udział w dyskusjach o zasięgu ogólnopolskim, przez częstsze wypowiadanie swego zdania, poprzez zerwanie z indyferentyzmem społecznym”.

W „numerze młodych” znalazły się też próby literackie tzw. młodych. Z dzisiejszej perspektywy najważniejszą była publikacja opowiadania Tadeusza Borowskiego *Bitwa pod Grunwaldem*, którym pisarz dopełniał tematykę swojej okupa-

cyjnej i obozowej prozy; studium zachowania się człowieka po wojnie, w tzw. obozach dla dipisów. Szczególne miejsce zajęły też dwa opowiadania: B. Czeszki i J. Piórkowskiego. Wśród prezentacji publicznych zwracają uwagę dwa teksty. L. Budrecki pisał o „książkach swojego pokolenia”, recenzując *Ślad* R. Bratnego i *Śmiertelnych bohaterów* W. Zalewskiego; T. Borowski zaś – znany już wówczas z krytycznej postawy wobec moralistyki wojennej pisarzy katolickich po ogłoszeniu w „Pokoleniu” recenzji *Alicji w krainie czarów* – dość paszkwilancko ocenił powieść J. Dobraczyńskiego *W rozwalonym domu*.

„Numer młodych” przyniósł też wiersze: M. Castellatti, M. Buczkówny, R. Kamińskiego, H. Jaworskiej, J. Bocheńskiego, T. Sokoła, T. Kubiaka, K. Gruszczyńskiego, A. Poganowskiej, S. Marcza-Oborskiego, A. Kamińskiej, A. Brauna, J.E. Millera, W. Woroszyńskiego i E. Fiszer.

Ukazanie się „numeru młodych” świadczy o tym, iż w 1946 roku „Kuźnica” – jak pisze Koźniewski – „była urzeczeniem i odniesieniem »przyszłych«.

Ocenie omawianego „numeru młodych” poświęcony był odcinek „Wśród czasopism” w tygodniku „Odra”.

Najbardziej polemicznie odebrany został z tego wydania artykuł wstępny Żółkiewskiego. Stwierdzenie, iż „Kuźnica” jako pismo Obozu Wielkiej Reformy potrafiła „skupić jednolitą, liczną i dobrze się zapowiadającą grupę młodzieży literackiej, gdyż ideologia tego pisma okazała się dla tej młodzieży najbardziej bliska”, potraktował autor noty jako naciąganie. Oburzał się on na fakt, iż „Kuźnica” chciała gwałtem szeregować literatów według klucza partyjnego. Sam przecież Żółkiewski zarzucał literatom, którzy zabierają głos na łamach pisma, że „nie są związani organizacyjnie z ośrodkami politycznymi”.

11 kwietnia 1954 roku redakcja „Nowej Kultury” wydała tzw. numer młodych, nawiązujący do wydania „kuźnicowego” z 1946 roku, ale tylko formalnie. Artystycznie dzieli te wydania duża przepaść. Zawartość numeru była typowa: próby poetyckie, prozatorskie, listy do redakcji i recenzje.

W „Kuźnicy” był komentarz Żółkiewskiego, w „Nowej Kulturze” artykuł *Młodzi* podpisany przez redakcję.

Tezy redakcji w stosunku do literatury młodych były następujące:

W stosunku do wielkiej fali debiutów powojennych, ostatnie lata nie przyniosły ich tak wiele. Nasza dzisiejsza młodzież literacka wywodzi się w większości ze środowiska chłopskiego i robotniczego, a w stopniu znacznie mniejszym – inteligenckiego.

Absolutna większość prób literackich zarówno prozy jak i poezji przychodzi do redakcji od uczącej się i studiującej młodzieży robotniczo-chłopskiej. Młodzież szkolna, a zwłaszcza wiejska odseparowawszy się przez szkołę od swego środowiska, przestaje często dostrzegać walkę i w życiu ogólnym, i w szkole, gdzie przecież walka ta w przeróżnych sprawach się przejawia.

Mało czytają. Zbyt mało jak na przyszłych pisarzy. Nie znają klasycznych dzieł prozy i poezji. Literatura wydaje im się łatwą formą służenia społeczeństwu.

Akademizm i konwencjonalizm – oto niebezpieczeństwa, które nam grożą z tej strony.

Deklaratywizm młodych wynika jakże często z a-intelektualizmu, z powierzchownego traktowania materii życia, przy zapominaniu o tym, że pisarz ma obowiązek myśleć, a więc stawiać problemy.

Realistyczne nastawienie cechuje próby literackie młodych. Metafora jest ich słabą stroną zarówno w poezji jak i w prozie.

Zważywszy na rok, w którym ukazał się „numer młodych”, komentarz redakcji oceniający literaturę młodych przystawał do ocen, jakie otrzymywał wówczas socrealizm, a tym samym „pryszczaci”. Nieśmiało jeszcze wskazania na deklaratywność i łatwiznę tej literatury próbowały korygować nowe programy.

Po diagnozie przyszła więc kolej na ukierunkowanie. Pisano, że:

1. Literaturę należy traktować jako sztukę trudną, jaką jest – i odpowiedzialną – jaką jest. Nie należy brać się na łatwiznę gotowych tematów i doraźnych, źle pojętych zamówień.

2. Należy walczyć z tematami, nie pisać o wszystkim co „podleci”, ale myśleć samodzielnie.

3. Nie trzeba bać się siebie. Trzeba pisać o sobie, o tym co się przeżywa i co się myśli. Czytelnik odrzuca rzecz, w której nie widzi twarzy autora. Odrzuca ją jako a-humanistyczną. [...]

„Numer młodych” wydany przez „Nową Kulturę” zawierał również uwagi o pracy i zadaniach Kół Młodych, będących w tym czasie formą zorganizowania literatów. Maria Kurecka w liście *Do kolegi z Koła Młodych* pisała o formalistycznych tendencjach w pracy tej organizacji, a także o złych skutkach procesu centralizacji.

Janina Dziarnowska w artykule *Pierwsze utwory* wskazywała na odpowiedzialność, jaką ponosi pisarz-opiekun Koła Młodych podczas pierwszego krytycznego kontaktu z literackim kandydatem. Nawiązywała też do zagadnienia autentyczności w poezji, tj. roli emocjonalnego czynnika w decyzjach tematycznych. Pisała wprost: „Szczerość, potrzeba oddania własnych wzruszeń zupełnie nieraz odległych od zamierzonego tematu przebijają się jak źródło przez grubą skorupę ziemi”.

Zamieszczono też listy do redakcji będące efektem dyskusji o młodzieży zapoczątkowanej przez redakcję.

Wydanie „Nowej Kultury”, o którym tu piszemy, nie miało takiej rangi, jak kuźnicowy „numer młodych”. Świadczy o tym lista autorów prób literackich. Przypomnijmy: poezja – Leszek Mech, Jerzy Feliksiak (Łódź), Czesław Białowas (Wrocław), Eugeniusz Biedka (Warszawa); autorzy kolumny *Siedem wierszy* – Ryszard Hoszowski (Warszawa), Edward Berenstein (Poznań), Bogusław Wojnar (Warszawa), Ludwik Kamiński (Szczecin), Maria Dybowska (Warszawa), Janusz Srokowski (Warszawa), Janusz Laskowski (Warszawa); proza – Piotr Ćwik, Stanisław Wiesław Wiechno, Lech Emfazy Stefański.

Lepiej przedstawiał się dział recenzji. Trzy z nich wypełniły kolumnę *Wśród debiutów poetyckich*. Anna Kamieńska omawiała *Wiersze gdańskie* Zbigniewa Szymańskiego, Ryszard Matuszewski – tomik Tadeusza Nowaka *Uczę się mówić*, Tadeusz Drewnowski – tomik Bogusława Koguta *Dom ocalony*. Dwie dotyczyły prozy: Wacław Sadkowski pisał o książce Ryszarda Kłysia *Ostatnie słowo ma człowiek*, Józef Styczeń – o książkach Klemensa Oleksika *Powołanie Daniela* i Natalii Rolleczek *Drewniany różaniec*.

Kolumny młodych

W numerze 5. z 1955 roku redakcja „Nowej Kultury” ponownie udostępniła łamy młodym. Tym razem bez żadnego komentarza, z nagłówkiem *Kolumna młodych*. Numer ten wydany był z okazji II Zjazdu ZMP. Wiersze drukowali: Jerzy Harasymowicz, Andrzej Brycht, Lech Grabowski, Krzysztof Klinger, Wanda Trąpczyńska, Ludmiła Mariańska, Jerzy Feliksiak, Jan Zych, Bożena Grabowska, Janusz Koniusz. Autorami opowiadań byli: Bolesław Jagielski, Barbara Rewkiewicz-Sadowska, Tadeusz Strumff.

W numerze 30. z dnia 24.07.1955 r. w „Nowej Kulturze” ukazała się znów *Kolumna młodych* wydana jako „głos młodej poezji polskiej na światowy festiwal młodzieży”. Chodziło o V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Warszawie. Otwierał ją artykuł Anny Kamieńskiej *Przyszłość poezji*, napisany w konwencji nieśmiałej rewizji poglądów na literaturę, jakie proponował Zjazd Szczeciński. Autorka domagała się „pogłębienia liryki w stosunku do oficjalności poprzednich [...] kolumn”. Traktowała publikowaną poezję młodych jako efekt rozluźnienia swobody twórczej. Pisała:

Młodzi poeci zaczynają widzieć świat w szczegółach tworzących obraz rzeczywistości i odkrywają, że nie jest on taki prosty. Aby dotrzeć do niego, aby go wyrazić, nie wystarczy go po prostu po reportersku zarejestrować.

Autorzy, których wiersze drukowano w tym wydaniu, to: Zbigniew Herbert, Roman Łoboda, Czesław Białowąs, Małgorzata Hillar, Zdzisław Jerzy Bolek, Jarosław Marek Rymkiewicz, Jan Himilbsbach, Janusz Laskowski, Maria Szypowska, Jerzy Harasymowicz, Józef Ratajczak, Andrzej Bursa, Bożena Grabowska, Janusz Koniusz.

Podobną, lecz chyba ważniejszą ze względu na procesy przemian w literaturze kolumnę zamieściło w grudniu 1955 roku „Życie Literackie” (nr 51-52). Drukowano tam pięciu poetów wprowadzanych przez pięciu krytyków: Jan Błoński wprowadzał Zbigniewa Herberta, Artur Sandauer pisał o Mironie Białoszewskim, Julian Przyboś rekomendował Bohdana Drozdowskiego, Mieczysław Jastrun – Jerzego Harasymowicza, a Ludwik Flaszen – Stanisława Czycza.

Kolumna ta spowodowała dyskusję na łamach pierwszych pięciu numerów „Życia” w roku 1956. Zabierali w niej głos: Jerzy Hordyński, Stanisław Stanuch, Włodzimierz Maciąg, Władysław Machajek, Jerzy Kwiatkowski i Henryk Markiewicz. W 1. numerze „Życia Literackiego” z 1956 roku Krzysztof Teodor Toeplitz zamieścił głośny artykuł *Pamflet na najmłodszą poezję polską*.

Efemerydy

Jedną z pierwszych efemeryd była „Gontyna”, zapowiadana jako miesięcznik. Wydano tylko jeden numer w grudniu 1944 w Lublinie. Było to wydawnictwo młodych. Podtytuł brzmiał: *Literatura. Teatr. Malarstwo. Muzyka*. Szokował, jak na tamte czasy, bibliofilską szatą edytorską. Pismo spotkało się z krytyką, która dotyczyła osoby redaktora naczelnego Cynii Tatrowid, a konkretnie jej przeszłości. „Głos Ludu” z 7.01.1945 r. oskarżył ją „o współpracę z gadzinową prasą hitlerowską”.

Zjazd w Nieborowie, o którym pisaliśmy wcześniej, był również ciekawy dlatego, że młodzi pisarze wydawali tu gazetkę ścienną pt. „Głos Nieborowa”, redagowaną przez „grupę warszawską”.

Redakcja mieściła się początkowo w tzw. celi nr 2, gdzie mieszkała poważna część jego redaktorów,

a później w kancelarii Muzeum. Było to pismo wydawane w pierwszych dniach w warunkach atramentem opłakanych i prymitywnych, zaś nieco później wystukiwane na maszynie. Zależnie od doraźnych potrzeb nosiło różne nazwy, niemniej zasadnicza brzmiała – „Głos Nieborowa”. Organ ten stał się krzywym zwierciadłem wydarzeń nieborowskich, ujętych w aurę specyficznego komizmu sytuacyjnego.

Trzeci numer tego periodyku ukazał się 13 stycznia 1948 r. pod redakcją naczelną R. Bratnego z udziałem L. Bartelskiego, T. Borowskiego, K. Gruszczyńskiego, T. Konwickiego, S. Marczaka-Oborskiego, J. Piórkowskiego, W. Woroszyńskiego, S. Ziembickiego. Dział kobiecy redagowały Helena Jaworska i Wisława Szymborska.

„Helikon” jest nowym przykładem jednodniówki literackiej, której redaktorzy mieli ambicję zainicjować wydawanie czasopisma młodych. Poświadczą to notatka redakcyjna w dziale *Varia*, w której pisano:

Redakcja czyni starania, aby „Helikon” ukazywał się regularnie, jako czasopismo literackie zawierające utwory młodych poetów i pisarzy. Staramy się zwiększyć jego objętość o nowe działy.

Jednakże „Helikon” nie ukazał się więcej. Wydanie, datowane na 3 grudnia 1956 r., jedynie z czasem nabrało znaczenia niemalże historycznego dla dziejów formacji Orientacja Poetycka „Hybrydy”, której stało się forpoczta wydawnicza. Wydawcą „Helikonu” była organizacja studencka – ZSP, a ośmiostronicowe pismo redagowali: Jerzy Czarnecki, Jacek Głazewski, Jerzy Włodzimierz Leszin, Edward Stachura, Jerzy Żelazny.

„Helikon”, choć uważany za początek działań wydawniczych ruchu poetyckiego lat sześćdziesiątych, w rzeczywistości swoją zawartością niczym nie różnił się od wydawnictw roku 1956. Potwierdzeniem mogą być treści artykułu wstępnego. Zawarto w nim przede wszystkim krytykę socrealistycznego modelu literatury i roli wyznaczonej pisarzowi. Pisano:



Zamiast o herezję można było postawić w stan oskarżenia za nie dość żarliwą lewomyślność [...]. Swobodę pisania mieliśmy pojmować jako prawo układania napisów na transparentach [...]. Ucieczka w milczenie była luksusem wzbudzającym podejrzliwość czytelników.

Po – zupełnie rozumiałej – rewizji poglądów poprzedników następowało samookreślenie, niczym w swej poetyce nieodbiegające od manifestów zawartych np. we „Współczesności” (*Zamiast manifestu*) czy „Wybojach” (*Rewolucja trwa*):

Jesteśmy młodzi. Chcemy tworzyć. Chcemy także by nasza twórczość istotnie trafiła do ludu, lecz wiemy, że droga do ludu prowadzi przez człowieka.

Po eksplikacji czynnika werystycznego znów autorzy powracali do negacji programów kulturotwórczych poprzedników:

Dlatego – pisano – pozostaniemy głusi na wszelkie, nawet najdonośniejsze komendy. Artysta – świadomy swojej wysokiej godności i rangi nie stanie się wężem prostującym się na dźwięk fujarki i fakira.

W manifeście programowym znajdujemy też świadomość więzi grupowej: „Jesteśmy grupą poetycką, która pragnie w swej twórczości

odzwierciedlać prawdę obecnej epoki, gorący i niespokojny rytm naszej epoki”. Obok manifestu, podobnie zresztą jak np. w „Inaczej”, „Helikon” zawierał teksty poetyckie, także pozostające w związku treściowym z przełomem 1956 roku, np. *Poemat o Poznaniu* Jacka Głazewskiego, wiersze Janusza Żernickiego i Jerzego Włodzimierza Leszina. W atmosferze rozrachunkowej tkwi też fragment prozatorski Jerzego Żelaznego pt. *Adam, dlaczego...?* – jest to studium przemysleń młodej zetempówki, utwór tkwiący w atmosferze *Cmentarza* Marka Hłaski.

„Helikon” nie dokonał z pewnością przełomu artystycznego w literaturze 1956 roku. Redagowany przez Klub Młodych Twórców Literackich przy UMK w Toruniu zaznaczył obecność tworzącego się środowiska literackiego. Dodać należy, że część autorów redagujących jednodniówkę przystąpi do kolejnej inicjatywy wydawniczej, jaką był dodatek do „Współczesności” zatytułowany „Młode Pomorze” (nr 8/57 i 13/58).

Te opisywane epizody z życia literackiego mają za zadanie uzasadnienie mechanizmu literackiego debiutu. Późniejsze przykłady powstawania literackich pism młodych („Pokolenie”, „Nurt”, „Współczesność”, „Po prostu”, „Czarno na Białym”, „Orientacje”, „Widzenia”, „Nowy Wyrz” i wiele innych) zaświadcza o potrzebie ich istnienia u progu literackiego debiutu.

RECENZJE I OMÓWIENIA



NASZA KLASA – UMARŁA KLASA. O pamięci według Tadeusza Słobodzianka

Tadeusz Słobodzianek, *Nasza klasa. Historia w XIV lekcjach, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2009, 112 s.*

Po raz pierwszy w czternastoletniej historii Nike, najbardziej prestiżowej, polskiej nagrody literackiej, zwyciężył dramat. Laur otrzymał Tadeusz Słobodzianek za książkę *Nasza klasa*, utwór pełen intertekstualnych odniesień. Sam autor dramatu przyznawał się do literackich i filmowych inspiracji. Tytuł odsyła nas do wybitnego spektaklu Tadeusza Kantora *Umarła klasa*. Decydujący wpływ na napisanie tekstu miały książki: historiograficzna Jana Tomasa Grossa *Sąsiedzi* oraz wspomnieniowa Anny Bikont *My z Jedwabnego*.

Dramat, którego akcja jest rozpisana na XIV lekcji, rozpoczyna się od piosenki *Ćwierkają wróbelki*. Poznajmy po kolei bohaterów utworu – uczniów deklarujących, kim będą w przyszłości: Abram szewcem, Heniek strażakiem, Rachelka lekarką itd. W klasie wspólnie uczą się Polacy i Żydzi, razem przygotowują akademie, śpiewają piosenki, mówią wierszyki. Jest druga połowa lat 30.

Każda kolejna „lekcja” naznaczona jest antysemityzmem, który podlega stopniowej gradacji. Zasygnalizowane są, częste w międzywojniu,

„getta ławkowe”: „Koleżanki i koledzy, zgodnie z rozporządzeniem Pana Ministra Oświaty, chciałbym, abyśmy zmówili modlitwę katolicką, w związku z czym proszę kolegów Żydów i koleżanki Żydóweczki o przeniesienie się do ostatnich rzędów” (s. 17). Wkrótce zaczynają się bójki. Najpierw Heniek krzyknie: „Żydzi na Madagaskar!” i odtąd groza oraz agresja będą już tylko narastać. Wraz z nadejściem dorosłości zgodne zabawy się skończą. Zauważalna jest polaryzacja: jasne w swoich zasadach dzieciństwo i skażona złem dorosłość. Wybuch wojna, do miasteczka wkracza najpierw radziecki, a potem niemiecki okupant. Najpierw oskarżony o rzekome szpiegostwo na rzecz NKWD Jakub Kac zostaje zamordowany przed furką własnego domu przez Heńka, Ryśka i Zygmunta – dawnych polskich kolegów z klasy. Następnie ta sama trójka gwałci żonę Menachema – Dorę. Czas odwróconego dekalogu w prostej linii prowadzi do zbrodni. W Jedwabnem. Chociaż ta nazwa nie pada ani razu w utworze, bez wątplenia chodzi właśnie o tę tragedię – wszyscy Żydzi z miasteczka zostają spaleni w stodole; jeden z bohaterów utworu wykrzykuje: „Boże! Tysiąc sześćset dzieci, kobiet, starców...” (s. 46). Rysiek zostaje zamordowany przez swojego szkolnego kolegę Władka za to, że jako niemiecki szpicel chciał wywieźć jego żonę Mariannę (dawniej Rachelkę, która wyszła za mąż, by nie podzielić losów swoich żydowskich sióstr i braci) do getta. Po wojnie Heniek zostaje księdzem, Zygmunt prowadzi spokojne życie do czasu, kiedy po obu przychodzą funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Menachem, jako oficer UB, prowadzi przeciwko nim śledztwo w sprawie zabicia Żydów. Przede wszystkim domaga się sprawiedliwości za zgwałcenie i zamordowanie żony. Tutaj pojawia się okrutny chichot historii – Menachem, dawniej ofiara, a teraz oprawca Heńka i Zygmunta, torturuje ich, traktuje w sposób nieludzki; następuje odwrócenie ról – ofiara stała się katem, kat – ofiarą. Po śmierci Józefa Stalina w 1953 roku Menachem zostaje aresztowany i oskarżony o brutalne metody śledztwa (s. 80), ma do wyboru: albo odsiedzi 10-letni wyrok, albo

wyemigruje do Izraela; z kolei Zygmunt jest świadkiem na procesie Menachema i w 1956 roku wstępuje do PZPR (s. 81). W momencie kiedy jeden przestaje służyć systemowi komunistycznemu, drugi zaczyna, i obaj stają się takimi samymi trybikami w maszynerii autorytarnego ustroju oraz jego ofiarami, tak jak wcześniej Zygmunt służył niemieckiej okupacji, będąc katem dla Menachema.

Zasygnalizowany już intertekst pojawiający się w tytule utworu każe nam dostrzec dialog z *Umarłą klasą*. W arcyznakomitym spektaklu Tadeusza Kantora zmarli wracają na swoje miejsca, w takt Walca Francois, do szkolnych ławek, które zajmują manekiny chłopców i dziewcząt. Umarli siadają obok samych siebie. Tytułowa klasa jest przywołaną z przeszłości i wywołaną pamięcią przez wodzireja sztuki, którym jest Kantor, maturalną klasą polsko-żydowską z galicyjskiego gimnazjum, z miasteczka w Austro-Węgrzech, w przededniu wybuchu I wojny światowej. Wtedy uczniowie, a teraz duchy za sprawą Kantora usiłują wyrwać się z niepamięci. *Nasza klasa* wchodzi w polemikę, a może nawet nie tyle polemikę, co dialog z *Umarłą klasą*. Celnie ujął to prof. Leonard Neuger:

Obsesyjnie powracające w koszmarach sennych – zawsze obecne na scenie Kantora – upiory kolegów z klasy, ofiar Zagłady, są czasem historycznym, czasem melancholijnym sygnałem bezpowrotnej utraty. U Słobodzianka jest odwrotnie: to są upiory, których najchętniej chcielibyśmy się pozbyć. Utrata byłaby błogosławieństwem, które zostało nam odmówione. (Dostęp w internecie:

<http://tygodnik.onet.pl/33,0,49334,3,artykul.html>
6.12.2010)

Autor *Snu pluskwy* nie kłóci się z Kantorem, wybiera raczej inną optykę, która musi być inna, ponieważ umiejscowił akcję *Naszej klasy* w odmienniejszym niż w *Umarłej klasie* przestrzeni historycznej. Specyfika dwudziestolecia i hekatomba II wojny postawiły odrębne problemy niż czasy sprzed I wojny. Tym, co niewątpliwie łączy obie sztuki, jest wołanie o pamięć na przekór niepamięci

(Kantor) oraz wpychaniu w niepamięć (Słobodzianek). Owo spoiwo gwarantuje ponadczasowość obu tekstom. I w jednym, i w drugim utworze głos mają zmarli, upiory. W *Naszej klasie* relacjonują oni wydarzenia, przedstawiają często odmienne perspektywy – polską i żydowską.

Słobodzianek rozprawia się z polskim narodowym mitem, wedle którego to zawsze nam zadawano cierpienie, a my jedynie pozostawaliśmy ofiarami. Niestety, także Polacy przysporzyli krzywd innym narodom, w tym wypadku Żydom. Nikt nie umniejsza ani tym bardziej nie relatywizuje zasług. Znane są dzieje Żegoty i bohaterskiego ratowania (przy narażeniu życia) Izraelitów przez Polaków w czasach II wojny światowej. Jednak żaden naród nie jest jednolity. Polacy nieśli życie i ocalenie Żydom i Polacy pomordowali Żydów w Jedwabnem. Historia, wielka ironistka, była i jest przewrotna, co zostało już zasygnalizowane powyżej. Warto przywołać fakt samego powstania w getcie warszawskim w 1943 roku. Jedni Polacy przerzucali broń za mury getta i wspierali walczących Żydów, inni, gdy płonęło getto, bawili się na pobliskiej karuzeli, co opisał Czesław Miłosz we wstrząsającym wierszu *Campo di Fiori*.

Dramat *Słobodzianka*, podobnie jak proza Nadine Gordimer i Herty Müller, poezja Czesława Miłosza i Dereka Walcotta, malarstwo Francisca Goi i Eugène'a Delacroix, jest sztuką głęboko narodową i zarazem uniwersalną. Dotyka problematyki konkretnego społeczeństwa, ale sztuka autora powoduje, że poruszane zagadnienia stają się powszechne. Kwestie takie jak wina, odpowiedzialność, zbrodnia, niezawinione cierpienie, dwoistość natury ludzkiej zawsze były i będą tematami ogólnoludzkimi. Niech dowodem na uniwersalność tej sztuki będzie fakt, że jej premiera teatralna odbyła się najpierw w Londynie (gdzie została bardzo pozytywnie przyjęta), a dopiero później w Warszawie. Przewodnicząca jury nagrody Nike, prof. Grażyna Borkowska podkreśliła, że laur dla *Słobodzianka* został przyznany

[...] nie za odwagę podjęcia trudnego tematu, w którym zbrodnia rozkłada się na tych, którzy

ją popełnili, ale i na tych, którzy byli świadkami, na tych, którzy widzieli i milczeli, i na tych, którzy nie chcieli widzieć, wiedzieć i pamiętać. Nagradzamy go za sposób, w jaki o tym mówi, za formę dramatu, który w sposób wstrząsająco prosty, a jednocześnie niesłychanie przemysłany, kreśli historię katów i ofiar, morderców i mordowanych.

(Dostęp w internecie:

<http://prospere.e-teatr.pl/aktualnosc.php?id=316>
6.12.2010)

Dramaturg nie popada w prostą ideologię, publicystykę, politykę czy moralizatorstwo, dokonuje dokładnej wiwisekcji nienawiści, stara się pytać o jej źródła. Jak możliwym stało się, by koledzy i koleżanki z jednej klasy zaczęli mordować się nawzajem? Dlaczego inność kulturowo-narodowa stała się powodem zabójstwa? Przede wszystkim jednak *Słobodzianek* pyta o miejsce ofiar w naszej pamięci, a dokładniej zmusza nas, byśmy sobie to pytanie postawili. Oto widzimy, jak inna narodowość i religia stają się przyczyną stygmatyzowania jednostki, czemu szczególnie sprzyja czas wojny. Antysemickie błyski, które pojawiały się w dziecięcej klasie (*vide* przywołane powyżej getto ławkowe), stawały się elementami wolno powstającego fortu wrogości. Nazistowska okupacja okazała się katalizatorem narastającej, podświadomej nienawiści, która:

Nie jest jak inne uczucia.

Starsza i młodsza od nich równocześnie.

Sama rodzi przyczyny, które ją budzą do życia.

Jeśli zasypia, to nigdy snem wiecznym.

Religia nie religia –

byle przykleknąc na starcie.

Ojczyzna nie ojczyzna –

byle się zerwać do biegu.

Niezła i sprawiedliwość na początek.

Potem już pędzi sama.

Nienawiść. Nienawiść.

Twarz jej wykrzywia grymas

ekstazy miłosnej.

(Wisława Szymborska, *Nienawiść*)

Autorowi *Naszej klasy* udało się coś bardzo wyjątkowego – poruszył temat bolesny, ale zrobił to z najwyższą artystyczną wrażliwością, dokonał rozrachunku, nie stosując ideologicznych chwytów czy jadowitych oskarżeń. Jego dramat dołączył tym samym do grona wielkich, polskich utworów rozrachunkowych, takich jak *Dziady* Adama Mickiewicza, *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego,

Przedwiośnie Stefana Żeromskiego, *Granica* Zofii Nałkowskiej czy *Trans-Atlantyk* Witolda Gombrowicza. Tak długo, jak polska kultura będzie miała równie zdecydowane i odważne głosy jak ten Tadeusza Słobodzianka, nie grozi nam zapadnięcie w narodową amnezję czy megalomanię.

Jakub Rawski

Nie do końca magiczna magia

Cristina López Barrio, *Ogród wiecznej wiosny*, Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2010, 344 s.

Czy bardziej cierpi ten, kto czeka zawsze,
czy ten, kto nigdy nie czekał nikogo?

Pablo Neruda, *Księga pytań*, XLII

Książka *Ogród wiecznej wiosny* hiszpańskiej pisarki Cristiny López Barrio to wielopokoleniowa saga, opowiadająca tragiczne dzieje pięciu kolejnych członków rodziny Laguna. Według legendy, nad rodem tym ciąży klątwa – wszystkie jego przedstawicielki są skazane na nieszczęśliwą miłość i samotne macierzyństwo, a ich życie ma być od samego początku do końca naznaczone cierpieniem.

Każda z kobiet ukazanych w powieści reprezentuje zupełnie inny typ podejścia do klątwy. Złotooka Clara, aby zemścić się na niewiernym kochanku za porzucenie (a na sobie samej za naiwność), staje się kobietą lekkich obyczajów, cały swój czas i energię poświęcając tworzeniu najlepszego w okolicy domu schadzek. Kolejna z rodu Laguna, Manuela, wychowywana przez niepotrafiącą nawet porządnie się wystawić kucharkę, nie ma skąd czerpać pozytywnych wzorców. Wzrastająca bez krzty zainteresowania ze strony matki, w cieniu jej „interesu”, ucieka do Galicji, w kierunku swej największej miłości – oceanu. Wraca po pewnym czasie z córką, której nadaje znaczące imię Olvido (chcąc na zawsze

wymazać z pamięci moment, w którym dziecko zostało poczęte?), po śmierci Clary zaś staje się despotyczną matką, największą przyjemność znajdującą w uprzykrzaniu życia bezbronnej, dorastającej dziewczynce i bezlitosnym zarzynaniu – także bezbronnych – kogutów. Równocześnie przybiera pozę największej dewotki w miasteczku i przeznacza sporą część fortuny (jaką przez lata zbiła na swoim miłosnym interesie Clara Laguna) na różnego rodzaju zbożne cele, chcąc w ten sposób chociaż trochę zatrzeć piętno hańby, jakie odcisnęło na całej rodzinie niemoralne prowadzenie się matki. Jednak młodość, wspomagana dodatkowo przez działanie wciąż żywej klątwy, rządzi się swoimi prawami i nastoletnia Olvido wymyka się czujnym oczom matki, by wraz ze szkolnym kolegą, Estebánem, odkrywać sekrety pierwszej miłości. Wściekła Manuela przyczynia się do śmierci kochanka dziewczyny, co przelewa przysłówiową czarę goryczy. Olvido odgradza się od matki murem nie do przebycia, którego nie są w stanie zburzyć nawet narodziny jej córki Margarity i wnuka Santiago; wreszcie, w obawie o zdrowie i życie tego ostatniego, decyduje się pomóc znieawidzonej matce opuścić ziemski padół. Jej własne relacje z córką są zupełnie inne. Trzecia z kolei „przeklęta” Laguna, poświęcająca całe życie wychowaniu Margarity i pielęgnowaniu

wspomnienia jej ojca, jest dla dziewczyny najbliższą osobą na świecie (matka i siostra ojca, oskarżające Olvido o śmierć Estebána, nie chcą mieć z „bękartem” nic wspólnego). Ich idealne relacje burzy kłótnia o mężczyznę – ukochany Margarity, francuski malarz-wizjoner, na swą żonę wybiera starszą Lagunę, narzeczoną i matkę swojego dziecka odsuwając na boczny tor. W tym momencie zaczyna mścić się model „beztrosowego” wychowania stosowany przez Olvido. Oszałała z zazdrości Margarita, zagubiona w gęstwinie negatywnych, nieznanym sobie do tej pory uczuć, podczas jednej z kłótni wypada z okna i kończy życie z roztrzaskaną czaszką – w ten sam sposób, w jaki przed laty zginął jej ojciec Estebán. Malarz – kość niezgody – wraca do Francji, a Olvido zostaje sama ze zniedołężniałą matką i malutkim wnukiem – chłopcem, w którym wszyscy z uporem upatrują odkupiciela i wybawcy rodu. Po wielu latach okaże się, iż jego również nie ominęła rodzinna klątwa – związany z babcią w szczególny sposób, będzie cierpieł męki zazdrości, gdy na horyzoncie pojawi się konkurent o jej względy. Prerażona takim obrotem sprawy Olvido wykorzysta niewielki pożar rodzinnego domu i upozoruje własną śmierć, aby dać wnukowi szansę na nowe życie, z dala od przeszłości i nieszczęść. Z czasem Santiago zaangażuje się w skomplikowany związek z piękną pisarką, który dostarczy mu tyleż radości, co cierpienia. Ostatecznie, po ponownym spotkaniu z babcią, wróci wraz z narzeczoną do rodzinnego miasteczka z zamiarem osiedlenia się w nim już na stałe. Olvido tymczasem, doczekawszy narodzin kolejnej „przeklętej” Laguny – swojej prawnuczki – po raz ostatni odbędzie rytualny spacer na cmentarz i z pokojem w sercu umrze u grobu ukochanego Estebána.

Książka utrzymana jest w konwencji realizmu magicznego, charakterystycznej dla twórczości iberoamerykańskiej; sama autorka zresztą przyznaje, iż jej mistrzem jest bez wątpienia kolumbijski noblista, Gabriel García Márquez. Nie można

przeoczyć ogromnego wpływu, jaki wywarł ów pisarz na powieść López Barrio – wystarczy wspomnieć chociażby sam motyw ciężącej nad rodziną klątwy czy zabiegi kompozycyjne. Porywające bajki i opowieści snute przez Santiago i Olvido (przez tego pierwszego nawet w celach zarobkowych) zbliżają ich postaci do bodaj najsłynniejszej Szeherazady Ameryki Łacińskiej, wykreowanej przez Chilijkę Isabel Allende – Evy Luny. Powieści Barrio, chociaż napisanej barwnym językiem i przyjemnym stylem, brakuje jednak południowoamerykańskiego rozmachu, dzięki której, niewymuszona zmysłowości i lekko niepokojącej tajemnicy. „Spłaszczona” przez wpływy europejskie Hiszpania po prostu nie może stać się innym, oderwanym od rzeczywistości światem, w którym gwałtowne zderzenie prądowej kultury indiańskiej i tej przywiezionej w początkach XVI wieku przez białego człowieka dało zaskakujący, nie do końca jasny efekt. López Barrio w swej powieści próbuje przenieść chociaż kawałek tajemniczego świata na grunt swojej ojczyzny, zapomina jednak, iż dobre chęci, umiejętności pisarskie i inspiracja arcydziełem nie są wystarczające do stworzenia naprawdę wartościowego tekstu.

Nie należy rzecz jasna całkowicie przekreślać *Ogrodu wiecznej wiosny* i zaledwie kilka miesięcy po premierze odsyłać do lamusa. Bez wątpienia jest to przyjemna, interesująca lektura na długie wieczory i miłe urozmaicenie wśród zalewających rynek i mnożących się jak grzyby po deszczu komercyjnych „czytadeł”.

Bardziej wybrednym czytelnikom zdecydowanie polecam jednak sięgnięcie po *Sto lat samotności* Gabriela Garcíi Márqueza lub dzieła innych znanych autorów południowoamerykańskich. Specyficznego klimatu, jaki potrafią stworzyć, używając zaledwie kilku prostych słów, nie jest w stanie powtórzyć nawet napisana z największym kunsztem literackim powieść europejska.

Agnieszka Kufel

„Wędrownką śpiewam świat”. O wierszach Barbary Konarskiej

Barbara Konarska, *Ocalone ćmy, czyli moje wędrowanie*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2009, 31 s.

Ocalone ćmy, czyli moje wędrowanie to debiutancki tomik wierszy Barbary Konarskiej. Absolwentka filologii polskiej, pracownica administracji kultury i aktywna członkini Uniwersytetu Trzeciego Wieku oraz Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, zawsze blisko związana z literaturą piękną, własne utwory liryczne tworzy dopiero od pięciu lat. Być może z tego powodu w jej poezji odnaleźć można bogactwo myśli dojrzałej, wyrażanej z perspektywy człowieka doświadczonego, a jednocześnie otwartego na nowe wrażenia.

Taki typ refleksji zapowiada już tytuł tomiku. „Moje wędrowanie” porywa czytelnika w podróż życia, w konkretne miejsca usytuowane na mapie całego świata. Podążamy więc za poetką góorskimi szlakami polskich masywów, brzegiem morza czy miejską uliczką. Trasa prowadzi przez ruiny cypryjskiej świątyni i amfiteatru, malowniczo położonego cmentarza na Rossie, dalej ku pełnym majestatu egipskim posągom, aż do pogrążonej w upale Warszawy. Wiele miejsc pokazanych jest migawkowo – jakby w fotograficznym ujęciu lub niczym klatki w wyświetlanym filmie. Dynamika zmieniających się obrazów uatrakcyjnia tę podróż, wzmagają zaciekawienie czytelnika.

Wiersze, które przypominają przywoływane na gorąco wspomnienia, mogą sprawiać wrażenie nieuporządkowania, tematycznego chaosu. W rzeczywistości konstrukcja tomiku jest starannie przemyślana. Dzięki niej w namacalny niejako sposób możemy doświadczać bogactwa i różnorodności świata przedstawionego. Poznajemy ludzi i nowe miejsca – atrakcyjne nie dzięki walorom estetycznym, ale przez to, iż stanowią bodziec do snucia refleksji nad sobą, człowiekiem i życiem w ogóle. Przywoływana w tomiku perspektywa patrzenia na świat rozszerza się –

z obserwacji najbliższego otoczenia Konarska przechodzi do kwestii egzystencjalnych i metafizycznych. Tutaj otwiera się inny, znacznie bogatszy wymiar wędrownki jako podróży mentalnej. Poetka, podobnie jak Edward Stachura, który pisał: „wędrownką jedną życie jest człowieka” (*Wędrownką życie jest człowieka*), zarysowuje granice owego wędrowania między „narodzinami” a ostatecznym „kresem dnia” (*trybut*), wpisując jednostkę w moment usytuowany między „przed” i „po”.

Czas człowieka jest krótki, ważna jest każda chwila. Stąd wrażliwość na najdrobniejszy element świata, w którym nawet ćmy zasługują na ocalenie. Poetka doświadcza rzeczywistości intuicyjnie, chłonie świat poprzez zmysły, a jej liryczne obrazy przesycone są pełnią barw, zapachów i smaków. Człowiek jako ważny element świata wpisuje się w jego „odwieczny rytm” (*trybut*), a ziemia pojmowana globalnie gości go i jak dobry gospodarz dzieli się z nim swoim bogactwem.

W wierszach Konarskiej znajdziemy pełne entuzjazmu przyzwolenie na życie. Wędrownka w głąb siebie potwierdza przekonanie o harmonijnym i cyklicznym, choć niepozbawionym trudności, istnieniu:

jakże wielka jest moja wędrownka
z doliny na szczyt i znów ku dolinie

– napisze poetka w wierszu *od siebie ku sobie*. Życie zmienia się przecież nieustannie, „krzyk bólu” miesza się z „jękiem rozkoszy”, ale właśnie w takim kształcie różnorodnych przejawów i barw ma ono sens. Ten optymizm wpisany w dojrzałe rozważania debiutującej poetki zachęca, aby dołączyć do literackiej wędrownki.

Agnieszka Nowicka

Klucz do bramy Alfreda Siateckiego – prawda historyczna w literackim ujęciu

Alfred Siatecki, *Klucz do bramy. Rozmowy nieautoryzowane albo nieodbyte o przeszłości Środkowego Nadodrza*, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2009, 317 s.

Historia testis temporum, lux veritatis, vita memoriae, magistra vitae („Historia jest świadkiem czasów, światłem prawdy, życiem pamięci, nauczycielką życia” – Cyceon, *De oratore* [O mówcy], II,9,36). Słowa jednego z najsłynniejszych filozofów wyrażają charakter antycznego świata, w którym artyści oraz myśliciele żywo angażowali się w naukę i sztukę. I choć współczesna rzeczywistość znacznie odbiega od starożytnych ideałów, to i dziś znaleźć można autorów, traktujących historię jako światło prawdy. Takim autorem jest Alfred Siatecki, o czym przekonać się można, czytając jego *Klucz do bramy*.

Książka Siateckiego jest pokłosiem długoletnich zainteresowań pisarza twórczością literacką oraz historią Ziemi Lubuskiej. Jest ona też dowodem na to, iż badacz przeszłości nie musi być wykształconym historykiem, wystarczy, by był pasjonatem, z zaangażowaniem traktującym minione dzieje.

Klucz do bramy to przede wszystkim refleksje na temat historii regionu lubuskiego, ale jak twierdzi recenzent, prof. Czesław Osękowski, jest to także książka w dużym stopniu historyczna. Siatecki zawiera w niej nie tylko literacką fikcję, jej treść opiera się o rzeczywiste wydarzenia i dotyczy postaci, których losy spletają się z dziejami województwa, a niekiedy i całego kraju. Obok nieżyjących od wieków książąt i królów Polski pisarz umieszcza zasłużonych żołnierzy, historyków i regionalistów, poetów, a także innych ludzi wyróżniających się na tle lokalnej społeczności. Można tu wymienić choćby postać pierwszego króla Polski, Bolesława Chrobrego, ks. bpa Teodoryka von Büllowa, poetkę Bronisławę Wajs – Papuszę czy mitologicznego Bachusa (Dionizosa). Ukazując ich – niekiedy niezwykle – dzieje, Siatecki

czepie z wielu historycznych oraz naukowych źródeł. Już na samym początku, zapowiadając zawarte tu treści, powołuje się na fragmenty *Kroniki* Jana Długosza, *Przemówienie w Gorzowie z czerwca 1997 roku* Jana Pawła II, publikację *Dzieje Ziemi Lubuskiej w wypisach* Władysława Korcza i Michała Sczanieckiego. Na końcu natomiast prezentuje bibliografię prac polskich i zagranicznych traktujących o Środkowym Nadodrzu oraz obszerne zestawienie najistotniejszych wydarzeń, które rozegrały się na terenie Ziemi Lubuskiej w latach 1000-2006. Ciekawe i niezwykle przydatne dla historycznych laików mogą być kalendaria, zestawienia, wypowiedzi znanych osób czy wpisy umieszczane przez Siateckiego na końcu każdego wywiadu, dzięki nim czytelnik pozna najważniejsze fakty dotyczące tematyki kolejnych rozdziałów. I tak – dla przykładu – po rozmowie z królem Kazimierzem Odnowicielem umieszczono imiona pierwszych męczenników polskich, wywiad z Szymonem Wiesenthałem wieńczy kalendarium wysiedlania Żydów z III Rzeszy do Zbąszynia, a rozmowę z poetką Bronisławą Wajs – Papuszą – opinie innych artystów o jej twórczości. W publikacji znalazły się także biografie samych bohaterów wraz z ich podobiznami. Dzięki temu można poznać bliżej np. Henryka Brodatego, prześledzić kalendarium najważniejszych wydarzeń w Polsce w czasach jego panowania, ale również – dzięki historycznej wyobraźni Siateckiego – poznać opinię króla na temat cesarza Ottona albo dowiedzieć się, z jakiego powodu władca obsypał niemieckich gości kosztownymi prezentami.

Autor *Klucza do bramy* oryginalnie przedstawił dzieje województwa lubuskiego, a swoje rozważania oparł na solidnych źródłach. Język jego książki jest na tyle przystępny, że bez względu na

wiek dotrze do każdego czytelnika, zwłaszcza że tradycyjną strukturę wywiadu pisarz zastąpił formą „rozmów nieautoryzowanych lub nieodbytych”. Dzięki temu nie jest to naukowa publikacja, ale prawda historyczna w literackim ujęciu. Biorąc pod uwagę wartość merytoryczną, kunszt literacki i nietypową konwencję, warto polecić ją zarówno osobom

zainteresowanym przeszłością regionu lubuskiego, jak również miłośnikom literatury – szczególnie takiej, która w oryginalny sposób kreuje fikcyjną rzeczywistość, a bohaterów z przeszłości przedstawia nierzadko w całkiem nowym świetle.

Magdalena Front

Poezja wielu odcieni

Czesław Sobkowiak, *Coraz mniej*, Wydawnictwo Pro Libris, Zielona Góra 2010, 78 s.

Benefis Czesława Sobkowiaka, który odbył się 17 czerwca 2010 roku w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze, stał się okazją do promocji nowego tomiku poety, zatytułowanego *Coraz mniej*. Rozmowa, którą podczas autorskiego spotkania przeprowadził z Jubilatem Janusz Koniusz, oscylowała wokół wspomnień: debiutu literackiego, rozwoju twórczej drogi, fascynacji literackich oraz spojrzenia na kondycję poety i rolę samej poezji w dzisiejszym świecie. O tym między innymi traktuje też najnowszy tomik Sobkowiaka.

Podczas jubileuszowego wieczoru sam autor określił tę książkę jako zbiór doświadczeń ostatnich lat, który najpełniej mówi o jego biografii – od dzieciństwa do dnia dzisiejszego. Podobnie bezpośrednio wyznanie, będące rodzajem autokomentarza, znajdziemy w zawartej w tomiku apostrofie do czytelników: „Czytacie fragment mojego życia pokreślony / Tę niezmyśloną opowieść w środku dnia” (*Czytacie fragment*). Żaden podmiot liryczny czy bohater mówiący, albo jeszcze inna figura teoretycznoliterackiego dyskursu: ecce poeta i autentyczny zapis z jego życia.

Wymowne, bo wskazujące na biograficzne nachylenie zbioru, są już same tytuły wierszy (*Próba życiorysu*, *Remanent*). Sygnalizują próbę uporządkowania pewnych spraw, podsumowania jakiegoś etapu życia. Świadczy o tym również kompozycja tomiku, oparta na zamyśle klamry

spinającej to, co „u zarania” i „u kresu”. W wierszu otwierającym zbiór pojawia się wspomnienie pierwszego połowu i kolacji z dzieciństwa. Oba motywy powracają w ostatnim utworze, ale tu ryby zyskują już metaforyczny wymiar i status religijnego symbolu. Wyznanie wiary implikowane przez myśl o sprawach ostatecznych ma charakter zamknięcia, postawienia kropki nad „i”. Zupełnie jakby każdy z zamieszczonych w tomiku wierszy był kolejnym krokiem do tej właśnie konfesyjnej konkluzji. Autor zabiera nas w tę drogę. Zobaczcie, jak wyglądało dotąd moje życie – zdaje się mówić. Stąd wiele retrospekcji opartych na opozycji „wtedy – teraz”. Owo „dawniej” powraca w poetyckich ujęciach wspomnień, głównie z dzieciństwa i studenckiej młodości we Wrocławiu.

Cały tomik jest zbiorem impresji, próbą przywołania i zatrzymania obrazów z przeszłości. Poeta przypomina sobie – zdawałoby się nieistotne – błahe sytuacje, o których sam mówi: „Kto jeszcze pamięta coś takiego lub w ogóle pamięta / [...] Przypomniał się żeliwny garnek piwnica dom głód i mróz / Jakbym potrzebował przy ich pomocy poza czas się wymknąć” (*Kartofle*). Pamięć wskrzeszająca to, co minione, daje szansę (złudną niekiedy), by ocalić przeszłość, zbuntować się przeciwko ustalonemu porządkowi świata.

Człowiek jawi się w tej poezji jako ten, który nosi w sobie archiwum wspomnień, to nic, że

nietrwałych, bo „niczego jednak nie dało się zatrzymać nawet na fotografii” (*Ballada o tym co miją*). Podobnie ulotne są: niezapisana poezja i odczuwanie świata. Powracające jak u Prousta zapachy, smaki, dźwięki są częścią nas. Nie da się ich zapomnieć, przekonuje poeta, „choć to już dawno i daleko / [...] I teraz z tej głębi wyciągam ile tylko się da / a poza tym nie zasypuje się studni” [*Studnia (opowieść)*]. Wewnętrznemu przekonaniu, by ocalić od zapomnienia, towarzyszą ambiwalentne uczucia, bo przecież na bagaż doświadczeń człowieka składają się też złe chwile, troski, nieszczęścia. Stąd pojawiająca się myśl o tym, aby „wyciszyć i zgasić niepotrzebną pamięć” (*Taki wieczór*) i żyć chwilą.

Oprócz pamięci dominantę tematyczną tomiku stanowi bliska jej kategoria przemijania. „Od rana policzone liczę korowody dni” – wyznaje poeta w wierszu *Jak i ty*, a dni tych coraz mniej, jak głosi tytuł zbioru. Autor określa życie nie inaczej jak „przeczekiwanie siebie” (*Przeczekiwanie*). Gorzka to definicja egzystencji, pokrewna Heideggerowskiemu bytowi ku śmierci. Przywołanie „koła życia postanowionego od pierwszego oddechu” (*Koła*) czy „kręcącej się diabelskiej karuzeli (*We Wrocławiu*)” odsyła do myśli egzystencjalizmu, ale i fatalistycznego pojmowania świata jako takiego, w którym los człowieka jest z góry ustalony, a prawa rządzące jego życiem – nieubłagane. „Czy to przypadek kto nam to powie” – zastanawia się poeta, wyliczywszy przełomowe dla ludzkości wydarzenia i epokowe wynalazki (*Przypadek*). Nie boi się akcentować swego *nescio quid* – nie wiem co, nie rozumiem – w odniesieniu do otaczającego świata. Mimo że zdobyte doświadczenie z czasem pozwala pojąć więcej, to nigdy jednak na tyle, by przestać pytać czy starać się dotrzymać kroku postępującej cywilizacji nowoczesności. „Nie nadążam mimo że czytałem fantazje Lema” – powiada Sobkowiak. Porównuje siebie do teologa pragnącego zajrzeć za kulisy świata (*Remanent*). To pragnienie przenika całą jego twórczość. Znany z poprzednich tomików motyw „księgi świata” (tom *Wstęp do milczenia*) w tym zbiorku ma swój ekwiwalent w postaci „czytelnika świata” (*Szkieł do portretu*).

Interpretacja subiektywnie odczytywanej przez poetę rzeczywistości jest refleksją wielopoziomą, warunkowaną przez ciągle obecne wątpliwości. Odzwierciedla się to na płaszczyźnie języka poetyckiego, choćby w wyborze formy wiersza różewiczowskiego, pozbawionego interpunkcji, w licznych przerzutniach czy wreszcie niedopowiedzeniach, szczególnie widocznych w pointach tych wierszy, których temat ciąży ku śmierci. Zamiast banalnych fraz autor wybiera dyskretne zawieszenie głosu. Taki sposób prowadzenia dykcji nie ułatwia lektury, zmusza czytelnika do namysłu i stawiania pytań.

Tym, co jeszcze zwraca uwagę w tych wierszach, są – charakterystyczne dla Sobkowiaka – opisy przyrody. Znajdziemy tu poetycko zobrażowane wszystkie pory roku i odpowiadające im atrybuty, słowa-klucze. Niektórym poświęcone zostały osobne wiersze: *Zima, *** (Lato)*. Stanowi to kolejny dowód na porządek świata i cykliczność praw nim rządzących. Optyka przyrodnicza przeplata się tu z – nazwijmy ją – perspektywą temporalną, bo to spadające liście klonu świadczą o upływie czasu. Człowiek nie tylko współistnieje z naturą, ale – parafrazując myśl panteistyczną – sam jest Naturą („I sobą światła nie odgadnę jak te olchy / kiedyś nie odróżnię się od tych olch” – *Jak olchy*).

Przyroda jest elementarzem, alfabetem, którego warto się uczyć (*Elementarz, Łąka*), bo stanowi niedoskonałe – jak „chybotałwa kładka” – antidotum na ciemność. Autor wyraźnie mówi o naturze jako inspiracji twórczej dla poetów i filozofów. Przyroda dostarczająca natchnienia zasila literaturę. Nawet w czytelni poeta spogląda za okno w poszukiwaniu skupienia, obserwuje rodzącą się do życia wiosnę. Wpływ przyrody widoczny jest w poetyckim obrazowaniu przedstawiającym lasy, łąki, pola, ptaki, owoce. Opisy zaskakują malarską wyobraźnią i bogatą paletą barw. Widzimy „brunatniejące olchy”, „fiolet bzu”, „czerwień żurawiny”, ale też możemy poczuć zapachy: czeremchy, ziemi, żywicy; smaki: jabłek, kartofli; usłyszeć ptasie wołania. Sensualizm tej poezji, pragnienie doznawania świata wszystkimi

zmysłami przetłumuje pesymistyczno-elegijną nutę wierszy. Z jednej strony topos starego poety, z drugiej platońskie *taumadzein* (gr. zdziwienie nad rzeczywistością) objawiające się w niemal dziecięcym zachwycie nad światem. Zbyt wiele w tej poezji odcieni, by móc ująć ją w ramy literackich schematów i określić za pomocą jednoznacznych przymiotników.

Ze względu na autobiograficzną koncepcję zbioru większość zamieszczonych w nim wierszy ma osobisty charakter. Widzimy autora w prywatnych sytuacjach: w rodzinnym domu przy stole, na spacerze w lesie, podczas lektury. Tomik jest apoteozą codzienności, „rzeczy zwyczajnych”, „rzeczy małych” zapewniających bezpieczeństwo. Mogą to być przedmioty materialne (stół, dzbanek) bądź owoce ziemi (chleb, sól). Obecna w wierszach introspekcja pozwala pocie odzyskać siebie, wsłuchać się we własny głos i oddech. Jednak obok tekstów realizujących postulaty „nowej prywatności”, w tomiku pojawiają się utwory, w których osobiste „ja” przechodzi w pokoleniowe „my”. Mam na myśli poemat *Ballada o tym co mija* przedstawiający historyczne kalendarium Polski oraz wiersze poświęcone tragedii smoleńskiej z 10 kwietnia 2010 r. Poeta jest tutaj świadkiem epoki, kronikarzem swych czasów. Wypełnia misję twórcy mierzącego się ze światem, w którym przyszło mu żyć. „Tak właśnie czynił Eliot w *Ziemi jałowej*” – mówił Sobkowiak w rozmowie z Koniuszem, stawiając sobie za wzór postawę noblisty. Wpływu Eliota na autora *Coraz mniej* uważny czytelnik doszuka się również w bardziej dosłowny sposób. Choćby w parafrazie wersu otwierającego pierwszą część *Ziemi jałowej* pt. *Grzebanie zmarłych* w trenie 10.04.2010.

Przedstawianie siebie jako członka wspólnoty w czasach nastawionych na indywidualizm, poru-

szanie kwestii narodowych imponderabiliów, podczas gdy patriotyzm często staje się przedmiotem drwiny, jest przejawem odwagi Sobkowiaka. Tym bardziej że wiersze smoleńskie pisane były krótko po tragedii, kiedy emocje jeszcze nie opadły, a szczątki samolotu nie pokryły się patyną czasu. Łatwo wtedy o tani patos czy patriotyczne zadęcie. Tego próżno szukać w tych utworach. Wiersze smoleńskie należą do najsmutniejszych, ale i najpiękniejszych w całym zbiorze. Mówią po prostu o tym, jak było, czym zyliliśmy jako naród, gdy przyszedł „znowu w Polsce taki znak by rozumieć rzeczy większe” (*Ballada o tym co mija*). Przypomniane zostały uczucia Polaków: od szoku, wywołanego tragedią przez żałobę po otrzeźwienie. Poetycka relacja z tamtych wydarzeń jest niezwykle drobiazgowa, oparta na wyliczeniu, jak w wierszu *Na tym miejscu*, w którym na błotnistej ziemi ukazują się nam rzeczy należące do ofiar, przedmioty przecież doskonale znane z prasy i telewizji. Dramatyczne wydarzenia z 10 kwietnia ewokują smutek i skłaniają poetę do głębszej refleksji, którą najpełniej wyraża biblijna formuła *omnia vanitas*. Ludzkie istnienie zamienione w „grudki piasku człowiecze” [10.04.2010 (*Tren*)] ostatecznie zrównuje się z kroplą deszczu, źdźbłem trawy, kamieniem. I tu znów pobrzmiewa fatalistyczny ton, poczucie fatum ciężącego nad polskim narodem.

To dojrzała i mądra poezja, której wartość wynika z wnikliwej obserwacji i głębokiej kontemplacji współczesnego świata, a także z umiejętności łączenia perspektyw: zwykłego człowieka i poety, Polaka i obywatela świata. Parafrazując tytuł (*Coraz mniej*), rzec można: oby coraz więcej takich wierszy.

Aleksandra Krawczyk

„Myślałem o podróży Pana w tamte strony”. Korespondencja Henryka Szyłka

Henryk Szyłkin, *Listy szczerzej pamięci*, Regionalne Centrum Animacji Kultury, Zielona Góra 2010, 64 s.

Listy wydobyte z domowego archiwum Henryka Szyłka ujrzały światło dzienne. Stało się to za sprawą niewielkiej publikacji zatytułowanej *Listy szczerzej pamięci*, która z początkiem listopada ukazała się w Zielonej Górze. Kim jest adresat zgromadzonych tu tekstów? To jeden z najbardziej rozpoznawalnych poetów lubuskich, obecny na scenie literackiej od pięćdziesięciu lat, autor licznych tomików poezji, jak również utworów pisanych prozą. Tym razem – po raz pierwszy – jawi się czytelnikom także od strony prowadzonej przez siebie bogatej korespondencji.

W najnowszej publikacji Szyłka sięga po listy, które otrzymywał zarówno od postaci wielkiego formatu, jak i od osób znanych tylko lokalnie. Ich autorami są wielcy pisarze (czasem ich potomkowie), duchowni, ludzie nauki i kultury. Lekturę rozpoczynamy od życzeń świątecznych otrzymanych od Jana Pawła II. Dalej możemy przeczytać listy od Józefa Michalika, Ryszarda Kaczorowskiego i kardynała Henryka Gulbinowicza. Szczególnie istotna jest korespondencja Szyłka z Czesławem Miłoszem. W dialogu dwóch Kresowiaków dochodzą do głosu podobne przeżycia i wspomnienia, wspólny bagaż doświadczeń oraz jednakowe przywiązanie do Ziemi Wileńskiej. Oto fragment jednego z otrzymanych od Miłosza listów:

Było mi bardzo miło otrzymać od Pana książkę *W stronę Ostrej Bramy*, w której szczególnie podoba mi się wszystko to, co dotyczy znanej mi i pamiętanej rzeki Żejmiany oraz Santoki. Mój pobyt na Litwie w końcu maja i w początku czerwca był dla mnie silnym przeżyciem. [...] Niewieża bardzo zmieniona, twierdzą jednak, że są w niej jeszcze ryby. Myślałem o podróży Pana w tamte strony.

Oprócz wymienionych autorów swoje miejsce w *Listach szczerzej pamięci* znaleźli: Andrzej Strumiłło – malarz, grafik i fotograf, Andrzej Wat – historyk sztuki, syn Aleksandra Wata, Mieczysław Jackiewicz i Wojciech J. Podgórski – profesorowie uniwersyteccy, podobnie jak sam Szyłkin silnie związani z Wileńszczyzną. Jeżeli przyjrzeć się datom poszczególnych listów, okazuje się, że te najbardziej wartościowe kontakty zawiązywały się od końca lat osiemdziesiątych oraz w latach dziewięćdziesiątych, gdy autor aktywnie włączał się w bieg ówczesnego życia literackiego w Zielonej Górze i na Wileńszczyźnie. Niektóre z bliskich stosunków i przyjaźni, których owocem jest zamieszczona w zbiorze korespondencja, trwają po dziś dzień. Niektóre zakończyły się: nie napisze już Czesław Miłosz ani Ryszard Kaczorowski, zmarły tragicznie 10 kwietnia 2010 w katastrofie pod Smoleńskiem. Na kartach tej książki możemy prześledzić nie tylko listę osób, z którymi poeta utrzymywał kontakty; czytelnik dowiadyuje się również o jego spuściznie literackiej i wkładzie w rozwój literatury poświęconej Wileńszczyźnie. Wszystkie listy mówią jednym głosem, że Henryk Szyłkin jest prawdziwym ambasadorem poezji polskiej na Litwie oraz poezji litewskiej w Polsce. Widoczne jest to i w korespondencji z bliskimi osobami, i w listach o mniej poufnym charakterze. Jaki obraz człowieka wyłania się z tych ułamkowych, subiektywnych opinii zawartych w listach kreślonych przez dalszych i bliższych przyjaciół i znajomych? Przede wszystkim twórcy, dla którego największą wartością jest, jak to świetnie ujął Czesław Sobkowiak, głębokie zakorzenienie w utraconej, polskiej Wileńszczyźnie. O wartości publikacji stanowi również jej estetyczne wydanie. Całość jest niewielką, zawierającą 64 stronicę, książeczką

średniego formatu. Jej lekturę uatrakcyjniamy fotografie rękopisów i autografów listów. Oryginałów korespondencji nie zobaczymy jedynie w przypadku listów tłumaczonych z innych

języków. Publikację wieńczy krótkie posłowie autora objaśniające genezę zgromadzonych tekstów.

Marta Sikora



KSIAŻKI NADESŁANE

- Anna Blacha, *By nie wszystko zabrał czas*, Mieczysław Wojecki, Zielona Góra 2011, 60 s.
- Małgorzata Dobrowolska, *Apollo z Dachau*, Atelier Medialno-Szkoleniowe RED FROG – Wydawnictwo Arsenał, Gorzów Wlkp. 2010, 39 s.
- Grażyna Drobek-Bukowska, *Z poezją przez świat*, Wyd. Komdruk-Komag, Racibórz 2010, 150 s.
- Krzysztof Fedorowicz, *Podróż na zachód. Podróż na wschód*, Muzeum Regionalne w Świebodzinie, Świebodzin 2010, 50 s.
- Jan Gross, *Od przedszkola do ramola*, WiMBP im. Z. Herberta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2010, 413 s.
- Agnieszka Haupe, *Krajobrazy czułego dotyku / The landscapes of the tender touch*, Organon, Zielona Góra 2010, 56 s.
- Iwona Jankowska, *Ptaków liczenie*, Atelier RED FROG, Zielona Góra 2010, 67 s.
- Katarzyna Jarosz-Rabiej, *Julia z ulicy Jeleniej / Julia from Jelenia Street*, Organon, Zielona Góra 2010, 58 s.
- Justyna Jęzak, *Opleciona czarami*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2010, 28 s.
- Ewa Klajman-Gomolińska, *Milczenia z Bogiem*, Wydawnictwo Werset, Lublin 2010, 80 s.
- Beata Patrycja Klary, *Szczekanie głodnych psów*, WiMBP im. Z. Herberta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2010, 72 s.
- Andrzej Knopf, *Dżungla*, Majus, Zielona Góra 2010, 104 s.
- Krzysztof Koziółek, *Miecz zdrady*, wyd. nakładem autora, Nowa Sól 2010, 327 s.
- Zbigniew Kozłowski, *Legends Lubuskie II*, eMBePe Miejska Biblioteka Publiczna, Żary 2010, 79 s.
- Kronika Sanktuarium Św. Jakuba Starszego Apostoła w Jakubowie*, spisana przez Viktora Repetzkiego, tłum. z niem. Wioletta Mazurek, Wydawnictwo Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej, Jakubów 2010, 108 s.
- Odejść w milczeniu. Wspomnienia i wiersze Teresy Kostrzewskiej-Przanowskiej*, red. Anna Makowska-Cieleń, Wydawnictwo Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego, Gorzów 2010, 58 s.
- Zygmunt Marek Piechocki, *Listy hipotetyczne*, Sonar, Gorzów Wlkp. 2010, 165 s.
- Jolanta Pytel, *Zegar / The clock*, Organon, Zielona Góra 2010, 56 s.
- Sercem pisane. Supplement*, Stowarzyszenie Miłośników Trzciela, Trzciel 2010, 142 s.
- Sercem pisane. Wspomnienia mieszkańców Trzciela dotyczące lat powojennych*, Stowarzyszenie Miłośników Trzciela, Trzciel 2010, 116 s.
- Alfred Siatecki, *Psie kochanie*, Radwan, Tolkmicko 2010, 105 s.
- Wiesława Siekierka, *Szukajmy światła*, wyd. nakładem autora, b.m. 2010, 48 s.
- Maria Wypych, *56 wierszy*, eMBePe Miejska Biblioteka Publiczna, Żary 2010, 64 s.

AUTORZY NUMERU

Ewa Andrzejewska

Zielonogórska poetka, autorka tekstów piosenek, a także rysunków i satyr publikowanych w miesięczniku „PULS”. Prowadzi klub poetycki Szufladera w MCKiE Dom Harcerza.

Karolina Bartkowiak

Uczennica I Liceum Ogólnokształcącego w Zielonej Górze.

Łukasz Bilski

Student Uniwersytetu Zielonogórskiego; tworzy prozę poetycką, jest laureatem dwóch edycji żarskiego konkursu literackiego „O laur Dziewina”.

Alicja Bochenek

Uczennica I Liceum Ogólnokształcącego w Zielonej Górze.

Halina Bohuta-Stapel

Ur. w Poznaniu; absolwentka Politechniki Wrocławskiej, poetka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Wydała cztery tomiki wierszy; jest laureatką nagród i wyróżnień literackich. W 2009 r. otrzymała nagrodę kulturalną Wójta Gminy Świdnica. Mieszka w podzielonogórskim Wilkanowie.

Andrzej Buck

Literaturoznawca, teatrolog, edytor, dziennikarz, bibliotekoznawca, autor książek i artykułów naukowych oraz prac dokumentacyjnych dotyczących teatru, autor adaptacji teatralnych i scenariuszy, twórca przeglądów, spotkań i festiwali teatralnych, redaktor czasopism, nauczyciel akademicki, doktor nauk humanistycznych.

Dana Cieplicka

Zielonogórzanka, studentka czwartego roku filologii polskiej oraz pierwszego roku filologii germańskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim.

Monika Derczyńska

Mieszka w Zielonej Górze. Jest studentką czwartego roku filologii polskiej oraz pierwszego roku filologii germańskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Debiutująca poetka.

Magdalena Front

Ur. w 1987 roku, studentka filologii polskiej, w ramach seminarium magisterskiego dotyczącego literatury lubuskiej pisze pracę zatytułowaną *Przestrzenie kulturowe w poezji Janusza Koniusza*.

Karol Graczyk

Ur. w 1984 r. w Gorzowie Wlkp. Uprawia poezję, prozę, zajmuje się dziennikarstwem. Laureat konkursów poetyckich. Stypendysta Prezydenta Gorzowa Wlkp.

Marek Grewling

Ur. w 1963 r. w Gorzowie Wlkp. Z zawodu nauczyciel historii; absolwent teologii biblijnej. Autor 6 książek poetyckich, inicjator wydania antologii, autor aforyzmów, wierszy, esejów, recenzji i artykułów publicystycznych; współpracownik „Pegaza Lubuskiego”. Od roku 2003 jest członkiem Związku Literatów Polskich.

Marcin Gromnicki

Ur. w 1980. Pochodzi z okolic Żar, od 6 lat mieszka w Zielonej Górze. Jest absolwentem kierunku edukacja artystyczna w zakresie sztuki muzycznej UZ. Kontynuuje uzupełniające studia magisterskie z fakultetem „Muzyka jazzowa”. Jako gitarzysta basowy współpracował m.in. z zielonogórskimi zespołami: Break Time, Best Before, Palisounder. Jest dziennikarzem Akademickiego Radia Index, gdzie współtworzy audycję „oGrom kultury”.

Emilia Grzelak

Poetka i miłośniczka poezji, właścicielka zielonogórskiej kafejki, organizatorka imprez poetyckich. Pracuje nad projektem tłumaczenia poezji europejskiej.

Przemysław Grześniński

Absolwent filologii polskiej i filozofii. Od 2008 r. stały współpracownik Działu Literackiego Lubuskiego Teatru. W latach 2006-2009 gł. spec. ds. literackich w Teatrze im. W. Bogusławskiego w Kaliszu, dramaturg w spektaklu *Pan Poduszka* M. McDonagha. Autor kilku publikacji, twórca komediodramatu *Po prostu Leon po prostu* (premiera w marcu 2011 r. w Lubuskim Teatrze). Autor sztuk: *Studnia*, *To jest wojna*, *Według Michała*, *Żużel forever* i paru scenariuszy okolicznościowych.

Justyna Jęzak

Studentka Uniwersytetu Zielonogórskiego, autorka debiutanckiego tomiku *Czarami opleciona*, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów.

Magdalena Kalinowska

Ur. w 1987 r., finalizuje studia polonistyczne na Uniwersytecie Zielonogórskim; przygotowuje pracę magisterską nt. legend i baśni lubuskich.

Helena Kardasz

Prowadzi Pracownię Fotografii w Instytucie Sztuk Wizualnych Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Andrzej Kotin

Pochodzi z Moskwy, od 8 lat mieszka w Polsce. Doktorant na Uniwersytecie Zielonogórskim. Poeta, gitarzysta, autor piosenek, trzykrotny uczestnik Studenckiego Festiwalu Piosenki w Krakowie.

Krzysztof Kowalczyk

Ur. w 1989 r. w Zielonej Górze. Obecnie student informacji naukowej i bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Zielonogórskim. Poeta. Otrzymał wyróżnienie na V Ogólnopolskim Konkursie Literackim Młodych „O Wachlarz Wilhelminy”.

Krzysztof Koziółek

Ur. w 1978 r., zielonogórzanin z urodzenia, obecnie mieszka w Nowej Soli. Z wykształcenia politolog (Uniwersytet Zielonogórski), z zawodu dziennikarz („Gazeta Lubuska”, „Tygodnik Krąg”, „Puls”). Píše i wydaje powieści kryminalno-sensacyjne (*Święta tajemnica* – nominacja do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2009; za *Miecz zdrady* autor został zgłoszony do Paszportu Polityki 2010).

Joanna Kranz

Absolwentka historii na Uniwersytecie Zielonogórskim i kulturoznawstwa na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, autorka tekstów na temat kultury ponowoczesnej. Z zamiłowania krytyk sztuki, współdziałała z twórczymi środowiskami w zakresie współorganizacji przedsięwzięć kulturalnych

Aleksandra Krawczyk

Ur. w 1986 r., studentka filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, uczestniczka seminarium magisterskiego poświęconego literaturze lubuskiej, przygotowuje pracę magisterską na temat refleksji metapoetyckiej w twórczości poetów lubuskich reprezentujących pokolenie Nowych Roczników.

Kinga Krutulska

Ur. w 1969 r. w Ustce. Mieszka w Letnicy koło Zielonej Góry. Absolwentka Instytutu Sztuki i Kultury Plastycznej w Zielonej Górze. Uczy fotografii w Policealnym Studium Reklamy oraz w MCKiE Dom Harcerza w Zielonej Górze, którego jest dyrektorem.

Paulina Krystkowiak

Ur. w 1990 r. w Zielonej Górze, debiutująca poetka. Znalazła się wśród finalistów 6. Wojewódzkiego Konkursu Poetyckiego dla Młodzieży „Kawałek Wiersza Zieloną Kredką Pisany” w 2008 r.

Agnieszka Kufel

Uczennica I Liceum Ogólnokształcącego w Zielonej Górze.

Janusz Łastowiecki

Student polonistyki Uniwersytetu Zielonogórskiego, uczestnik seminarium poświęconego literaturze lubuskiej, przygotowuje pracę magisterską pod tytułem *Zjawisko heterotopii i zanikających miejsc w lubuskich reportażach i słuchowiskach*.

Beata Matyasik

Ur. w 1986 r. w Lubsku. Pracuje w Gminnej Bibliotece Publicznej w Brodach, studiuje na Uniwersytecie Zielonogórskim. W wolnych chwilach pisze wiersze.

Kinga Mazur

Ur. w 1989 roku, studentka trzeciego roku filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Debiutowała i publikuje w gorzowskim piśmie literackim „Pegaz Lubuski”. Jej wiersze były drukowane w antologii młodych poetów ziemi sulęcińskiej *Smak na wiersz*. Autorka tomiku poetyckiego *Już wiem*.

Dariusz Muskała

Uczestnik konkursu „Debiut poetycki Pro Libris”.

Igor Myszkiewicz

Ur. w 1974 r., absolwent wychowania plastycznego Instytutu Sztuki i Kultury Plastycznej UZ. Uprawia ikonografię, rysunek, komiks, malarstwo. Członek ZPAP od 2004 r. Pracuje w Muzeum Ziemi Lubuskiej.

Agnieszka Nowicka

Studentka polonistyki na Uniwersytecie Zielonogórskim; przygotowuje pracę magisterską dotyczącą motywu ziemi w twórczości lubuskiej.

Sebastian Piórkowski

Ur. w 1986 r. w Zielonej Górze. W 2006 r. założył Grupę Artystycznego Wyzwolenia (GAW) tworzącą różnego rodzaju performance i happeningi. Twórca muzycznego projektu Chaostium (muzyka eksperymentalna). Jego wiersze pojawiły się w Radiowej Książce Poetyckiej.

Magdalena Poradzisz-Cincio

Absolwentka historii sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego, pracownik Działu Oświatowego Lubuskiego Muzeum Wojskowego w Drzonowie. Pod kierunkiem prof. dr. hab. Jana Harasimowicza przygotowuje rozprawę doktorską na temat sztuki protestanckiej na terenie Nowej Marchii. Jej zainteresowania badawcze skupiają się wokół treści i funkcji nowożytnej sztuki sakralnej ze szczególnym uwzględnieniem terenu Nowej Marchii i Dolnego Śląska.

Jakub Rawski

Student filologii polskiej; w 2010 roku na Uniwersytecie Zielonogórskim obronił pracę licencjacką dotyczącą ewolucji figury wampira. Obecnie pisze pracę magisterską z europejskiego romantyzmu. Stypendysta Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w roku akademickim 2009/2010 i 2010/2011. Wiceprzewodniczący Koła Literaturoznawców działającego przy Instytucie Filologii Polskiej UZ.

Alina Renkwitz (Nebelska)

Absolwentka filozofii Uniwersytetu Zielonogórskiego, podyplomowej polonistyki, technologii informacyjnych i bibliotekoznawstwa (LAN) oraz studium nauczania języka polskiego jako obcego. Pracowała jako nauczycielka w ZSE w Zielonej Górze i jako bibliotekarz w BMIg w Koźuchowie. Od 2009 r. przebywa w Niemczech, gdzie odbyła praktykę w bibliotece Georg-Eckert Institut w Braunschweigu. Obecnie udziela korepetycji z języka polskiego oraz doskonali język niemiecki.

Ewa Roszak

Ur. w 1985 r. w Zielonej Górze, od 1988 mieszka w Gubinie. Jest absolwentką łżyckiej Wyższej Szkoły Humanistycznej w Żarach oraz Uniwersytetu Zielonogórskiego (kierunek pedagogika).

Robert Rudiak

Ur. w 1966 r. w Zielonej Górze. Poeta, prozaik, publicysta, krytyk literacki, historyk literatury i regionalista. Autor książek poetyckich; autor i współautor wystaw instalacji plastycznych oraz spektakli parateatralnych i montażu poetyckich. Laureat wielu konkursów poetyckich.

Urszula Seifert

Ur. 1987 roku w Świebodzinie. Studentka V roku historii o specjalności archiwistyka na Uniwersytecie Zielonogórskim. Od 2009 r. współpracuje z Gazetą Samorządu Studenckiego „UZetka”. Pracuje w Akademickim Radiu Index. Propagatorka poezji w mediach studenckich.

Marta Sikora

Studiuje polonistykę na Uniwersytecie Zielonogórskim, przygotowuje pracę magisterską na temat obrazu Kresów Wschodnich w twórczości lubuskich autorów.

Marika Sobczak

Ur. w 1987 r. Studentka polonistyki i malarstwa, przewodnicząca studenckiego Koła Literaturoznawców działającego przy Instytucie Filologii Polskiej UZ. Organizatorka studenckich wieczorów i konkursów poetyckich. Zdobyła wyróżnienie w III Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. C. K. Norwida.

Mirosława Szott

Studentka wydziałów polonistyki i pedagogiki Uniwersytetu Zielonogórskiego, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów.

Honorata Waszkowiak

Studentka Uniwersytetu Zielonogórskiego, lirykę tworzy od czasów szkoły podstawowej.

Jacek Włodzimierz Wojnarowski

Student marketingu politycznego na Uniwersytecie Zielonogórskim, autor zbiorku wierszy wydanego własnym sumptem.

Katarzyna Zychła

Autorka ośmiu książek, w tym dwóch poetyckich, laureatka licznych ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich.



Cena 10,50 zł
(w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995

03



9 771642 599108

PRO
LIBRIS